tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 4 (1155) ROK XXIII 27 STYCZNIA 1980 R. CENA 3 ZŁ

by nie stracić szansy...

NASZA DYSKUSJA

Odbyliśmy w redakcji dyskusję z udziałem przedstawicieli młodych środowisk artystycznych Łodzi. Nie była to pierwsza próba zainteresowania się sprawami najmłodszego pokolenia twórców. W „ODGŁOSACH" temat ten podejmowaliśmy już wielokrotnie i podejmować będziemy go jeszcze częściej. Tym bardziej, że wyraźny wzrost zainteresowania problemami „pokolenia, które wstępuje", jaki zaobserwować można w kraju, nie ominął Łodzi. Dlatego spotkanie w redakcji „ODGŁOSÓW" potraktowaliśmy również jako próbę diagnozy sytuacji młodych artystów żyjących i tworzących w Łodzi, jako głos w dyskusji nad formułą i zadaniami czekających nas w październiku 1980 roku ogólnopolskich konfrontacji pod hasłem „SZTUKA MŁODYCH, ŁÓDŹ-80". Październikowa impreza stanowić będzie punkt kulminacyjny trwającej w łódzkich instytucjach i placówkach kultury od początku sezonu 1979/80 wielostronnej akcji, której celem jest prezentacja problemów i dorobku młodych środowisk artystycznych Łodzi.

Do szczegółów tej akcji i tematyki konfrontacji będziemy wracać w ciągu roku. Podczas grudniowego spotkania chcieliśmy natomiast dowiedzieć się:

— jak sami oceniają istniejące formy mecenatu i możliwości startu?

— jakie progi i bariery towarzyszą na co dzień ich wchodzeniu w samodzielne życie twórcze?

— jak przedstawia się stan opieki nad młodymi ze strony instytucji kultury, uczelni, związków twórczych?

— co należałoby zrobić w poszczególnych środowiskach, aby mecenat ten stawał się coraz doskonalszy?

Dalszy ciąg na str. 8—9

samo-rządność pod nadzorem

Iwona Śledzińska

Trzy przypadkowo wybrane dni z kalendarza. Trzy konferencje samorządu robotniczego. Trzykrotnie – siedzący za długimi stołami – podnosili ręce do góry na znak, że proponowany im plan na rok 1980 uznają za możliwy do zrealizowania. Trzy referaty wygłaszane przez dyrektorów przedsiębiorstw, trzy koreferaty, programy zabezpieczające wykonanie przyjmowanych zadań, podsumowania, stanowisko i wyjaśnienia zwierzchników.

Nic nadzwyczajnego. Początek roku, więc „normalka". Trzeba się rozliczyć z tym co było, przymierzyć do tego co ma być. A jednak...

Dalszy ciąg na str. 4

Hiszpańska uliczka (Sewilla)

Foto: J. Katarasiński

noc w słonecznych okularach

Andrzej Makowiecki

Człowiek stał w drzwiach, które wychodziły na ulicę i patrzył w mrok przez słoneczne, czarne okulary. Stał nieruchomo, cicho, wsparty ramieniem o framugę, a ja zbliżałem się do niego skrajem chodnika. Nad głową tego człowieka wisiało przybite do muru godło hotelowe. Była już późna noc, czułem się zmęczony i dlatego szedłem w kierunku tej obskurnej bramy i tych czarnych, nieruchomych szkieł, i kiedy byłem już o kilka kroków, tamten cofnął się przede mną na małe, kamienne patio.

Postąpiłem za nim. Mój przyjaciel, którego namówiłem na tę podróż i którego stopy po raz pierwszy deptały z przejęciem aftrykański grunt, krył się za moimi plecami.

— Ma pan pokój dwuosobowy? — zapytałem.

— *Mam trzyosobowy* — odpowiedział łagodnym, nad wyraz uprzejmym głosem hostalero, i nie omieszkał dodać — *Senor.*

— *W takim razie, dziękujemy* — wtrącił pośpiesznie mój przyjaciel i wróciliśmy na ulicę.

Kilkanaście metrów dalej znaleźliśmy inny Pensión i wynajęliśmy tam na jedną noc lokum, z którego wiało grozą. Łóżka zapadały się do pozycji siedzącej, a na kamiennej posadzce roiło się od mrówek.

Mój przyjaciel przykrył poduszkę ręcznikiem i wsunął się pod przybrudzone prześcieradła z jękiem protestu.

— *Słuchaj* — szepnął — *jak myślisz, są tutaj skorpiony?*

Dalszy ciąg na str. 10

złota wiecha

RYSZARD BINKOWSKI

Cztery lata temu w gminie Parzęczew, liczącej 22 sołectwa, 47 wsi i 1055 gospodarstw indywidualnych, z przewagą gleb żytnio-łubinowych, IV, V, i VI klasy, wynikł „świński problem", o którym nie omieszkałem napisać. Świnie wprawdzie nie myślały o świniobójstwie ale ludzie przebąkiwali o wielkim świniobiciu, żeby zapobiec stratom, zanim świnie wyzdychają wskutek braku pasz.

Od tamtego czasu wartość gleb nie zmieniła się, ale że prowadzi się melioracje, sporządza więcej kiszonek i uprawia na szeroką skalę kukurydzę, produkcja roślinna i zwierzęca znacznie wzrosła. Do tego stanu przyczyniła się także SKR, która przekazała Zakład Gospodarki Rolnej na rzecz Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Marianpolu, dzięki czemu ma więcej czasu na świadczenie usług dla rolników. RSP w Marianpolu osiągnęła dobre wyniki w tuczu trzody chlewnej, co jest zasługą ambitnej załogi i osobiście prezesa Marcinkowskiego, który całym sercem poświęca się swojej niełatwej pracy.

Zmalała ilość gospodarstw indywidualnych w gminie, albowiem najsłabsze przeszły do PFZ, po czym zostały przydzielone PGR, RSP oraz specjalistycznym gospodarstwom chłopskim, w zależności od tego, kto miał bliżej do opuszczonej ziemi. Inna sprawa, że grunty PFZ są przeważnie zaniedbane i trzeba odpowiednich środków i dwóch lat czasu, aby ziemia zaczęła należycie plonować. Tak więc, mimo trudności, produkcja rolna zwiększyła się, chociaż nadal około trzystu „dwuzawodowców" odjeżdża codziennie zakładowymi autokarami do zgierskiego „Boruty" i łódzkiej „Chemobudowy".

Dalszy ciąg na str. 5

Polaków portret własny

MARIA KĘPIŃSKA

Tradycje narodu tworzy jego historia, dorobek naukowy i kulturowy. Sztuka odgrywa w nim niebagatelną rolę. Dowodem na powyższe stwierdzenie stała się ekspozycja Muzeum Narodowego w Krakowie, zatytułowana „Polaków portret własny", którą poprzedził wielki trud zgromadzenia na wystawę unikalnego w swoim rozmiarze i zakresie materiału, dzieł sztuki polskiej z przestrzeni ośmiu wieków, od średniowiecza do współczesności, dzieł jakże bogatych w treści historyczne i wartości artystyczne.

Założeniem wystawy jest pokazanie oblicza narodu, wszechstronnego i zbiorowego portretu Polaków, którego zespół cech złożyłby się na charakterystykę historyczno-społeczną kolejnych pokoleń.

Dalszy ciąg na str. 13

EKSPORT POD NAPIĘCIEM

JACEK INDELAK

„Nasz człowiek" w jednym z państw petrodolarowych, przedstawiciel polskiej centrali handlowej, zwrócił uwagę, że w sprzedaży pojawiły się męskie płaszcze z łódzkiego „Próchnika", których tam nie powinno być, bo nikt ich w Łodzi nie zamówił.

Ekspertyza wykazała, że ktoś dopuścił się fałszerstwa. Falsyfikaty były nawet udane: podrobiono nie tylko firmowe wszywki i metki, nie tylko wzór i konstrukcję płaszcza, lecz również fakturę tkaniny. Fałszerzem okazał się być jeden z niewielkich krajów azjatyckich.

Opowiastka ta, o anegdotycznym wręcz charakterze, wystawia na pewno znakomite świadectwo rodzimemu producentowi, czy jest jednak równocześnie powodem do chluby dla naszych handlowców? Odpowiedź na to pytanie nie jest już tak prosta i jednoznaczna. Handel zagraniczny należy bowiem do najtrudniejszych i najbardziej skomplikowanych dziedzin działalności gospodarczej.

W obecnej dekadzie wartość eksportu łódzkiego województwa miejskiego wzrosła ponad czterokrotnie, osiągając w minionym roku prawie siedemnaście procent globalnej produkcji całego łódzkiego przemysłu. Eksportujemy z Łodzi przede wszystkim wyroby przemysłu lekkiego, aczkolwiek coraz większą rolę zaczyna tu odgrywać również i przemysł elektromaszynowy. Na podkreślenie zasługuje fakt, że obecnie **prawie czterdzieści procent eksportu przemysłu lekkiego województwa łódzkiego trafia do odbiorców z krajów kapitalistycznych.**

Tak duży postęp w działalności eksportowej łódzkiego przemysłu stanowi nie tylko wynik wzrastających nieustannie potrzeb w tej dziedzinie, lecz jest zarazem efektem zwiększonych możliwości całego województwa, które w ostatnich latach uległo ogromnym przeobrażeniom. Od 1970 roku nastąpił tu dwukrotny wzrost rozmiarów produkcji przemysłowej, przy równoczesnym wzroście jej jakości i nowoczesności.

Satysfakcję jednak, jaka powinna towarzyszyć świadomości owego sukcesu, mąci świadomość równoczesnych trudności i napięć, występujących na rynku wewnętrznym. Trudności i napięcia są wciąż tak odczuwalne i dokuczliwe, że temat eksport nie cieszy się zbyt wielką popularnością w społeczeństwie.

„Jedno ze strategicznych zadań rozwoju gospodarki w latach osiemdziesiątych — czytamy w Wytycznych KC na VIII Zjazd PZPR — **stanowi zwiększenie korzyści płynących z udziału Polski w międzynarodowym podziale pracy (...). Droga do tego prowadzi przede wszystkim przez intensyfikację wzrostu eksportu i poprawę jego efektywności. Aby w latach 1981—1985 osiągnąć wzrost produkcji przemysłowej o 20—24 proc. konieczne jest zapewnienie odpowiedniego importu paliw, surowców, materiałów, elementów kooperacyjnych i części zamiennych. Możliwości zaopatrzenia gospodarki w importowane towary obecnie i w przyszłości warunkują bowiem rozwój produkcji materialnej, a w rezultacie — zaspokojenie potrzeb społecznych. Możliwości te zależą z kolei od zwiększenia eksportu, z którego wpływy są wyłącznym źródłem wydatków na import. Wzrost eksportu jest zarazem podstawowym czynnikiem umacniania zewnętrznej równowagi gospodarki".**

Eksportować zatem musimy. Nie rozwodząc się zbytnio nad oczywistymi tego racjami, przypomnijmy tylko, że każdy, absolutnie każdy

Dalszy ciąg na str. 3

LAUREACI NAGRÓD MIASTA ŁODZI

DELFINA AMBROZIAK

Od początku swej imponującej kariery artystycznej związana jest z Łodzią. Tu właśnie jeszcze jako studentka PWSM zadebiutowała na scenie operowej w tytułowej roli „Lakme" Delibesa. Publiczność Teatru Wielkiego pamięta ją jako wspaniałą Małgorzatę w „Fauście" Gounoda, Violettę w „Traviacie" Verdiego, Mimi w „Cyganerii" Pucciniego. Każda jej kreacja była wydarzeniem wysoko cenionym przez krytykę i melomanów. W plebiscycie „Odgłosów" została wybrana „Łodzianką Roku".

Swój talent doskonaliła w Wenecji jako stypendystka rządu włoskiego, odnosząc wiele międzynarodowych sukcesów. Między innymi uzyskała I nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Muzycznym w Monachium. Występowała na wielu scenach operowych świata: w Austrii, Belgii, Holandii, Meksyku, w obu państwach niemieckich, a także w Związku Radzieckim i Stanach Zjednoczonych, w Czechosłowacji, Bułgarii, Rumunii i Szwajcarii. Ostatnio na macierzystej scenie śpiewa partię Bronki w „Hrabinie" Moniuszki.

PROF. DR ZYGMUNT CHARZYŃSKI

Kieruje Zakładem Funkcji Analitycznych i Różniczkowych Instytutu Matematyki Uniwersytetu Łódzkiego, z którym związany jest od pierwszych lat powojennych. Pracował także na Politechnice Łódzkiej. Jest wysoko cenionym na świecie specjalistą w zakresie teorii funkcji analitycznych, a uznanie w środowisku naukowym przyniosły mu także jego dokonania związane z teorią funkcji rzeczywistych, analizą funkcjonalną oraz równaniami różniczkowymi i algebraicznymi. Jako matematyk przyczynił się do powstania nowych metod badawczych, dokonując między innymi rozwiązania takich problemów jak odbijanie wartości funkcji o symetrycznych pochodnych, wariacje funkcji jednokrotnych ograniczonych czy zasada doboru funkcjonału. W jego osobie (jest autorem trzydziestu sześciu prac matematycznych) łódzka nauka zyskała międzynarodowy rozgłos, co potwierdzają liczne kontakty prof. dr Charzyńskiego z liczącymi się ośrodkami matematycznymi na świecie. Dodajmy, że jako naukowiec wychował blisko stu magistrów, był także promotorem dwudziestu przewodów doktorskich i patronował sześciu pracom habilitacyjnym.

KAZIMIERZ DĘBSKI

Jest zasłużonym popularyzatorem muzyki, a powszechne uznanie przyniosła mu działalność pedagogiczna, kieruje bowiem Państwową Szkołą Muzyczną I i II stopnia im. Stanisława Moniuszki. Dzięki swej pasji przyczynił się do rozwoju sztuki śpiewaczej w Polsce, kierując licznymi chórami amatorskimi, które nierzadko, pod jego batutą, uzyskiwały liczące się nagrody i wyróżnienia. Jest w pełnym tego słowa znaczeniu społecznikiem, organizatorem życia muzycznego w naszym mieście. Współzałożyciel i prezes Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego im. Karola Szymanowskiego, działał także czynnie w Wojewódzkim Towarzystwie Upowszechniania Kultury i Polskim Związku Chórów i Orkiestr, kieruje wreszcie założonym przez siebie zespołem wokalnym „Bel canto". Jego działalność została wysoko oceniona przez czytelników „Odgłosów", którzy w redakcyjnym plebiscycie przyznali mu tytuł „Łodzianina Roku"

Jako dyrygent działa w Łodzi ponad ćwierć wieku, dając ponad czterysta koncertów w Polsce i za granicą. Warto dodać, że szczególnie upodobał sobie pracę z młodzieżą, która darzy swego pedagoga niekłamaną sympatią i uznaniem.

MARIAN JAESCHKE

Jest doskonale znany w Łodzi, z którą związał się od 1947 r. Wtedy to zasłużony już artysta malarz przyjechał do naszego miasta podejmując pracę dydaktyczną w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, gdzie między innymi pełnił odpowiedzialną funkcję prorektora. Jego obrazy eksponowane były na licznych wystawach zbiorowych, miał także wiele wystaw indywidualnych, wysoko ocenionych przez krytykę. Obok malarstwa sztalugowego uprawia także malarstwo ścienne w zakresie polichromii, panneaux i sgraffita. W ciągu półwiecza działalności artystycznej (po raz pierwszy prezentował publicznie swoje prace w roku 1930) uzyskał liczne nagrody Działał także przed wojną w grupie „Pryzmat", potwierdzając swój wielki talent jako artysta świadomy własnej drogi twórczej, której pozostał wierny po dziś dzień.

PROF. DR ANTONI KOTEŁKO

Jest cenionym specjalistą w zakresie technologii środków leczniczych, a zarazem zasłużonym współorganizatorem życia naukowego w naszym mieście. Związany od lat z łódzką Akademią Medyczną piastował wielokrotnie funkcję jej rektora, jest także dyrektorem Instytutu Technologii i Chemii Leków Wydziału Farmaceutycznego AM.

Jego dorobek naukowy, obejmujący trzydzieści osiem prac badawczych i jedenaście opracowań technologicznych produkcji leków i odczynników, przyniósł mu wysokie uznanie w środowisku medycznym, tym bardziej, że prof. dr Antoni Kotełko przyczynił się w niemałym stopniu do zacieśnienia związków uczelni z przemysłem. Szczególne znaczenie ma jego wkład w rozwój chemii układów heterocyklicznych.

Łączy pracę naukową z działalnością dydaktyczną, w której także odniósł wiele sukcesów — był promotorem sześciu przewodów doktorskich i wypromował trzech doktorów habilitowanych.

WŁADYSŁAW MALCZEWSKI

Jest związany z Łodzią, a ściślej z jej teatrem operowym od siedemnastu lat, co stanowi niemal połowę jego działalności artystycznej. W pamięci widzów zapisała się już pierwsza jego rola na łódzkiej scenie w „Kniaziu Igorze" Borodina. Z ważniejszych jego kreacji warto wymienić tytułową rolę w „Henryku VI na łowach", Don Kichota w „Człowieku z La Manczy" czy Miecznika w „Strasznym dworze", gdzie połączył talent wokalny z dojrzałą grą aktorską, co się szczególnie liczy w teatrze operowym. Nic dziwnego, że otrzymuje często zaproszenia do współpracy z zagranicą. Między innymi występował w Lubece i Berlinie, w Związku Radzieckim, Bułgarii, Jugosławii i Finlandii.

Potrafi łączyć własną, imponującą karierę artystyczną, z działalnością pedagogiczną na Wydziale Wokalno-Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi. Aktualnie reżyseruje na przykład w szkole „Traviattę" Verdiego, przekazując studentom swoje bogate doświadczenie operowe. W tej działalności dydaktycznej odnosi wielkie sukcesy, co poświadcza ranga łódzkiej uczelni na mapie kulturalnej naszego kraju.

PROF. INŻ. BRONISŁAW SOCHOR

Jest związany z Łodzią od pierwszych dni po wyzwoleniu i w naszym mieście rozpoczął swoją pracę dydaktyczną na Politechnice Łódzkiej, gdzie od roku 1947 był wykładowcą z zakresu elektrotermii, w której odniósł znaczące dokonania naukowe. Zajmuje się problematyką grzejnictwa oporowego, badał także zagadnienia akumulacji ciepła i indukcyjnego nagrzewania metali, co ma wielkie znaczenie praktyczne i zostało wykorzystane w przemyśle. Te badania przyniosły mu międzynarodowe uznanie, a jego siedem książek i przeszło sto artykułów stanowi trwały dorobek łódzkiej nauki. Był współorganizatorem katedry elektrotermii i Wydziału Elektrycznego PŁ, gdzie wielokrotnie piastował funkcje dziekana i prorektora. Dał się także poznać jako aktywny działacz Stowarzyszenia Elektryków Polskich i Międzynarodowej Unii Elektrotermii, której był przewodniczącym. Warto dodać, że prof. Sochor zaczynał swoją działalność w okresie międzywojennym od pracy inżynierskiej, dobrze poznał problematykę przemysłową, co zapewne miało ogromny wpływ na jego późniejszą działalność naukową tak bardzo związaną z konkretnymi problemami naszej gospodarki.

BERNARD SZTAJNERT

Jest łodzianinem z wyboru i urodzenia, i w naszym mieście powstały wszystkie jego książki tak bardzo związane z Łodzią. Zadebiutował tomem wierszy „Chwila ahistoryczna", stopniowo rozszerzając swoje zainteresowania na prozę o wielkich walorach formalnych, która przyniosła mu uznanie krytyki Już tom opowiadań „Tajemnica Maxa Hellera" zwrócił na siebie uwagę ważkością problemów etycznych, które są charakterystyczne dla pisarstwa Sztajnerta. W kolejnych książkach „Narodziny Brunona Bundera", „Ulica Wilcza" i „Grupa pięciu", które zamknęły się w cykl powieściowy, sportretował mistrzowsko nasze miasto kreując bohatera łodzianina. Z wysoką oceną spotkała się także jego książka „Śmierć prokuratora", w której drąży problemy moralne, ukazując wrażliwość ludzkiej jednostki. Wraca także do poezji, wydając kolejne tomy wierszy, a szereg jego utworów, tematycznie związanych z naszym miastem i regionem, zyskało nagrody na konkursach. Czytelnikowi „Odgłosów" jest na pewno Sztajnert znany jako autor felietonów „Bez strachu", które zamknęły się w książkę o takim samym tytule. Obecnie pracuje nad pięcioksiągiem, którego pierwsze tomy już się ukazały („Księga zdarzeń" i „Księga ojca"), zyskując uznanie krytyków, którzy podkreślają wielką dyscyplinę intelektualną pisarza, walory psychologiczne jego prozy i wierność problematyce etycznej.

Rozmowę z laureatem publikujemy na str 12.

NAGRODA ZESPOŁOWA

Wśród laureatów znalazł się także zespół inżynierów z Łódzkich Zakładów Radiowych „Unitra-Fonica" w składzie: mgr inż. Witold Bohdziun, mgr inż. Leon Bołduniak inż. Janusz Jański, mgr inż. Jan Kędziora, mgr inż. Marek Mierzwiński, mgr inż. Stefan Skoczek i inż. Andrzej Skoneczny. Wszyscy oni w niemałym stopniu przyczynili sie do powstania najwyższej klasy gramofonów Hi-Fi, z których zasłynęły łódzkie zakłady na rynku krajowym i za granicą, bowiem znaczną część produkcji eksportujemy do krajów socjalistycznych. Sprzęt elektroniczny z „Foniki" wystawia najlepsze świadectwo polskim konstruktorom, którzy wnieśli oryginalny wkład myśli, poparty wnioskami patentowymi. Produkty łódzkich zakładów cechują najwyższe parametry techniczne i walory estetyczne, nic więc dziwnego, że cieszą się one uznaniem melomanów w Polsce i na świecie.

Od lewej: prof. dr Antoni Kotełko, prof. dr Zygmunt Charzyński, Władysław Malczewski, Delfina Ambroziak, prof. inż. Bronisław Sochor, Marian Jaeschke, Bernard Sztajnert, Kazimierz Dębski.

Foto: R. Łucyszyn

Z TRADYCJI PLASTYCZNYCH SIERADZA

Ze sztychów, rysunków, obrazów, przedstawiających Sieradz w różnych czasach, można by utworzyć galerię, która kiedyś zapewne w tym mieście powstanie i będzie jeszcze jednym potwierdzeniem bogatych jego tradycji kulturalnych. Wymaga to wysiłku, zjednoczenia intencji ludzi sztuki i działaczy społecznych darzących to miasto — stolicę województwa — szczególnym sentymentem. W parze z tym iść muszą badania terenowe, archiwalne, które pozwolą zgromadzić i opisać w pełni owe egzemplarze sztuki wykonane na przestrzeni kilku stuleci przez rysowników i malarzy, z tym miastem związanych urodzeniem, pracą i pobytem chociażby przelotnym.

Możemy teraz tylko zasygnalizować niektóre zjawiska, ujawnione lub mniej znane, by z wyraźnie rysującej się tradycji plastycznej Sieradza uczynić trwały i żywy wątek jego współczesnej kultury. Niejednokrotnie fragmenty tych zbiorów prezentowano na wystawach w Muzeum Okręgowym, refektarzu Wojewódzkiego Domu Kultury, Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Władysława Broniewskiego, Klubie Nauczyciela; znajdują się one w posiadaniu instytucji, jak i zbieraczy, bibliofilów, miłośników i przyjaciół Sieradza. Są to więc ryciny, akwarele, obrazy, częstokroć reprodukowane w publikacjach książkowych i prasowych, a także wydawnictwa nieperiodyczne. Warto tu wspomnieć o wydawnictwie albumowym „Polskie typy ludowe" (Warszawa 1916), gromadzącym m. in. reprodukcje malarstwa Franciszka Łubieńskiego i Floriana Piekarskiego, którzy w swej twórczości podejmowali motywy sieradzkie.

Potwierdza się też spostrzeżenie, że Sieradz staje się coraz bardziej atrakcyjnym miastem dla artystów plastyków z różnych regionów kraju, których inspiruje swymi zabytkami, urodą ulic i zaułków oraz widocznymi przemianami. Za sprawą powstałego w 1975 roku Biura Wystaw Artystycznych, upowszechnia się tu dorobek twórców z wielu środowisk artystycznych w Polsce. W sieradzkiej Galerii Sztuki BWA eksponowano prace wybitnych artystów, przede wszystkim jednak z Łodzi — Wiesława Garbolińskiego, Józefa Wasiołka, Tadeusza Romana, Zygmunta Hyżego, Kazimierza Kędzi, Janiny Habdas, Edwarda Habdasa, Jerzego Łukasika, Józefa Mroza, Tadeusza Sprusiaka i innych. Wśród proponowanych odbiorcom obrazów przeważały malowidła tematycznie związane z regionem sieradzkim. Są one bowiem w dużej mierze owocem organizowanych tutaj od 1976 roku Sieradzkich Plenerów Plastycznych. Przypomnijmy, że plenery te odbyły się w Sieradzu (1976, 1977), Wieluniu (1978), Zduńskiej Woli (1979) i ich zasadniczym tematem był portret województwa sieradzkiego.

Wraz z rozwojem środowiska plastycznego w Sieradzu i województwie zachodzi potrzeba stworzenia dogodnych warunków dla popularyzacji osiągnięć również tutejszych artystów spod znaku palety i dłuta. W związku z tym w jednym z zabytkowych budynków w centrum miasta, po jego rekonstrukcji i adaptacji, zlokalizuje się Galerię Sztuki, w tym salon sprzedaży dzieł, sale montażowe z pełnym zapleczem itp. W Galerii Młodych, która tu również powstanie będzie się nieustannie prezentować dorobek artystów kończących wyższe uczelnie plastyczne i osiadających w Sieradzu i województwie.

W ostatnim czasie zamieszkało na terenie Sieradzkiego i podjęło pracę, przede wszystkim w Liceum Sztuk Plastycznych w Zduńskiej Woli, kilku artystów plastyków. Są to: Donata Lesińska-Miśkiewicz, Lesław Miśkiewicz, Zbigniew Woźniak, Janina Kaczmarczyk-Szkutnik, Henryk Szkutnik, Anna Marconi, Andrzej Puzan, Krzysztof Wawrzyniak, Marietta Pawłowska, Hanna Walerczak. Jeśli do tego zespołu twórców dodamy nazwiska plastyków — Alicji Szkudlarek, Janiny Sakowicz, Kasjana Farbisza, Franciszka Kubiaka, Maksyma Dzierzgowskiego, Bolesława Stępnia, którzy na początku istnienia nowego województwa powołali do życia „Grupę Sieradzką", a także Stefana Miarki, Stanisława Bobrowskiego, Adama Szlązaka, którzy dołączyli później — to okaże się, że właściwa polityka kulturalna, zainteresowanie władz wojewódzkich sztukami plastycznymi owocuje w postaci prężnie rozwijającego się środowiska artystycznego i rokuje obfitość społecznych i twórczych realizacji.

Wypada w tym miejscu dołączyć wydłużającą się z każdym rokiem listę artystów plastyków urodzonych w Sieradzu i województwie, którzy osiedlili się w innych miastach i tam kontynuują twórczość, nie zapominając o swych rodzinnych stronach. I dlatego też w Sieradzu należy o nich pamiętać. Wypiszmy ich nazwiska: Tadeusz Majda, Ireneusz Olszewski, Maria Benke-Gajda, Marek Iwański, Sławomir Iwański, Janina Grabowska-Krasoń, Elżbieta Kubiak, Maria Kwiecińska, Maciej Wisławski, Zygmunt Laskowski, Jan Dobrzyński....

To, co w dziedzinie kultury uczyniono w Sieradzu, od kiedy to staropolskie miasto znów stało się stolicą województwa i centrum życia kulturalnego — jest uświadomieniem możliwości i zarazem potrzeb środowiska. Kształtujące się w perspektywie Wojewódzkie Centrum Kultury, coraz lepsze warunki lokalowe sieradzkich placówek kulturalnych, ochrona zabytków, aktywizacja zespołów artystycznych i regionalnych — to wszystko, mówiąc ogólnie, daje szanse realizacji inicjatyw i ambicji twórców i odbiorców kultury.

W posłowiu do barwnego katalogu „Województwo sieradzkie w malarstwie" (marzec 1977), dokumentującego I Sieradzki Plener Plastyczny, pisał Tadeusz Stasiak o walorach ekspozycji, że „ożywia wyobraźnię, wzbogaca o artystyczną wizję Sieradza i województwa sieradzkiego, z którym złączeni jesteśmy egzystencją, trudem i marzeniem o ich doskonalszych kształtach". Tak rozumiana praca artystów wieńczy trud wszystkich ludzi tego regionu, staje się potrzebną i niezbędną w codziennym życiu środowiska wsi i miast ziemi sieradzkiej. Dlatego ważny jest każdy twórczy wysiłek, który ubogaca ten region i jego mieszkańców.

F.R.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMKOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

JACEK ZIEZIORA

UWAGA: AWARIA!

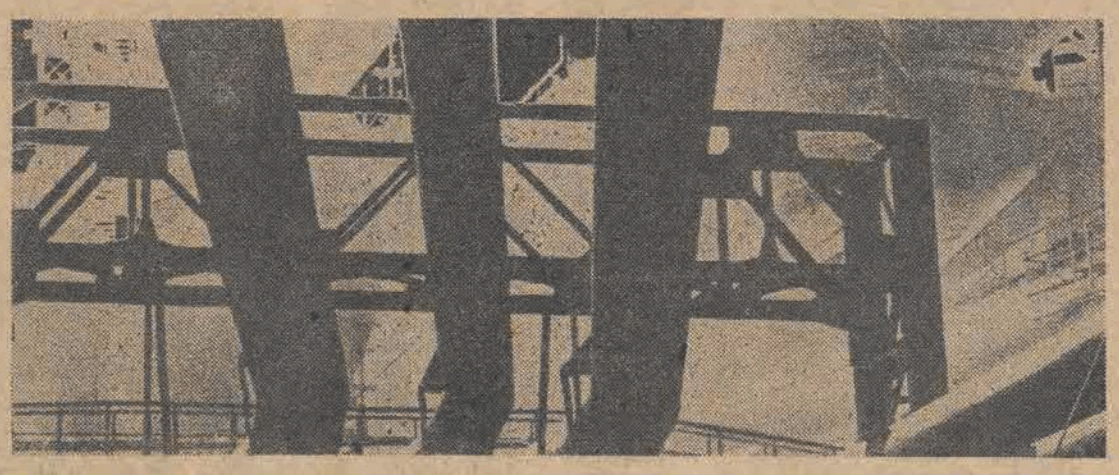

Foto: Archiwum

Nasze ciepłownictwo nękane jest nieustannymi awariami: od początku roku przeciętnie jedna awaria wypada na dzień. Zakłócenia w dostawach energii cieplnej są różne: obejmują kilka, kilkanaście, a nawet kilkaset budynków, trwają kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt godzin.

W sezonie ogrzewczym — od początku października do końca kwietnia — na przełomie lat 1977/1978 Zakład Sieci Cieplnej odnotował 100 różnych awarii. Następny sezon ogrzewczy 1978/1979 — a więc rzekoma zima stulecia — przyniósł 96 awarii. Mamy zaledwie połowę obecnego sezonu ogrzewczego, a już — prawie 80 awarii.

Na uszkodzeniach sieci nie kończy się ciepłownicza plaga, nękająca mieszkańców. Dołączają się do nich bowiem masowe wręcz awarie nieszczęsnych grzejników panelowych, których uszkodzenia dają się już liczyć w tysiące. Tym bardziej, że praktyka jest taka: maleńka dziurka w jednym grzejniku prowadzi do pozbawienia ciepła nie tylko jednego pokoju, nie tylko jednego mieszkania, a nawet nie tylko całego pionu, lecz zazwyczaj całej klatki czy całego bloku. **Niestety nasze grzejniki wyposażone są w jeden zaledwie zawór — wlotowy.** Brak zaworu wylotowego uniemożliwia wymianę grzejnika bez spuszczenia wody z całej instalacji. **Gorzej, że oszczędności — efekt chorobliwej inwencji projektantów — poszły jeszcze dalej: często nie tylko pion, lecz nawet i klatka schodowa nie ma tzw. zaworów spustowych, przez co jedyną radą na maleńką dziurkę jest spuszczenie do miejskich ścieków kilku czy kilkunastu metrów sześciennych gorącej wody, wypełniających całą instalację budynku, zamieszkiwanego nieraz przez setki lokatorów.**

Miało być jednak o awariach...

TEOFILÓW BEZ CIEPŁA

Największy, jak dotychczas, zasięg — odpukać! — miała awaria w Elektrociepłowni nr 3, która z początkiem roku pozbawiła ciepła w sobotę i niedzielę mieszkańców sporej części Bałut, a głównie Teofilowa, osiedli: Wielkopolska, Pojezierska i Zgierska-Stefana. W sumie — ponad 1200 budynków.

W czwartek, 3 stycznia, pracownicy elektrociepłowni alarmują dyrekcję: na kompensatorze pojawił się wyciek.

Kompensator — inaczej: wydłużalnik — to urządzenie umożliwiające swobodne zmiany długości rurociągu, wywołane zmianami temperatury czy ciśnienia . Kompensator w EC-III — zachodnioniemieckiej zresztą produkcji — miał więc chronić rurociąg przed pęknięciem. W końcu zaś sam pękł.

W ciągu nocy wyciek powiększa się niepokojąco. Na szczęście elektrociepłownia ma w zapasie identyczne, całkiem nowe urządzenie. Załoga podejmuje więc natychmiast intensywne przygotowania do jego wymiany. Równocześnie trwają próby załatania dziury i powstrzymania wycieku — bezskutecznie jednak. Na wyższych szczeblach rozgrywa się istna wojna nerwów. Wymiana kompensatora równoznaczna jest z unieruchomieniem elektrociepłowni. Nie wymieniać? Czekać aż się sam rozleci? Ryzyko ogromne: rozerwanie kompensatora zagraża wielodniowym postojem elektrociepłowni.

Po kolejnych bezowocnych próbach naprawienia uszkodzenia w piątek 4 stycznia zapada ostateczna decyzja: elektrociepłownię trzeba zatrzymać.

W sobotę, 5 stycznia, późnym wieczorem kończą się ostatnie przygotowania. Powoli wygasza się kotły, zatrzymuje turbiny. Punktualnie o godz. 22.00 EC-III przestaje pracować. Dziesięcioosobowa ekipa najlepszych spawaczy i monterów przystępuje do pracy. Zawrotne tempo, lecz i maksymalne skupienie — niezbędna jest absolutna sprawność i precyzja, gdyż jakiekolwiek „poprawki" nie wchodzą w grę. Ludzie przecież czekają na ciepło w dotkliwy styczniowy chłód, który wdzierać się zaczyna coraz bardziej w stygnące szybko mury budynków.

Całą noc z soboty na niedzielę, cały niedzielny ranek i przedpołudnie trwają zmagania z czasem i zimą, która daje się we znaki tak ludziom, jak i sprzętowi. Po południu skomplikowana operacja zakończona. Elektrociepłownia przeprowadza niezbędne testy, przygotowuje kotły i turbiny do ponownego rozruchu.

Tymczasem służby eksploatacyjne z Zakładu Sieci Cieplnej — dowodzone przez kierownika rejonu, inż. **Jana Śmigielskiego** na zmianę ze swoim zastępcą, **Piotrem Sokołowskim** — przygotowują wyłączoną sieć do ponownego napełnienia gorącą wodą. **Czesław Czaplarski, Andrzej Stępień i Jerzy Woźniak** ze swoimi brygadami — jak i wielu innych pracowników — rozpoczynają uruchamianie sieci. Przemierzyć trzeba dziesiątki kilometrów rurociągu, zajrzeć do dziesiątek komór i rozdzielni, podnieść dziesiątki zasuw, odkręcić setki zaworów, sprawdzić setki manometrów i innych urządzeń.

Wieczorem turbiny elektrociepłowni zaczynają tłoczyć gorącą wodę w ciepłownicze magistrale. Wiele jednak jeszcze godzin upłynie, zanim ciepło dotrze do wszystkich mieszkań. Tu i ówdzie wystąpią bowiem dodatkowe opóźnienia i komplikacje. Wykrywa się lokalne awarie, eliminuje drobne przecieki, uruchamia wewnętrzne instalacje w budynkach, w których administratorzy czy gospodarze spuścili z rur całą wodę...

— Awaria ta, której skutki uderzyły w tysiące ludzi, była na szczęście nie tak trudna do opanowania — komentuje dyrektor Zakładu Sieci Cieplnej, mgr inż. **Paweł Walczak. — Cała sytuacja rozwijała się w stosunkowo długim czasie, nie wymagając natychmiastowych interwencji. Wszystko można było w porę przygotować. Można też było sprawnie przeprowadzić całą operację tak pod względem technicznym, jak i organizacyjnym. Gorzej, kiedy awaria ma charakter nagłej katastrofy. Jeszcze gorzej, kiedy zbiegną się w czasie dwie lub więcej awarii, wymagających szybkiej interwencji służb remontowych i eksploatacyjnych. Początek sezonu ogrzewczego — mimo dużej ilości uszkodzeń — nie dał nam się, jak i mieszkańcom miasta, tak bardzo we znaki. Awarii było dużo, ale rozłożonych w czasie. Od pierwszych jednak dni stycznia nasza sieć nie daje nam ani chwili „oddechu". Awarie zbiegają się, nakładają jedna na drugą. Szczególnie drastycznym przykładem jest ów feralny czwartek, 10 stycznia.**

FERALNY CZWARTEK

Magistrala doprowadzająca ciepło na Dąbrowę i Zarzew, przecieka na odcinku między ul. Promińskiego i Tatrzańską — taka konkluzja wynika z długich obserwacji. Nie jest ona zresztą dla nikogo zaskoczeniem: **już dawno ten fragment rurociągu zakwalifikowany został do wymiany.** Wstawiony nawet został do planu Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Ciepłowniczych i Instalacyjnych. Szacowna ta firma wykonać miała wymianę rur do września zeszłego roku. Niestety, „portfel zamówień" przedsiębiorstwa był tak wypchany, że z każdym nowym zleceniem, z kolejnym priorytetem i następnym naciskiem z góry coraz bardziej trzeszczał w szwach, aż wreszcie pękł, gubiąc w natłoku „ważniejszych" zadań ów skorodowany fragment magistrali ciepłowniczej. Rzecz odbyła się zresztą bez rozdzierania szat: realiści, srodze doświadczeni przez naszą rzeczywistość, zdają sobie sprawę, że nie jedyne to przedsiębiorstwo, któremu rozsypał się portfel...

Tak czy inaczej, przeciek jest. W miarę obniżania się temperatury powietrza, wzrasta ciepłota i ciśnienie wody — wyciek się powiększa. Czekanie w nieskończoność i modlenie się do rurociągu, aby wytrzymał do wiosny i nie rozpruł całkiem — nie ma sensu. Lokalizuje się więc dokładnie uszkodzenie: znów kompensator. Decyzja: z rurami poczekamy do wiosny, teraz zaś wymienimy tylko kolano kompensatora, gdyż pozwoli to zabrać ludziom ciepło na kilkanaście jedynie godzin, a nie — wiele dni.

Służby remontowe ZSC przygotowują starannie teren — na północnej stronie ulicy Dąbrowskiego. Jest już potężny wykop, obnażający przeciekający kompensator. Są na miejscu ludzie, zgromadzony jest sprzęt. Cała odkrywka rzęsiście oświetlona i przygotowana do operacji wymiany.

Zbliża się północ. Załoga elektrociepłowni i służby eksploatacyjne zaczynają — jak mówią fachowcy — odstawianie sieci. Powinno to przebiegać sprawnie: wieczorem obniżono już odpowiednio temperaturę wody, żeby łatwiej ją było pompować.

Godzina 1.00 w nocy. Na Dąbrowie zaczyna się „zrzucanie" wody, a tu nagle alarmujący sygnał: — **Strzał na Wierzbowej! Ulicą wali wrzątek!** — Dyspozytorzy łączą się natychmiast ze swoimi pionami i milicyjnymi radiowozami, kierując do tych ostatnich prośbę: — **Póki co, pomóżcie lokalizować awarię!** — Meldunki z początku rozpaczliwe: — **Cholera! Kiedy nic nie widać! Tylko kłęby pary się unoszą. Wszędzie mgła, choć oko wykol. A na jezdni — gorąca rzeka! — Co robimy? Zatrzymujemy roboty na Dąbrowie? Całe przygotowania szlag trafi? Sprawa się przedłuży, a ludzie już przecież marzną w swoich domach** — naradzają się dyrektorzy ZSC — **Paweł Walczak i Jerzy Piechota.**

Jest sygnał: — **Woda wali z komory cieplnej nr 736. — Żeby to tylko awaria w komorze... Szczyt optymizmu! Gdzie tam, najpewniej rozprul się rurociąg, a woda wpływa do komory kanałem.**

Pierwszy dociera na miejsce awarii brygadzista **Henryk Szwajkowski**, który natychmiast po alarmie rusza przeczesywać teren. Dopada do parującego gejzera. Nie czeka na dyspozycje, nie konsultuje się z szefami, nie ma na to czasu — musi działać natychmiast, bo czas mierzy się tu w sekundach. Elektrownia dostała sygnał: wygasza kotły olejowe, zmniejsza temperaturę i ciśnienie. A Szwejskowski działa — przytomność umysłu, kwalifikacje, doświadczenie czynią każdy jego krok bezbłędnym. Melduje przez radiotelefon: — **Spuszczam zasuwy w komorze 231... Odcinam ciepło w komorze 1266... Otwieram zasuwy w komorze 191. Stare Miasto zasilam z lewej strony, z zachodu.**

— **No, odcinek wyrzekowany! Dwa i pół kilometra magistrali** — stwierdza dyrektor Walczak. Przedziurawiony rurociąg wyłączony z sieci cieplnej. Odcięte dwa osiedla: Wierzbowa i Jaracza. Na szczęście, niewielkie: z 80 budynków. Co najmniej dwa razy tyle było zagrożonych, ale Szwajkowski zadziałał: zasilił je energią cieplną z innej strony, omijając uszkodzony odcinek. Tymczasem na miejsce awarii ściągają pierwsi ludzie. Portier z bazy rejonu — dowiedziawszy się o awarii — biegnie dwa bloki dalej i zawiadamia dwóch pracowników, ojca i syna Matysiaków. Zwozić też ludzi zaczyna, wyrywając ich bezpardonowo z głębokiego snu, kierowca zawiadomiony przez Szwajkowskiego.

Do trzeciej nad ranem trwa ściąganie ludzi i sprzętu. Na miejscu są już wszyscy. Dyrektorzy: **Walczak i Piechota.** Jest inż. **Andrzej Szemaszek** od remontów i jego zastępca **Witold Sitek.** Jest kierownik **Zbigniew Sitek** i brygadzista **Henryk Krzyżanek.** Jest też gospodarz tego rejonu — inż. **Jan Śmigielski.** Jest w końcu brygadzista **Jerzy Woźniak**, o którym mawiają: — **Ładuje się harpagon w parę, jakby do sauny wlazł, a nie do komory, gdzie się można żywcem ugotować.** Jest też wielu innych.

Są również trzy pompy. Trzeba wypompować wodę, ale to wciąż wrzątek. Klepska sprawa, bo wszystko zaparowane, po omacku trzeba działać, a tu pompa przegrzana zatyka się, urywając słup wody. Podtoczyć więc następną. I tak na okrągło. Mozolnie. Godzina po godzinie.

Nad ranem jest już koparka. Operator się niecierpliwi, ale dopiero koło jedenastej można ustalić kierunek wycieku. Rusza koparka ryjąc przemarzniętą ziemię w odległości stu metrów od komory. Pudło! Jak w artylerii, trzeba się wstrzeliwać do skutku. Dopiero trzecia odkrywka odsłania uszkodzenie. O, ironio, sześć metrów. — **Kurczę blade! Ale się rozpruł!** — komentują rozdygotani z emocji, zimna i niewyspania. Faktycznie, rurociąg wygląda nieszczególnie. Trzeba wymienić spory kawał skorodowanej rury, która pękła na długości 55 centymetrów.

Jest już 13.30. Rozryć należy wjazd na teren VIII Liceum Ogólnokształcącego im. A. Asnyka. Można by wprawdzie podjazd oszczędzić, ale dłużej by to trwało: — **Nie czas żałować róż, kiedy ludzie marzną!** — przecina ktoś krótką dyskusję. Łycha koparki wgryza się w bruk.

Ludzie spoglądają na zegarki. Niestety, niczego nie da się przyspieszyć, ani przedtem, ani teraz. — **To naprawdę rekordowe tempo!** — pocieszają się nie bez racji nawzajem. Pocieszają się też pomyślnymi meldunkami z Dąbrowy, gdzie wszystko przebiega sprawnie, zgodnie z planem. Szesnastą już godzinę — bez chwili przerwy — spędzają remontowcy w wykopie przy ul. Dąbrowskiego. O godzinie 16.45 spawacze kładą ostatnią kroplę metalu na wymienionym kompensatorze.

Kończą w samą porę, bo już rurociąg na ul. Wierzbowej przygotowany do naprawy. Rura przyciągnięta już dawno, przycięta też do odpowiedniej długości. Koparka wycofuje się, a do dołu wskakują spawacze: **Jerzy Golański, Zbigniew Siarkiewicz i Andrzej Sylwestrzak.** Zaczynają wycinać pęknięty odcinek rury.

Na Dąbrowie tymczasem rozpoczyna się napełnianie, odpowietrzanie i uruchamianie cyrkulacji w sieci. Cała operacja trwa siedem godzin. Około pierwszej w nocy kaloryfery zaczynają grzać na Dąbrowie i Zarzewie. W niespełną godzinę później ciepło dociera również i do mieszkań w osiedlach: Wierzbowa i Jaracza. Po upływie trzech godzin od wspawania nowego odcinka rurociągu...

KOSZMARNE WSPOMNIENIA

— **Uff! Udało nam się opanować sytuację** — stwierdza jeden z uczestników akcji. — **Były jednak momenty, kiedy przypominał się nam koszmar zeszłej zimy...**

Cóż, łódzcy ciepłownicy niechętnie wspominają minioną zimę: biały koszmar niejednemu śni się po nocach. Niechętnie też wracają w rozmowach do owego momentu załamania, któremu splot okoliczności nadał rangę katastrofy.

Tylko ten, kto zeszłej zimy trwał na posterunku, uczestnicząc w nierównej walce z okrutną aurą, kto dniami i nocami nie dosypiał i nie dojadał, kto przemarzał do szpiku kości i słaniał się z wycieńczenia, żeby nieludzkim wręcz wysiłkiem i bezprzykładną ofiarnością łagodzić konsekwencje nagłego ataku zimy i braku należytego do niej przygotowania — tylko ten jest w stanie pojąć czym dla pracowników łódzkiej energetyki był dobowy postój EC-IV, spowodowany awarią rurociągu, doprowadzającego ciepło do mieszkań osiedla Widzew-Wschód.

Kiedy temperatura powietrza obniży się poniżej minus dziesięciu stopni, temperatura wody tłoczonej w sieć ciepłowniczą musi znacznie przekraczać sto stopni, inaczej bowiem praca elektrowni zda się psu na budę: mieszkania będą niedogrzane. Każdy metr sześcienny wody o takiej temperaturze z chwilą rozprężenia się i zetknięcia z mroźnym powietrzem daje tysiąc metrów sześciennych pary wodnej. Przebicie rurociągu (w języku fachowym: perforacja) — przypomina w takich warunkach najprawdziwszą eksplozję, tym zresztą groźniejszą, że długotrwałą.

Tak też było rok temu z EC-IV. O załataniu dziury w cieplnej magistrali nie było w ogóle mowy bez wygaszenia kotłów. Dobywająca się z ziemi para — jak wspominają świadkowie — oczy wygryźć chciała, smagała, parzyła twarze, ręce, uniemożliwiając przez wiele godzin dobranie się do dziury w rurociągu. Znaleźli się nawet odważni operatorzy koparki, którzy nie bacząc na ryzyko, ziemię ryć chcieli od razu. Cóż jednak po ich najlepszych chęciach, skoro gęsta i gorąca mgła utrudniała przez długi czas ustalenie miejsca awarii, rozrycie zaś po omacku kilku hektarów zlodowaciałej skorupy jeszcze bardziej pogorszyłoby sprawę. Trzeba więc było czekać. Czekać w męczącej, okrutnej świadomości, że tam — na Widzewie-Wschód — postój elektrociepłowni zbiega się z przerwami w dostawach energii elektrycznej i zakłóceniami w dopływie gazu ziemnego...

— **Na szczęście tegoroczna zima jest znacznie lżejsza** — pocieszamy się nawzajem, spoglądając na termometry i w kalendarz, wsłuchując się w grzejniki. — **Na szczęście, nie jest taka mroźna!**

Czyżby?

LITOŚCIWA AURA

Tegoroczna zima jest następną, po zeszłorocznej, normalną polską zimą. Litościwa aura darowała nam kilka lat, w czasie których okresy zimowe charakteryzowały się nietypowymi dla naszego klimatu cechami klimatu morskiego. Wilgotnego i łagodnego.

Porównajmy tylko pierwsze tygodnie stycznia, obliczając dla nich średnie dobowe temperatury:

1978 — 0,54 st. C
1979 — 8,40 st. C
1980 — 8,20 st. C

Rzecz jasna, jest między zeszłą a obecną zimą różnica, zbawienna zresztą dla naszego życia społeczno-gospodarczego. Jest zasadnicza różnica — odpukać! — jak dotąd.

Pamiętamy: w piątek, 30 grudnia 1978 roku, o ósmej rano było jeszcze pięć stopni ciepła. Padał nawet rzęsisty deszcz, który niepostrzeżenie zmienił się w lodową mżawkę: o godzinie dziesiątej termometry wskazywały już minus piętnaście. Wagony naładowane węglem na Śląsku, zroszone po drodze obficie, wjeżdżały w rejonie Częstochowy w strefę siarczystego mrozu, który przeistaczał mokrą zawartość węglarek w twardszą od betonu, zeskorupiałą do dna zmarzlinę. Elektrociepłownie łódzkie, pozbawione dostatecznych zapasów paliwa, podjęły rozpaczliwe zmagania z żywiołem. Co innego, gdyby węgiel leżał w hałdach — jedno dźgnięcie łychą koparki obnażyłoby wówczas spod lodowej pokrywy suchy i sypki opał. A tak? Niczym jest ponoć górnicze fedrowanie na przodku w porównaniu z wyładunkiem wagonów, napełnionych zlodowaciałym węglem. Na domiar złego nawet i takich wagonów zaczęło wkrótce brakować: zima rozszalała się na dobre, zatykając śniegiem i lodem szlaki komunikacyjne.

Czy te ciężkie zimowe przejścia nauczyły nas czegoś? Podobno tak. Oby jednak owe nauki nie poddane zostały równie surowemu egzaminowi. Mieliśmy w tym roku jednorazowo zapasu węgla na trzy tygodnie — najwięcej, we wrześniu. A potem zapasy zaczęły się kurczyć i powróciła normalna już „zabawa w węgiel": telefony, monity, prośby, zaklęcia, interwencje. A jeśli zima znów przypuści nagły atak? Jeśli zatka nasz transport? Brr...

ŁATWO PROROKOWAĆ

Żadna to satysfakcja, jeśli autor krytycznego artykułu doczeka się spełnienia swoich prognoz. Opublikowaliśmy jesienią zeszłego roku artykuł pt. „Ile pary w kotłach" („Odgłosy" nr 41/79). Pisaliśmy wówczas: **„Równie dotkliwy — a pogłębiający się od lat — jest problem braku mocy przerobowych w działalności remontowej, której odpowiedni zakres jest gwarancją sprawności funkcjonowania ciepłownictwa. Nienadążanie bowiem za potrzebami remontowymi jest najprostszą drogą do zwiększenia ilości awarii.". A dalej: „Sprawa więc remontów — awaryjnych czy profilaktycznych — urasta w Łodzi do rangi problemu — kto wie, czy nie numer jeden. Dodatkowo komplikuje ją rozpowszechniające się w zastraszającym tempie budowlane partactwo.".**

I tak moglibyśmy cytować długo i obszernie. Po kolejnych doświadczeniach powiedzmy sobie tylko, że doceniamy wysiłki pracowników ciepłownictwa, ich zaangażowanie i ofiarność — niemniej nie możemy oprzeć się pytaniu: dlaczego ci ludzie tak się męczą? Dlaczego zmuszani są do walki, rozpaczliwej często, ze skutkami, podczas gdy trzeba by usuwać przyczyny. Męczą się i energetycy, męczą się i mieszkańcy miasta. Ogromne też straty ponosi nasza gospodarka. Rzecz zresztą nie kończy się na ciepłownictwie, a nawet nie na całej energetyce. Wiadomo: b r a k m o c y p r z e r o b o w y c h. Czy jednak sprawy remontów nie dojrzały do innego traktowania? Czy nie należałoby im właśnie nadać priorytetowego charakteru? Na pewno dużo taniej — w sensie ekonomicznym i społecznym — byłoby realizować pełny zakres remontów, niż nieustannie zwalczać skutki zaniedbań. Marne to pocieszenie, że wiele innych miast przeżywa podobne kłopoty.

Przerwijmy te refleksje, wyglądajmy wiosny, z nadzieją, że kolejne nauki nie pójdą w przysłowiowy las, czyli że nasze ciepłownictwo doczeka się zdecydowanej, konkretnej pomocy, która usunie rychło wiele tak oczywistych zagrożeń i niedostatków.

Póki co, na koniec, garść uwag praktycznych i wniosków konstruktywnych. Uwaga: jutro awaria! To nie straszak dla Czytelników, lecz wezwanie do mobilizacji. Awarii nie da się nigdy całkiem uniknąć. Można jednak nieco złagodzić ich groźbę, nawet w tak kiepskiej sytuacji, z jaką mamy w Łodzi do czynienia.

Im równomierniejszy jest przepływ wody w ciepłociągu, im równiejsza ciepłota i ciśnienie — tym mniejsze zagrożenie dla nadwyrężonych fragmentów rur czy złączy. Udary temperaturowe czy ciśnieniowe — jak mawiają fachowcy — bardziej zużywają elementy instalacji, niż ich długotrwałe, lecz równomierne użytkowanie. Daleko przykładów nie trzeba szukać. Wymieniają u kogoś ten cholerny — za przeproszeniem — grzejnik panelowy, a w krótki czas po napełnieniu instalacji wodą, sypią się następne. Bywa tak, że w ciągu dnia trzy i cztery razy spuszcza się wodę z tego samego bloku. Po prostu, niecierpliwy czy gamoniowaty hydraulik otwiera zawory na pełny gaz, wrzątek wdziera się jak rozszalały w rury i wygryza następne dziury w grzejnikach.

Często zdarza się, że elektrociepłownia odnotowuje nagły wzrost poboru wody. Manometry zaczynają skakać jak zwariowane, trzeba zwiększać ciśnienie. Wysyła się nierzadko ekipy „śledcze", które penetrują rozległe tereny w poszukiwaniu przecieku. Po krótkim czasie znów wszystko wraca do normy: trzeba od nowa zmieniać parametry. Wiadomo od razu, że alarm był fałszywy, że to tylko w kilku naraz blokach raptownie uruchomiono ogrzewanie po wymianie grzejnika czy wymianie zaworu. I tak w kółko. Taka wieczna huśtawka przyspiesza bez wątpienia awarie.

Bywa jeszcze gorzej gdy hydraulik jest ofiarą sakramencką. Otworzył w bloku zawory spustowe, a zapomniał zakręcić — wlotowe. Spuszcza w zawrotnym tempie wodę nie ze swego bloku, lecz z całej sieci. Do kanalizacji spływają tony wody i tysiące kalorii, które kosztowały tony węgla.

W dobie istnego kataklizmu, istnej epidemii panelowej te masowe wręcz ingerencje — często nieudolne — w nasz system ciepłowniczy muszą być uzgadniane i konsultowane ze służbami energetycznymi. To po pierwsze.

A po drugie! Często awarie poprzedzane bywają przez uchwytne symptomy — a to podejrzany obłoczek pary, to znów sączący się gdzieś wrzątek. Jak w medycynie: im wcześniej wykryta choroba, tym skuteczniejsze i prostsze jej leczenie.

Łódzka sieć cieplna to prawie pięćset kilometrów rur, przenoszących parę i gorącą wodę. Służby eksploatacyjne nie są w stanie skontrolować całej sieci, chociaż czynią to dzień w dzień. Ogarnięcie jednak całości jest fizyczną niemożliwością. Każda więc dodatkowa obserwacja, każdy życzliwy sygnał — są niezwykle cenne.

Słowem, bądźmy rozważni i czujni. Uwaga: jutro awaria! Może być, ale nie musi!...

SAMORZĄDNOŚĆ POD NADZOREM

Dalszy ciąg ze str. 1

8 stycznia. Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego „Bistona"

(Na obiad — schabowy z fasolką). W koreferacie prezydium samorządu robotniczego trzykrotnie słowo „brak": ludzi, środków na uzupełnienie transportu i odzewu na powtarzające się postulaty. Te kierowane „w górę" — o ujednolicenie dostawców przędzy bawełnianej na przykład (najłatwiej i najtaniej byłoby zaopatrywać się w bratnim widzewskim „1 Maju"), te kierowane (właśnie — do kogo, gdy przemawia przewodniczący rady zakładowej?), no mniejsza... — o uporządkowanie poprojektanckiego i pobudowlanego niechlujstwa, o poprawę warunków pracy.

Czesław Kubuszewski woli adresować wprost: *Najgorszą jakość mają nasze syntetyczne dzianiny gładkie. Przez pół roku rozpracowywała problem specjalna komisja zakładowa. Skończyło się niczym. Więc może zabierze się do pracy raz jeszcze i coś wymyśli. Albo temat podnośników do osnów. Nikt jakoś nie kwapił się, by je konserwować. Wreszcie, gdy wysiadły wszystkie, trzeba było ostrej dyspozycji dyrektora, by dział głównego mechanika wyremontował jeden. Dziwne to zwyczaje.*

Prawda — dziwne. Więc najwięcej racji ma Eugeniusz Inasiewicz (choć zdobne bielą koszul i czerwienią krawatów towarzyszki protokolantki parsknęły śmiechem i odłożyły długopisy, gdy o tych „kiblach" zaczął mówić), który domaga się, by każdy robił to co do niego należy. On *codziennie musi barwić przędzę, to hydraulik musi codziennie sprawdzać, czy z kranów i rezerwuarów nie cieknie. I tylko taka może być gospodarność, bo narzekaniem na ludzi daleko się nie zajedzie. A co do tych warunków, to on zaprasza towarzyszy na śniadanie do farbiarni. Niech spróbują usiąść w tej niby jadalni, żadną ścianą nie oddzielonej od hali i przełknąć cokolwiek. Może wtedy szybciej znajdą moce przerobowe na wymurowanie przegrody.*

Zasłaniamy się brakiem części zamiennych — podejmuje wątek napoczęty przez kilku dyskutantów Włodzimierz Ginter. *Ale co tu kryć, sami niszczymy. Gdy wózkarz zgubi lub zawieruszy kluczyk od stacyjki, to uruchamia gwoździem. Efekt — połowa wózków akumulatorowych w ciągłym remoncie. Ledwo jednak wyklepiemy, odpucujemy, znów wracają do nas wraki. Za trudne? W obsłudze brak fachowców? A ja mówię — brak nadzoru, bo w wydziale kdk i w teksturowni potrafiono się z niszczycielami uporać.*

Prezydium notuje, sala słucha. Przed każdym sucha tabela ze wskaźnikami. 9 550 ton przędzy, 6 600 ton dzianin. Mniej niż projektowano na rok ubiegły, więcej jednak, niż zdołano w roku ubiegłym wykonać. Więc niby łatwy to plan, bo zatrudnienie jednak większe o 90 osób, płaca wyższa. Narosło tu jednak spraw i sprawek. Nie tak miło wyczytać w gazecie, że „Lido" narzeka na dzianiny, a ktoś inny na przędzę. Nie tak lekko będzie, gdy zacznie się bezpośrednia konfrontacja z klientami, którzy w tym roku po raz pierwszy znajdą wyroby „Bistony" w sklepach. A tu jeszcze zjednoczenie przypomina o kosztach, ministerstwo zaś zamiast hojnej ręki wyciąga argumenty — przestaniecie marnować surowiec, zaoszczędzicie, będziecie mieli pieniądze na inne zakupy. Więc coraz słabiej w tej dyskusji brzmi słowo — potrzeba nam, coraz silniej każde — „zrobimy tak i tak".

11 stycznia. Łódzkie Zakłady Przemysłu Skórzanego „Skogar"

Kombinat działający w kilku województwach, garbujący skóry, produkujący buty i odzież skórzaną, z centralą pracującą od roku w imponujących obiektach na ulicy Traktorowej. (Suche ciasteczka i coś zimnego do popicia). Tu nie ma się czego wstydzić. Jeszcze w lipcu nikt nie wierzył, że wykaraskają się z kłopotów rozruchu i koncentracji. We wrześniu nowa łódzka fabryka osiągnęła jednak projektowane zdolności produkcyjne, nie uroniła z nich nic do końca roku i oto plan został przekroczony. 16 tysięcy par przy produkcji z 4 135 tysięcy — niby nie majątek, ale dla tych, którzy te szesnaście tysięcy znaleźli niespodziewanie w sklepach — pełnia szczęścia. *No to wystarczy* — myślę — *pogratulować, zabrać materiały pod pachę i opatrzywszy relację budującym tytułem, darować sobie dyskusję, która nic ponad zachwyty nad umiejętnościami kadry, aktywu i samorządu przynieść nie może.* Rok bieżący — co za problem. Te trzysta tysięcy par butów więcej i na bazie tego m. in. 7-procentowy wzrost eksportu... Jakość? No, rzeczywiście. Uzyskali w roku ubiegłym 89,4 proc. obuwia zgodnego z normą, to i uzyskają przewidywane na rok bieżący 91 proc., tylko prawda, że czasem norma sobie, a stopa i gust sobie, więc może jednak i „Skogarowej" samorządności warto się solidnie przypatrzeć.

Dopiero po czterech dniach od wprowadzenia nowego wzoru zapanowuje w wydziale jaki taki spokój i zaczynamy łapać rytm. Dlaczego? Bo dokumentacja przychodzi „pięć po dwunastej". Bo naniesione na nią uwagi działu przygotowania produkcji nie są zrealizowane. *Bo wykroje też docierają z opóźnieniem* — to mówi ktoś ze szwalni.

Ja jestem z wydziału 410, gdzie praktycznie zaczyna się produkcja. Więc mogę mówić o bałaganie w gospodarce magazynowej i materiałowej. Wydaje się surowiec „jak leci". A po gospodarsku to byłoby tak — lepsze gatunki z gorszymi, aby przy rozkrawaniu dopasowywać co się na co nadaje. A w ogóle to już w magazynie powinno być pokompletowane — według dostawców, gatunków, kolorów. Wtedy nie dowiadywalibyśmy się o braku czegoś tam, jak już trzeba nam zrealizować zamówienie. Ci z niskiego magazynu zaczynają szukać w wysokim. Nie ma? — no to zastanawiaj się bracie, na co chcesz zamienić. A czas biegnie. Przekroczyliśmy fundusz płac. Nie ma się z czego cieszyć. To ja tak liczę — w każdym wydziale, na każdej zmianie zatrudniamy po dwu pracowników, którzy całe osiem godzin wywożą spod warsztatów śmieci, no bo przecież nikt z nas nie ma czasu aby biegać czterysta metrów wokół całej fabryki na wysypisko. 16 zdrowych chłopów, którzy mogliby stanąć przy maszynie bierze miesiąc w miesiąc po cztery i pół tysiąca zupełnie bezproduktywnie. Wystarczy podumać, jakoś inaczej wysypiska ulokować i oszczędność jest.

No i proszę. A miało być sielsko-anielsko. A miało być idealnie i bez problemu.

Gdy Zbigniew Litaszewski mówi to najważniejsze zdanie — *wyniki ubiegłoroczne są efektem improwizacji, na którą dziś już nie możemy sobie pozwolić* — Apolonia Ciszewska raz jeszcze pyta sąsiada, lepiej widać zaprawionego w KSR-owskich bojach — *jak myślisz, warto im to wygarnąć, prosto w oczy, aby się zbytnio sukcesami nie upajali?* I wygarnia — *surowiec kupujemy za dewizy i nie wolno dopuścić, aby przez pierwsze dni 50 proc. produkcji otrzymywało stempelek „poza wyborem". Tak długo trzeba nowy wzór przygotowywać i pilotować, aż rzeczywiście będzie butem a nie bublem! — Mamy nowy system premiowania uwzględniający jakość* — wpada jej w słowa Zbigniew Pawlak. *Tylko pracownik dopiero jak premię otrzyma albo nie, to wie jak on produkował. A to już za późno i za „wąsko". Potrzeba nam pełnej, ciągłej, szczegółowej informacji — gdzie powstają błędy, kiedy powstają i dlaczego. A także ile kosztują. Takiej informacji na co dzień, dla każdego.*

Zofia Kropidłowska zastrzega się — *nie jestem ekonomistką* — więc i mnie wypada przyznać — nie jestem prorokiem — ale z tą zadziorną blond dziewczyną będzie chyba miała dyrekcja „Skogaru" niełatwe życie. Trzeba być pewnym swego, gdy się mówi: *mamy zakład piękny, pracę lżejszą niż w większości przedsiębiorstw przemysłu lekkiego. Nie przyjmujemy „obiboków". Więc dlaczego sami ich produkujemy? Gdy na wydziały wkracza szturmowszczyzna, bądź brakuje pracy — zaczynają się kalkulacje. I oczywiście — płyną zwolnienia lekarskie. No bo po co zarabiać mniej jeśli można — odpoczywając — zarobić więcej. I po co szamotać się, bo ktoś coś nawalił, jak można w ciepełku przeczekać. A ludzie dobrej roboty? Nie biorą zwolnień, ale zazdroszczą. Tak — zazdroszczą, zamiast potępiać. Przyuczanie do zawodu? Jest, oczywiście że jest. Takie — rób i ucz się na błędach. Dlaczego oszczędzamy na etatach instruktorów zawodu? Nie jestem ekonomistką — widocznie bardziej opłaca się brakoróbstwo... Ochotniczy Hufiec Pracy... Szczycimy się nim, chwalimy. A tak naprawdę uczyniliśmy z junaków „zapchajdziury". Dziewczęta przez miesiąc w ogóle nie miały co robić, ale w grudniu nagle stały się potrzebne więc dano im dzienny limit — 1100 par cholewek. Nie udało się. Przez dziesięć dni uszyły tylko 5 tys. par. No i zaczęło się — kontrole, pokrzykiwanie... A jakim cudem mogły ten plan wykonać jeśli u nas przyucza się do zawodu szwaczki przy obróbce wzorów prawie bez szycia?*

No i proszę. A wydawało się, że wystarczy uporządkować gospodarkę magazynową (łącznie z przełamaniem oporów wobec jedynego w przemyśle skórzanym „cudu techniki" — magazynu wysokiego składowania, który jak na razie „straszy" a nie pomaga), wzmocnić wzornictwo obciążając obowiązkiem tworzenia kolekcji wyłącznie łódzki zakład, rozdzielić pracę pomiędzy całe przedsiębiorstwo tak, aby jeden zakład z drugim ściśle współpracował — i na tym z grubsza koniec. Tymczasem kto wie czy te śmieci, czyjeś niepotrzebne pohukiwanie i w ogóle tysiące szczegółów do których nie dyrektor, a co najwyżej brygadzista może dotrzeć — nie są dla „Skogaru" ważniejsze.

14 stycznia. Zakłady Przemysłu Meblarskiego im. Gwardii Ludowej w Radomsku.

(Schabowy z surówką, amfiteatralnie ustawione fotele w sali kinowej nowego budynku administracyjnego). Już w referacie dyr. Zbigniewa Palucha spór ze zjednoczeniem o obniżony limit zatrudnienia, brak środków na konserwację, bądź wymianę, kilkudziesięcioletniego parku maszynowego. Dwie bite strony maszynopisu postulatów i wniosków — do ministerstwa o zgodne z potrzebami dostawy tarcicy, do zjednoczenia i banku handlowego — o możliwość wykorzystania własnych „zamrożonych" (bo branża nie wykonała eksportu, choć oni przecież tak) środków dewizowych na zakup niezbędnych części zamiennych, drobnych urządzeń, małych partii materiałów i narzędzi, pod adresem zjednoczenia i przedsiębiorstwa zaopatrzenia — o budowę obiektu zastępczego bądź gruntowną modernizację walącego się Z-2 i o zabezpieczenie potrzeb produkcji w następujące materiały — tu lista kilkunastowierszowa.

Czyli „Bistona" po raz drugi — znów potrzeba nam, dajcie... Może jednak nie, może jest pewna różnica — choćby i taka, że „Radomsko" liczy sobie lat 100, produkcja mu z roku na rok rosła, zatrudnienie malało, a jak by nie patrzeć, to nie realizowane od lat postulaty mogą wyprowadzić z równowagi najodporniejszego. I chyba dlatego Jan Kubicki, mistrz z Z-3, wykrzyczał raczej niż powiedział — *rok temu mówiłem, towarzysze posłuchali i rozjechali się, a my zostaliśmy jak żołnierz na froncie bez dowódcy. No i teraz popatrzcie na to hasło — wspólnie decydujemy wspólnie odpowiadamy. Zgoda, zadecydowaliśmy — wykonamy ten plan, tu proszę jest nawet mój podpis i to jest święte, tylko trzeba wypełnić nasze warunki. Była mowa — ludzi odjąć, jak odjąć — ich trzeba uzupełnić. Jest mowa — nie ma środków na import, no to powiedz — z dalekiego rzędu podnosi się niemłody mężczyzna — powiedz ile robisz paskiem ściernym z importu? Tydzień. A polskim? Pięć na godzinę wyrzucasz. Ano, prawda.*

Główny technolog — Stanisław Kiełczewski patrzy, bo musi patrzeć, szerzej. *Warunkowano w tej dyskusji przyjęcie zadań spełnieniem żądań. A te przecież nie są realne, więc popatrzmy raz jeszcze na nasze możliwości. Jedyny nie do odrzucenia warunek — wzrost zatrudnienia. Mamy już najwyższą w branży wydajność przy produkcji mebli szkieletowych. Ale cierpi na tym jakość. Nie dotrzymujemy warunków technologicznych, omijamy pewne operacje. Marnujemy w efekcie czas i materiał. Kiedyś byli w zakładzie „sprawiacze". Coś tam poprawili, dobre od złego oddzielili. Nie ma. Brakuje nam urządzeń. Próbujemy wzorem czechosłowackim sami budować prototypy. Ale co to za budowa, jak cała brygada liczy pięć osób...* Marian Kołaczyk melduje — *Na dzień dzisiejszy brakuje nam 16 tys. litrów lakierów. Brakuje moltoprenu — czym mam wozić tę piankę — samochodami? Brakuje płótna ściernego, szpagatu. W co mam pakować, czym wiązać? Od trzech lat ciągnie się sprawa pił tarczowych. Ciągle jest gorzej.* Kazimierz Kocinak z Z-2: *Mamy zadania na poziomie roku ubiegłego. Ale kto pamięta, że pracowaliśmy świątek piątek, kto patrzy, że każdy z nas ma średnio 6 dni zaległego urlopu?* Janusz Nowak z W-8: *Mamy znakomite obrabiarki, które w tej chwili wykorzystujemy przy obróbce prostych „patyków". Chciałbym zapytać — czemu to niby nie ma zamówień na „meble kapitańskie", które były naszą specjalnością eksportową, dla których tak właśnie wydział zmodernizowano?* Henryk Królikowski — dyr. Zjednoczenia Przemysłu Meblarskiego: *W ubiegłym roku zatrudnienie w branży zmalało o 2 tysiące osób, czyli o 3 proc. W roku bieżącym ubędzie kolejne 1,5 tysiąca ludzi. A wy mówicie — dajcie. Ale gdyby tak, w imię oszczędności surowców nawiązać kontakt z innymi zakładami i robić im z odpadów — a wy macie drewno, czyli skarb — drobne elementy, jakieś nóżki itp., to obiecuję — ludzi podrzucę. Nowe maszyny, inwestycje? Dziś i w tym roku — nie. Trudno, taka jest prawda. Własne środki dewizowe? Jeśli tylko bank handlowy się zgodzi...*

* * *

Najkrócej debatowano w „Skogarze". Można by ten fakt kojarzyć z chłodnawą atmosferą w sali konferencyjnej (nie mylić z temperaturą dyskusji), lecz przecież trudno posądzać aż o taką małoduszność tych, którzy poprzedniego dnia widzieli na termometrach w halach produkcyjnych +14 st. C i jak na gospodarzy fabryki przystało, tłumaczyli — zrozumcie ludzie, w elektrociepłowni awaria... Raczej to radosne i nieco niespodziewane wykonanie planu roku 1979 zawęziło pole dyskusji i skróciło czas wystąpień. Na dobrą sprawę już po stwierdzeniu dyrektora Włodzimierza Soleckiego — *postawione przed nami wskaźniki dyrektywne...*, można było zarządzić głosowanie i rozejść się do roboty. Od zadań 1980 roku odwołania raczej nie ma. Chyba że znajdzie się aktyw, który potrafi mniejszym kosztem wyprodukować więcej i na to „więcej" znajdzie nabywców. I taka jest podstawowa prawda, z którą muszą się liczyć wszystkie samorządy robotnicze, choćby im to nawet było nie w smak.

To po co w ogóle dyskutować? Ano właśnie. Warto sobie odpowiedzieć na takie pytanie, gdy z jednej strony dyrektywy założone przez komisję planowania, zatwierdzone przez sejm i rozpisane przez resorty na zjednoczenia, a z drugiej strony przecież nie hasła tylko o rozszerzaniu uprawnień, umacnianiu roli i rangi konferencji samorządów robotniczych, dzierżących w przedsiębiorstwach władzę najwyższą. Więc czy ta władza tylko ręce podnosi, głosując na „tak", czy jednak coś naprawdę znaczy? I jeśli zdarza się, że potakuje bez przekonania — to kiedy? A jeśli coś znaczy — to też kiedy?

Najgoręcej (i znów nie mylić z temperaturą na sali), było w Zakładach Przemysłu Meblarskiego im. Gwardii Ludowej w Radomsku. Dlatego, że w prezydium sekretarz komitetu wojewódzkiego, wiceminister, dyrektor zjednoczenia, czyli znakomita szansa przekonania „góry" do swoich racji? Może, lecz przecież trudno posądzać aż o taką nieznajomość realiów tych, którzy — niejako sobie wbrew — wyszli prawie z honorem z bardzo trudnej dla meblarstwa sytuacji roku ubiegłego. Zabrakło im do planu produkcji towarowej ułamków procenta, ale zadania dostaw rynkowych zdołali nawet przekroczyć, utrzymując pozycję producenta solidnego i atrakcyjnego.

To co daje taka dyskusja? Ano właśnie. Warto sobie odpowiedzieć na takie pytanie, gdy z jednej strony nie ma miejsca na sentymenty i chwilowe emocje przy określaniu środków realizacji planu, a z drugiej strony — właśnie w imię gospodarności należałoby jednym dać więcej, drugim mniej, a trzecim wcale. Więc czy owe postulaty mają sens tylko jako asekuracja wobec załogi i zwierzchników, czy może naprawdę są metodą na kojarzenie tego co w sejmie z tym co w Radomsku...

I wreszcie Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego „Bistona". Dostawca przędzy i dzianin dla 40 przedsiębiorstw nie tylko własnej branży. Toteż i bezpośredni sprawca niewykonania planu przez przemysł lekki na 800 milionów złotych. Kolos ciągle raczkujący. Nowoczesny i zbierający cięgi za jakość. Piękny i cierpiący na brak ludzi do pracy. Uwikłany we własne kłopoty surowcowo-energetyczne, zwielokrotnione w skutkach po pożarze wydziału przewijalni.

Więc jak tu dyskutować? W poczuciu winy, patrząc ciągle do tyłu na niedobre „wczoraj"? A może w poczuciu siły, patrząc na zadane wskaźniki, w niczym nie odbiegające od uzyskanych? To też są pytania na miarę roku 1980. Bo nie na jedną „Bistonę" wydaliśmy miliardy, i nie jedna „Bistona" musi nas przekonać, że słusznie.

Jeśli nawet przepisane tu fragmenty owych trzech dyskusji nie dają pełnej i jednoznacznej odpowiedzi na te wszystkie pytania — trudno się dziwić. Ważne, że jednak dotyczą one takich właśnie pytań. Bo samorządności nie należy mylić z żywiołem, a demokracji z bałaganiarskim partykularyzmem. Czasem bardzo ciężko podnieść te ręce do góry... Prawda. Ale byle głowy były do myślenia, to ręce mogą być do wskaźników. I jeśli czegoś brakuje dziś konferencjom samorządów robotniczych naprawdę, to obok ludzi, złotówek i dewiz, także lepszej umiejętności orientowania się na to co jest, niż na to, co być mogło by. Słowa bez pokrycia? Nie. Okroiłam zapis tylko z tych wypowiedzi, które po prostu były nudne, sztampowe i puste.

IWONA ŚLEDZIŃSKA

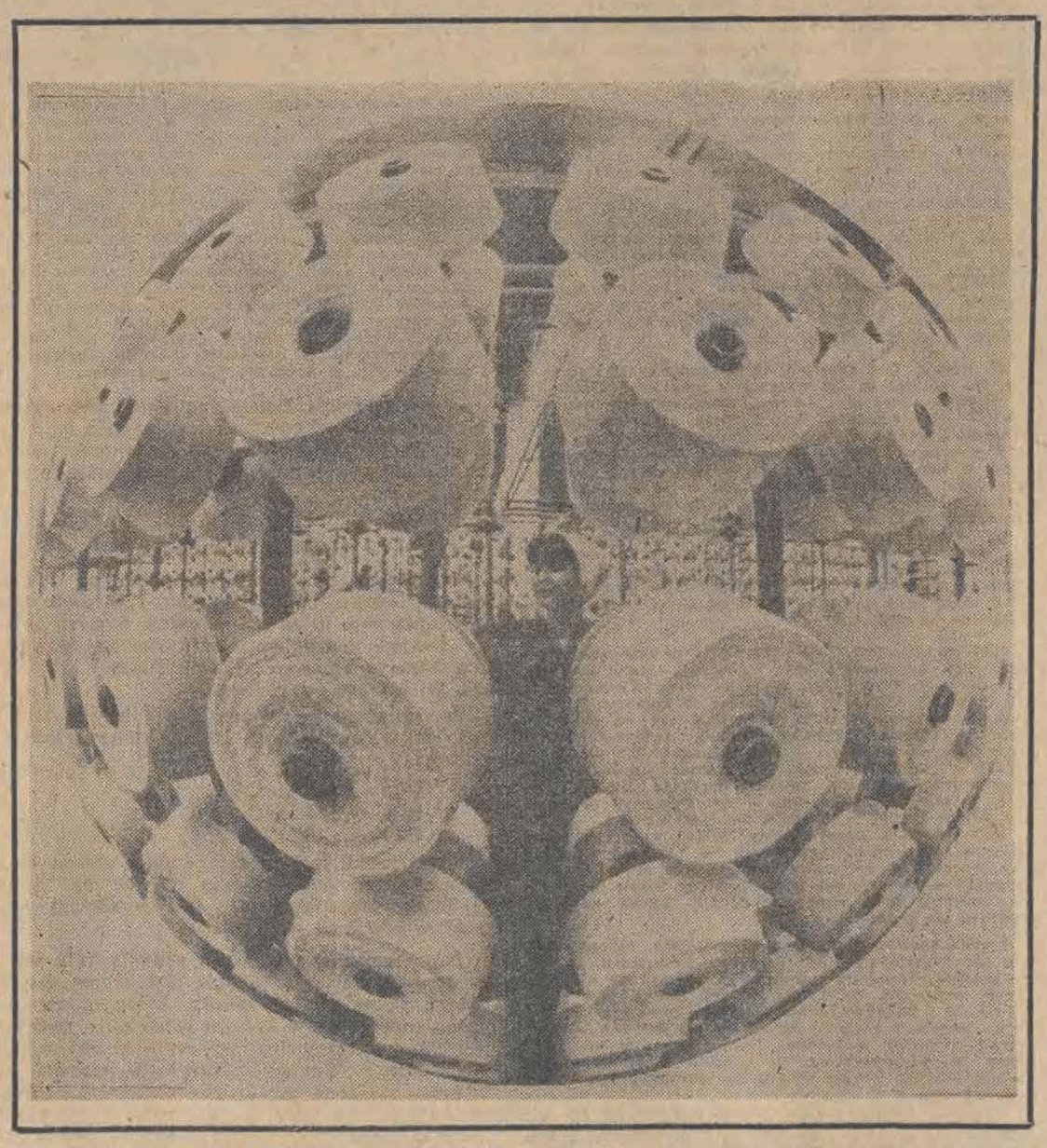

Dalszy ciąg ze str. 1

Trzeba też przyznać, iż przez te cztery lata na korzyść zmienił się wygląd samego Parzęczewa. Wzniesiono wiele nowych budynków, inne wyremontowano, pojawiły się kolorowe elewacje, ostatnio zaś, jakby na osłodę, wymienia się oświetlenie. Piszę „jakby na osłodę", ponieważ jest jeszcze wiele spraw, które ludzi denerwują i utrudniają im życie. I tak na przykład poprawiło się zaopatrzenie, ale żeby coś kupić, trzeba biegać po całej wsi, która ma zubudowę miejską (prawa miejskie stracił Parzęczew w 1870 roku), gdyż małe sklepiki rozrzucone są po domach prywatnych.

Ośrodek Zdrowia to dwa domki jednorodzinne, zlokalizowane daleko od siebie: w jednym przyjmuje dentysta, w drugim lekarz internista. Naczelnik gminy urzęduje w pięknie odmalowanej chałupce, służba rolna gnieździ się u sołtysa, pozostałe wydziały na dwóch innych kwaterach prywatnych, a KG PZPR, biblioteka i Gminny Ośrodek Propagandy i Kultury jeszcze gdzie indziej, na samym krańcu wsi.

Praca Urzędu Gminy uzależniona jest od współdziałania z Gminną Radą Narodową, której przewodniczącym jest sekretarz KG. Ale naczelnikowi trudno się dogadać z sekretarzem, bo dzieli ich kilometrowa odległość, a telefony są przeważnie zepsute, naprawy zaś ciągną się miesiącami Odpowiedzialni za telefony mówią: *Znajdźcie sobie człowieka, to wam zreperuje.*

Gdyby naczelnik miał pod ręką wszystkich pracowników, mógłby w znacznym stopniu usprawnić pracę urzędu. A tak, dzięki temu „rozrzutowi", interesanci, głównie chłopi, błąkają się po całym Parzęczewie i klną, bo tracą czas, a czas to dla nich dobra produkcja rolna i pieniądze.

Franciszek Kubicki, inspektor d/s rady narodowej, mówi, że w tym roku problem zostanie wreszcie rozwiązany. Ale pod warunkiem, że ukończy się budowę nowej szkoły. Będzie wtedy można wprowadzić tam ostatnie klasy i przeszkole, natomiast stary budynek szkoły wyremontuje się, zaadaptuje i umieści w nim cały Urząd Gminy. A kiedy będą to mieć już z głowy, nie umrą jeszcze ze szczęścia, stanie bowiem przed nimi problem „autobusowy" i sprawa dróg...

Ano, tak to już jest w tym parzęczewskim życiu, że jak nie urok, to srebrne wesele. Należy podkreślić, iż z chwilą utworzenia województwa miejskiego gmina uzyskała z Łodzi dużą pomoc w zakresie budowy dróg. Pozostały jednak zaniedbane odcinki, których nie można naprawić z powodu braku funduszów. Czyny społeczne też nie pomogą, bo z łopatą do asfaltu to tak samo jak z widelcem do rosołu. No i na trasie Parzęczew — Łężki leży sześć kilometrów smołówki tak zdewastowanej, z takimi wybojami, zapadliskami, przełomami, że kierowcy autobusów jeżdżą slalomem, albo... nie chcą jeździć wcale. Ponadto na granicy województwa leży kilometrowy „spory" odcinek drogi, którego nikt nie chce naprawiać ani odśnieżać. Aleksandrów zwala winę na Parzęczew, a Parzęczew na Sieradz. Ubiegłorocznej zimy przez ten sporny, zasypany kawałek drogi, unieruchomiony był ruch na całej trasie.

Kiedy w Parzęczewie uporano się częściowo z hodowlą i produkcją roślinną, zaczęto więcej uwagi zwracać na sprawy kultury. Znalazł się chętny do objęcia etatu dyrektora Gminnego Ośrodka Propagandy i Kultury, zawiązało się sporo kółek zainteresowań, na wsiach powstały liczne kluby, m. in. w Różycy, gdzie zespół recytatorsko-wokalny prowadzi pani Zofia Górczyk. Dyrektor GOPiK, Bogdan Sroczyński, otrzymał dwóch instruktorów, dzięki czemu mogły rozpocząć działalność dwa chóry, pięcioosobowy młodzieżowy zespół muzyczny, kapela ludowa wraz z zespołem folklorystycznym. Żeby młodzi ludzie mieli gdzie rozwijać swoje zainteresowania, kosztem miliona złotych wyremontowano i oddano do użytku piękny Dom Kultury. Ale po uroczystym otwarciu Sroczyńskiego szybko opuściły zapał i radosna euforia. On teraz modli się po laicku do pani Eryki Wawrzyniak, żeby ta nie dopuściła do przygaśnięcia działalności kulturalnej. Wawrzyniakowa, zatrudniona na pół etatu przez „Ruch" w małym klubie przy GOPiK, robi, co może („przynieś, wynieś, pozamiataj") i to w zasadzie społecznie. Sroczyński wynosi na plecach stoły z małej salki przy GOPiK, żeby urządzić jakąś większą imprezę, i czasem tylko udaje im się wspólnie z Wawrzyniakową zorganizować coś w Domu Kultury — zabawę taneczną lub projekcję kina objazdowego. Dlaczego? Bo, po pierwsze, ten milion złotych, wydany na Dom Kultury, został zamrożony, i to niemal w sensie dosłownym. Otóż, w wielkiej, pięknej sali widowiskowej nie wolno używać pieców elektrycznych, a innego ogrzewania nie ma i nie będzie. Po drugie — w Domu Kultury znajduje się sporo sprzętu muzycznego, meble, stół pingpongowy, bilard, dwa telewizory kolorowe i inne dobra, za które musi ktoś odpowiadać. Tymczasem Wydział Kultury Urzędu Miasta Łodzi nie daje etatu dla gospodarza Domu Kultury. Dyrektor Sroczyński mówi że przedtem dawał klucze działaczom ZSMP, ale ponieważ placówka jest dostępna dla wszystkich, zawsze może wkraść się *element*, który dopuści się wandalizmu i zniszczy cenny sprzęt. I teraz nie ma już „elementu" w Domu Kultury, ale za to w barze młodzieżowi konsumenci wspierają dzielnie Monopol Spirytusowy.

Sroczyński skarży się, że brakuje mu sprzętu, pianino się zepsuło, toteż mimo współpracy z Wytwórnią Filmów Fabularnych, wojskiem i Łódzkim Towarzystwem Muzycznym, z radością przyjąłby jeszcze jakiegoś patrona dla Parzęczewa. Sroczyński ma na pewno rację, ale jeśli nie będzie miał gospodarza w Domu Kultury, to pianino, ani patron nie pomogą. A Kubicki, bardziej rzeczowy, wraca do przerwanego tematu i mówi, że kultura kulturą, a życie swoje. Wieczorem nie można się dostać z Łodzi do Parzęczewa, bo ostatni autobus odjeżdża z Łodzi o 17.30. Mógłby wyruszyć o 20, bo i tak „nocuje" w Wilamowie. Około czterdziestu pracowników Urzędu Gminy i zakładów parzęczewskich pracuje do godziny 15. Tymczasem autobus odjeżdża do Łodzi o 14.42 i tych czterdziestu, zamieszkałych w Ozorkowie i Zgierzu, kombinuje jak może, ucieka, zwalnia się, żeby jakoś zdążyć, bo następny kurs jest dopiero o 16.22.

Można by pomyśleć, że w tej sytuacji wypada tylko usiąść na parzęczewskim rynku i smętnie zapłakać. No cóż, tereny te leżały kiedyś w zapadłym kącie byłego powiatu łęczyckiego. Zaniedbanej gminie, zapomnianej, nie doinwestowanej, z licha ziemią, trudno wygrzebać się tak szybko z niedostatków. Wprawdzie z powodu braku tabliczek informacyjnych i podłych dróg, trudno dotrzeć do jakiejś odległej wsi, ale jak się już tam jest, od razu widać, że wieś szybciej się zmienia niż sama „stolica" gminy. Nikogo więc nie powinno dziwić, chociaż na pewno było dla wielu zaskoczeniem, iż „złota wiecha" za najlepszy budynek inwentarski w województwie łódzkim znalazła się w Trojanach. Otrzymał ją trzydziestoczteroletni Jan Jaranowski, wzorowy rolnik, działacz młodzieżowy, radny, o którym w gminie mówią, że czasem nie ma go na sesji, ale jak już jest, to dobrze go słychać.

ZŁOTA WIECHA

Czworokąt podwórza, po którym można jeździć traktorem z dwiema przyczepami, obstawiony jest świeżymi, czerwonymi murami i starymi budynkami z pustaków, ale krzepkimi, solidnymi, stawianymi już po wojnie. Rodzice Janka jedzą obiad, między nimi siedzi kilkuletnia wnuczka. Jedno z wnucząt jest na *komornym* u drugich dziadków, a trzecie w drodze. Stary Jaranowski patrzy na stodołę z wielkimi malowanymi wrótniami i szerokim przejazdem, w którym zmieści się nawet kombajn, i mówi z dumą, że syn idzie w jego ślady. Opowiada, że w czterdziestym piątym działał w ruchu ludowym i bandziory tak go zmasakrowały, że dziś jest prawie inwalidą. A Janek należy do ZSL i ma szacunek u ludzi. Jaranowska stwierdza, że Janek mógł tę oborę pociągnąć wzdłuż, bo pola jest a jest, a on przytknął ją bokiem do szczytu stodoły. Mąż upomina ją, żeby się nie wtrącała, bo jest dobrze, a ona się nie zna. Jaranowska uśmiecha się z pobłażliwością, bez gniewu, bo jak ojciec za synem, to musi być dobrze. Ona rządzić nie będzie. Latem rwie się do roboty, ale co zrobi, kiedy musi chodzić w specjalnym gorsecie, nawet nie wolno jej samej odejść od domu. Tyle jej rządzenia, co wnuczków dopilnować albo upitrasić coś dla rodziny. Janek nie kierował się z początku na specjalistę, więc najpierw postawił ten ładny, obszerny dom. Jest światło, woda, centralne ogrzewanie, wygoda. Babcia, nie wychodząc z mieszkania, może trochę pomóc młodym.

Potem przyjeżdża białym fiatem Janek wraz z żoną. Jest wysoki, szczupły, ma drobną, delikatną twarz. Dużo wie, i tak, jak zapewniali w gminie, naprawdę potrafi mówić. Żona, Maria, cicha, łagodna, przy nadziei, nie traci dobrego humoru, i gdy pytam, czy mąż nie pełni zbyt wielu funkcji społecznych, oświadcza, że ona potrafi mu wybić z głowy te różne działaczki. Janek mówi, że kolegom trudno się teraz ożenić, bo dziewczyny boją się dużych gospodarstw, a jego Maria, odważna, córka wojskowego, więc jakby z miasta, przyszła za nim na wieś, wciągnęła się szybko i krowich ogonów się nie boi.

— *Jakieś sześć lat temu młodzi uciekali z Trojan. Starzy zostawali, niektórym biednie było, ponieważ w myśl poprzedniej ustawy o rentach za przekazane państwu gospodarstwa dostawali po 1200 zł na dwoje. To było niesprawiedliwe, toteż wielu starych ludzi, mocno przywiązanych do ziemi, nie chciało jej oddać. Niszczyli gospodarstwa, sami wszystko przejadali nic nie sprzedając państwu i dzisiaj nie ma im z czego renty wyliczyć.*

Młody Jaranowski był ostatnio na zebraniu koła ZSMP i jest przekonany, że teraz młodzi ludzie nie myślą już o ucieczce. Wielu ukończyło Zasadniczą Szkołę Rolniczą, a w Trojanach są jeszcze trzy nowe obory specjalistyczne, prowadzone przez kolegów Jaranowskiego.

— *Najbardziej uciekały dziewczyny ze średnim wykształceniem. Tak samo traktorzyści, na kierowców do miasta. U mnie trzecia część gruntów to ziemia żytnio-ziemniaczana, druga trzecia część — pod pszenicę i jęczmień, a reszta dobra pod warzywa. Na wszystkim więc warzyw nie można uprawiać, chociaż chciałem się nastawić na ich uprawę. Ponadto grunty podmokłe, z warzywami nie wejdzie się, a melioracja, licząc od dziś, będzie za trzy lata, jak dobrze pójdzie. W Różycy przeprowadzano tak meliorację, że ktoś powinien siedzieć. Źle wypoziomowali, woda leciała nie w tę stronę, co trzeba, i nie tymi rurkami...*

No więc u Jaranowskiego na 11,55 ha było jak w arce Noego: świnie, krowy, konie, kaczki, indyki. Jedna siostra ukończyła studia, a Janek z drugą siostrą zaczęli się uczyć w Telewizyjnym Technikum Rolniczym. Na konsultacje jeździli do Dąbrowy Zduńskiej koło Jackowic. Siostrze przerwał naukę... ślub i poszła na własne gospodarstwo. On ukończył Technikum Telewizyjne jako jeden z czterdziestu wytrwałych, bo zaczynało stu dwudziestu. Kiedy został sam na gospodarstwie z rodzicami, zachęcony przez profesorów i WOPR w Bratoszewicach, postanowił podjąć specjalizację w hodowli bydła mlecznego. Najpierw dokupił 3,40 ha, później ponad 5 ha i ma teraz prawie 20 ha.

— *Te 5 ha, to po sąsiadce, która wyniosła się do Warszawy. Mogę powiedzieć, że „zlikwidowałem" jedno małe gospodarstwo. Dużo będzie się teraz likwidować małych gospodarstw, niedługo Trojany staną się wsią specjalistyczną. Po sąsiadce wziąłem także budynki. Zrobię tam sobie magazynek na chemikalia i na paliwo, a z obory będzie cielętnik. A dom? Klub rolnika mamy w prywatnym mieszkaniu, właściciel sprowadza żonę, więc trzeba będzie się wyprowadzić. Gdzie? Ano chyba właśnie do tego mojego domu. Muszę coś robić, jestem opiekunem zespołu młodych rolników...*

„Złota wiecha" to jest duża satysfakcja, nie wszystko się robi dla pieniędzy. Chętnie by przeznaczył każdą nagrodę dla młodych rolników. Dałby też pieniądze na specjalnego robota, który by robił dziewczyny, takie nadające się do gospodarstwa. A za tę „złotą wiechę" zapłacił półtora miliona, biorąc dziewięćset tysięcy pożyczki. Gdyby mu robiła firma, wyniosłoby ze dwa miliony. W trakcie budowy myślał, że może lepiej było dać się namówić na pracę urzędniczą w gminie. Zastanawiał się też czy słusznie „zlikwidował" dwa sąsiedzkie gospodarstwa, żeby powiększyć swoje. Nie było stali, dźwigarów, drutu, cementu. Jeździł tu i tam, kombinował na lewo. Instruktor budowlany wyliczył, że wystarczy 6 kwintali drutu zbrojeniowego, a potrzeba było 6 ton. Dwóch ludzi udało mu się wypożyczyć, resztę robił we własnym zakresie.

— *Jeden z sąsiadów* — mówi Maria — *masę pieniędzy włożył w oborę. Posadzki zakładała mu firma, łańcuchy do krów kazał robić na obstalunek. A my posadzki kładliśmy sami. Mąż pociął drut, ja trzymałam, on spawał i wyszły łańcuchy...*

Budowali etapami. Najpierw oborę. Doświadczeni smutnymi przykładami stali się przezorni i zgromadzili materiały budowlane na zapas. Na posadzki w stodole zabrakło cementu. Jaranowski, nie kończąc stodoły (no, dach założył, nawet ze stalowymi krokwiami), zabrał się do silosu, bo trzeba zakisić kukurydzę na zimę. Silos przejazdowy to dobra rzecz, można wjechać traktorem i ugnieść zieloną masę. Fachowcy orzekli, że silosu nie wolno mu zagłębiać, ma mieć 1,70 m wysokości. Jaranowski, oszczędzając materiał budowlany, zrobił silos z przodu niski, tak że konie mogły wskoczyć i ugniatać kiszonkę, długi na 18 m, lekko opadający w głąb ziemi. Dumny jest z tego.

Stodoła ma wymiary 25×10 m, obora 27×11 m. Urzędnicy chcieli zrobić w oborze zgarniak do obornika.

— *I co? Dwie godziny ścielić długą słomę. Czasu szkoda i paszy! Bo słoma, wzbogacana w składniki mineralne, musi kiedyś zastąpić siano.*

Krowy stoją na dywanikach gumowych, ścieki idą kanałem do zbiornika. Dwa razy dziennie pryska się wodą — i czysto. Zbiornik trzeba opróżniać pięć razy do roku. Gnojowica z jednego zbiornika wystarcza do zasilania dwóch hektarów pola. Ba, ale żeby Jaranowski miał beczkę asenizacyjną! W oborze stoi 14 krów dojnych, a będzie 18 oraz 6 jałówek cielnych. W ubiegłym roku Jaranowski sprzedał 32 tysiące litrów mleka, w 1981 roku sprzeda prawie 58 tys. litrów. Teraz wozak zabiera 100 l dziennie. W kwietniu, po wycieleniach, będzie brał po 220 litrów.

Pokazuje swoje pole. 150 m szerokości. Z jednej strony, aż po las, prawie same łąki. Za stodołą zasiał jęczmień ozimy z trawą. Jak się trawa utrzyma, to dobrze, powinna być jak najbliżej obory. Zbuduje wtedy okólnik dla bydła. Wraca do obory. Krowy są bardzo mądre, nawet te sprowadzane ze świata, natychmiast korzystają sprytnie z automatycznych poideł.

Maria: — *Wieczorem zadaje się siano, po którym prawie wszystkie na raz piją. Hydrofor jest w piwnicy, pod pokojem gdzie śpi babcia. Hydrofor co trochę warczy przy tym zbiorowym piciu, babcia zrywa się ze snu i krzyczy, że znowu się psuje!*

Jaranowski pokazuje pomieszczenia na dojarkę, apteczkę, gdzie na półce stoi m. in. pół litra spirytusu.

— *Jedna krowa na tydzień przed terminem wycielania zaczęła przeć. Wyczytałem gdzieś, że jak się lekko upije to przestanie. Pomogło! Rolnicy specjaliści, zajmujący się hodowlą, winni być przeszkoleni w zakresie weterynarii. Bo na przykład wycielenia bywają bardzo skomplikowane. Pół godziny i cielę może być martwe, bo zanim połączę się w nocy z Ozorkowem, pomoc będzie spóźniona. We wsi powinno być dwóch przeszkolonych w zakresie weterynarii i dlatego zabiegam o zorganizowanie takiego kursu.*

Tacy jak Jaranowski winni być wspierani ze wszystkich stron, bo świecą przykładem, dopingują do dobrej pracy innych. A tymczasem skraca mu się tańszą *nocną taryfę* na korzystanie z energii elektrycznej. Dojarka pochłania dużo prądu, jakże więc teraz myśleć o kupnie chłodziarki? Ma tylko podstawowe maszyny rolnicze: ciągnik, przyczepa, pług, brony, snopowiązałka, kosiarka do trawy. A gdzie maszyny do siana, które są najbardziej potrzebne? Trzyma jeszcze dwa konie, bo w zeszłym roku do czerwca bez konia nie wszedłby na pole. Instruktorom nie podoba się, że w oborze ze „złotą wiechą" znajduje się piwniczka na buraki i mały silos. Ale oni nie wiedzą, co to znaczy odkuwać przy dwudziestostopniowym mrozie kiszonkę na dworze.

— *Myślę o wielu kłopotliwych sprawach i dochodzę do wniosku, że jeśli wszyscy wzięliby się do nich z sercem, to moglibyśmy wiele osiągnąć. Dawniej dawało się krowom osobno liście buraczane, siano, paszę treściwą, kiszonki, zostawiając buraki na zimę. Posłuchałem profesorów i daję wszystko na raz, mieszając, dzięki czemu krowy lepiej przyswajają wartościowe składniki. Od 10 sztuk otrzymałem w ten sposób 12 l mleka więcej dziennie.*

Na spotkaniu z rolnikami w Manieczkach tow. Edward Gierek stwierdził, że przyszłość rolnictwa leży w gospodarstwach specjalistycznych i zatrzymaniu na nich młodych ludzi, takich jak Jaranowski. Partia to widzi, oświadcza Jaranowski, ale w terenie już się tak tego nie dostrzega. Bo jeśli mamy konferencję ZSMP na szczeblu wojewódzkim, to jest zaproszonych tylko trzech młodych rolników, jakby ich głos wcale się nie liczył.

Foto: Archiwum

— *Mamy nad rzeką łąki, gdzie chwasty rosną na wysokość człowieka. Gdyby kompleksowo wyniszczyć chwasty, wywapnować, zasilić nawozami, byłoby o 50 proc. więcej siana. Trzeba także myśleć o wodzie, gdyż ta gdzieś „ucieka", w zeszłym roku poziom wody opadł w studniach o dwa metry. Bez wody nie ma hodowli. W naszej SKR jest świetna maszyna do zbioru kukurydzy, ale nie ma do niej ciągnika C-380. Jestem członkiem zarządu WZKR i może uda mi się wywalczyć ten ciągnik. Bo kukurydza to ważna sprawa. Coś ranu powiem. Jeżeli państwo będzie myśleć z troską o producentach mleka, to oni nie pozostaną dłużni. Chodzi o to, że gdyby w gminie była dobra suszarnia, my byśmy suszyli ziarno kukurydzy, która daje najwyższe plony, a potem robili z tego śrutę. I gdyby można było dostać do tej śruty takie składniki, jak mocznik, sól pastewna, kreda, to nikt by się nie oglądał za paszami treściwymi, sprowadzanymi z zagranicy. Bylibyśmy samowystarczalni...*

To, co mówi Jaranowski, dotyczy całego kraju. Jego „złota wiecha" zabłysła nad gminą jak symbol nowego, zmiany na lepsze, dostatku. Jeśli za Jaranowskim pójdą inni, a takich jest już wielu, Parzęczew sam wydobędzie się ze stagnacji, bez biurokracji, patronów i mecenasów. Trzeba tylko postawić na młodych i stworzyć im odpowiednie warunki do pracy.

RYSZARD BINKOWSKI

EKSPORT POD NAPIĘCIEM

Dalszy ciąg ze str. 1

kraj, który chce uchodzić za nowoczesny, musi swej nowoczesności dowieść m. in. dużą aktywnością na polu handlu zagranicznego Zresztą działa tu jakby sprzężenie zwrotne: im bardziej kraj nowoczesny, im lepiej rozwinięty pod względem gospodarczym, tym silniej powiązany jest handlową wymianą z innymi krajami. W obecnej bowiem dobie na samowystarczalność nie może sobie pozwolić żadne państwo, włącznie z takimi gigantami, jak Związek Radziecki i Stany Zjednoczone.

Inna sprawa czy to, co kupowaliśmy, zawsze było niezbędne, czy owe kredyty zostały wykorzystane optymalnie, czy import był zawsze właściwy i potrzebny, czy zakupy wszystkich licencji były konieczne i opłacalne, czy wszystko zostało w pełni wykorzystane. Są to wątpliwości, które nurtują nas wszystkich. Podobnie, jak pytanie o to, czy nastawienie naszego przemysłu na produkcję wyrobów finalnych szło zawsze w parze z odpowiednim rozwojem zaplecza kooperacyjnego i surowcowo-materiałowego. Na szczęście coraz mniej osób zadaje pytanie: czy musimy w ogóle eksportować?

Są i inne pytania: czy nie za drogo nas kosztują obce waluty z takim mozołem zdobywane? Czy potrafimy nasze wyroby odpowiednio sprzedawać za granicą?

Pytania takie padają również i w Łodzi. Łódź jest silnym ośrodkiem handlu zagranicznego: w tej branży pracują już tu prawie trzy tysiące ludzi. Tu działają renomowane centrale: „Textilimpex" i „Skórimpex", tu podjęło niedawno pracę kolejne koncesjonowane biuro handlu zagranicznego „Varimex-Vifama".

— Eksport? Tak niepopularny temat? Lepiej dajmy mu spokój! — stwierdzają pracownicy jednego z owych przedsiębiorstw. W jednej z central dyrektorzy stosują nawet eleganckie uniki i wybiegi, mające na celu „spławienie" dziennikarza.

Ukuty stosunkowo niedawno termin: „proeksportowy rozwój gospodarki" upowszechnia się w szybkim tempie, odmieniany przez wszystkie przypadki. Handlowcy mówią wprawdzie, że wcale im nie przeszkadza to, że cały świat doskonale wie, jak bardzo nam zależy na eksporcie. Czy są jednak w tym przypadku do końca szczerzy?

Dobrze, że oficjalnie informuje się społeczeństwo o istotnych zadaniach naszej gospodarki, o jej potrzebach i koniecznościach. Dobrze, że się o nich mówi szeroko i otwarcie. Żadnego bowiem problemu nie da się rozwiązać poprzez przemilczanie Nie zmienia to w niczym faktu, że jest to dodatkowa okoliczność zaostrzająca walkę naszego handlu zagranicznego o każdy cent czy kopiejkę.

Wiadomo bowiem, że trudniej jest handlować jakimś towarem temu, kto towar ten bardzo chce sprzedać. Znacznie trudniej, niż konkurentowi, który sprzedać może, lecz wcale nie musi. Oczywistą jest też sprawa, że rynki tzw. drugiego obszaru płatniczego, a więc rynki krajów kapitalistycznych, zapchane są wręcz towarem wszelkiego autoramentu, wszelkiej maści i pochodzenia. W krajach zatem obfitości — pozornej często — dóbr wszelakich, jednym z elementów atrakcyjności produktu obcego pochodzenia musi być czasem i jego cena. Kraje te zresztą bronią interesów miejscowych producentów, ustawiając przed zakusami zagranicznych eksporterów różne bariery, m. in. w postaci osławionych kontyngentów. Kraje te wreszcie przeżywają różne fazy cyklu koniunkturalnego, włącznie z fazą kryzysu i depresji — czyli recesji gospodarczej, trawiącej obecnie wiele organizmów państwowych. Do tego dochodzi nieustanna — utajona czy otwarta — walka ideologiczna, której przejawem jest również i wpływ „politycznego pochodzenia towaru" na jego cenę. Tajemnicą poliszynela jest to, że od dawna — chciałoby się rzec: od zawsze — towar wyprodukowany w kraju socjalistycznym ma znikome szanse na uzyskanie ceny równej cenie identycznego wyrobu z kraju kapitalistycznego. Powszechnie znany jest fakt, że najdrobniejsze nawet potknięcie czy uchybienie ze strony handlu czy przemysłu któregoś z państw naszego bloku, jest natychmiast wykorzystywane i wyolbrzymiane przez kontrahentów z tamtej strony politycznej barykady.

Odmiennie całkiem przedstawia się sytuacja w tzw. pierwszym obszarze płatniczym — w państwach należących do RWPG. Nie mamy tutaj do czynienia z doraźnymi kontaktami handlowymi, lecz z długofalową współpracą gospodarczą, która ma przynosić obustronne korzyści jej partnerom. Jedną z zasad tej współpracy — przypomnijmy — są wieloletnie umowy handlowe, realizowane w oparciu o sztywne ceny, obliczone na podstawie średniej z kilku poprzedzających zawarcie kontraktu lat. Zasada taka — zwana zasadą cen kroczących, czyli okresowo zmiennych — sprawdzała się w praktyce wielu minionych okresów, dając obu stronom poczucie gospodarczej stabilności i bezpieczeństwa. Tempo jednak przemian ekonomicznych i społecznych na świecie — zmieniające się jak w kalejdoskopie ceny surowców, prefabrykatów i wyrobów gotowych, postępująca dewaluacja niektórych walut, etc., w połączeniu z nie notowanym dotąd przyśpieszeniem rozwoju wewnętrznego takich krajów jak Polska — wszystko to wywołało na szczeblu RWPG wiele dyskusji nad stosowanym dotychczas systemem zawierania wieloletnich kontraktów handlowych. Na dyskusjach często rzecz się nie kończy. **W wielu już przypadkach poszczególne kraje członkowskie skorzystały z przysługującego im prawa dokonania dwustronnej rewizji cen w wybranych segmentach towarów, podyktowanej interesami własnej gospodarki narodowej.** I tak — na przykład — jeden z naszych dostawców doprowadził do zbliżenia cen ropy naftowej do cen światowych. My natomiast przeprowadziliśmy rewizję cen — podwyższenia większości z nich — sporego zestawu wyrobów przemysłu lekkiego, eksportowanych w oparciu o wieloletnie umowy handlowe. Jak z tego widać, sprawa eksportu i importu, jest niezwykle skomplikowana, a działalność handlu zagranicznego niebywale trudna. Stąd bierze się przede wszystkim niechęć pracowników jego placówek do publicznego rozważania spraw tak złożonych, jak właśnie eksport, a tym bardziej — jego efektywność.

Efektywność eksportu ma dwa wskaźniki, współegzystujące ze sobą.

Jeden z nich — obliczany tzw. metodą finansową — wyraża się, ogólnie biorąc, stosunkiem krajowej ceny zbytu eksportowanego towaru do uzyskanej przez niego ceny dewizowej. Cena zbytu, to ta cena, która — przynajmniej teoretycznie — odpowiadać powinna faktycznym kosztom produkcji, a po której określony towar zakupuje od producenta handel bądź przemysł. Różni się ona od ceny detalicznej często znacznie, gdyż na cenę detaliczną nakładają się marże handlowe i inne narzuty.

Zastosowanie tego wskaźnika jest ze względów oczywistych ograniczone. Gdyby, na przykład, obliczać tym wskaźnikiem efektywność eksportu wyrobów przemysłu lniarskiego, okazałoby się, że są to transakcje handlowe wielce nieopłacalne. Tymczasem prawda jest inna: ceny skupu lnu mają u nas charakter preferencyjny, rzutując z kolei na ceny zbytu wyrobów gotowych. Wskaźnik ten nie uwzględnia wcale faktu, że krajowa cena lnu jest dwukrotnie wyższa od ceny światowej. I na odwrót: finansowy wskaźnik efektywności eksportu wyrobów bawełnianych był ponoć w pewnym okresie znakomity, gdyż nasze ceny zbytu były zaniżone w stosunku do cen światowych, mimo bowiem dużego wzrostu cen bawełny na rynkach zagranicznych, w kraju utrzymywana była sztucznie cena tego surowca na stałym poziomie.

Na szczęście, posługujemy się również i innym wskaźnikiem, obliczanym tzw. metodą kalkulacyjną, uwzględniającą wiele elemetntów, włącznie z nieodzownym odwołaniem się do światowych cen surowców, materiałów, prefabrykatów. Wskaźnik ten jest bez wątpienia słuszny i odpowiedni, aczkolwiek sama kalkulacja nastręcza wiele trudności. Inna sprawa — powiedzmy — z węglem, gdzie parametrów do liczenia niewiele, inna zaś całkiem z wyrobami — jak to się mawia — o wysokim stopniu przetworzenia, który cechuje wiele wyrobów przemysłu lekkiego. Tu w kalkulację wchodzi wiele składników: im bardziej wyrób skomplikowany, tym ich więcej. Im ich więcej, tym większe niebezpieczestwo „odrealnienia" wskaźnika...

Pomysłowe sztuczki z tym wskaźnikiem demonstrował nam swego czasu znajomy dyrektor zakładu odzieżowego, chwaląc się bez skrępowania swoimi osiągnięciami w tej dziedzinie: „podreperowywaniem" innych wskaźników przedsiębiorstwa za pomocą produkcji eksportowej. W pierwszym odruchu można by go pomówić o sabotaż gospodarczy. Jego postępowanie dyktowały jednak nie względy prywatne czy wrogie, lecz troska o interesy przedsiębiorstwa. Czy oznacza to, że dyrektora owego, który — nie działając zresztą w odosobnieniu — pozwala sobie na fałszowanie rzeczywistości gospodarczej, można całkiem rozgrzeszyć? Nie o to chodzi.

Zasygnalizowana sprawa wyraźnie wskazuje na ciągle występujące niedostatki w systemie ekonomicznym przedsiębiorstw przemysłowych, w systemie ich organizacja i zarządzania. Dalsze doskonalenie, usprawnianie tego systemu doprowadzić musi w końcu do zapobieżenia takim sytuacjom. Zwłaszcza, że w sferze, która nas interesuje, luk jest nadal wiele.

Na obraz opłacalności eksportu rzutują bowiem m. in. normy technologiczne, przewidujące określony procent odpadów surowcowych czy materiałowych, nierzadko dość wysoki. Z reguły przedsiębiorstwo odpady te wykorzystuje, wytwarzając z nich dalsze, często pełnowartościowe wyroby. Znajduje to, rzecz jasna, odbicie w innych wynikach przedsiębiorstwa, nie jest jednak uwzględnione przy ustalaniu opłacalności eksportu, co daje nieraz fałszywe o niej pojęcie. Z tego właśnie korzystał wspomniany dyrektor: jego „sztuczki" polegały głównie na zawyżaniu tzw. materiałochłonności produkcji, a także na nieuzasadnionym zwiększaniu kosztów dokumentacji technologicznej i fikcyjnym zawyżaniu ilości czasu potrzebnego na wykonanie poszczególnych operacji produkcyjnych.

W kwestii tej dochodzi czasem do jawnych nadużyć. Przykład: fabryka futrzarska, przygotowująca dużą partię kożuszków na eksport, podaje w wykazach, że na uszycie jednej sztuki zużywa sześć skór owczych. Ale eksperci rozpruwają jedną ze sztuk i składają, kawałek do kawałka, aby udowodnić, że na uszycie kożuszka zużyto tylko cztery skóry owcze. A co by było, gdyby producent był mniej chytry i podał w dokumentacji zużycie surowca zawyżone tylko o pół skóry na jednej sztuce? Prawdopodobnie nikt na to nie zwróciłby uwagi, zaś producent — psując wskaźnik opłacalności — upiekłby przy „eksportowym ogniu" dodatkową pieczeń.

Bywają jednak sytuacje, w których racje wyższego rzędu — np. konieczność wywiązania się z ważnych zobowiązań, czy potrzeba utrzymania zdobytego z trudem rynku — przesądzają o świadomej rezygnacji ze starań o opłacalności takiej czy innej transakcji handlowej, co jest jednak rzadkością, wyjątkiem, który ma potwierdzać regułę. A reguła jest taka, że dbałość o efektywność eksportu należy do pierwszoplanowych zadań naszego handlu zagranicznego. Każdy towar, zanim zostanie dopuszczony do eksportu, przechodzi surowy i wnikliwy egzamin, w którym decydującą notą jest właśnie wskaźnik efektywności. Interesów naszej gospodarki chronią tu szczegółowe przepisy i regulaminy. Wystarczy powiedzieć, że im gorszy jest ten wskaźnik, tym wyższego trzeba szczebla — do ministra włącznie — dla powzięcia decyzji. Zdarza się często, że — mimo nacisków branż, — nie dochodzi do milionowych kontraktów, o ile nie są one dla nas dostatecznie opłacalne. Taka jest reguła, a chociaż brak nam jest nadal pewnych rozwiązań systemowych w handlu zagranicznym, w miarę jednak stabilizowania się naszej sytuacji gospodarczej stworzone zostaną na pewno niewzruszone kanony owej opłacalności, ustalona zostanie graniczna cena, poniżej której nikomu nie będzie wolno sprzedawać za granicę żadnego produktu...

Opłacalność jest pojęciem nader względnym, nie tylko z powodu elastyczności wskaźników. Co nam, na przykład najlepiej opłaca się eksportować z przemysłu lekkiego?

Odpowiedź nie będzie chyba dla nikogo zaskoczeniem: „robociznę". Jeszcze nie tak dawno byliśmy skłonni oburzać się na „eksport" czystej siły roboczej, jakoby przynoszący nam niewielkie zyski, a duży dyshonor. Dziś jednak ta forma naszej aktywności handlowej ma coraz więcej zwolenników. Jej niezaprzeczalnym walorem jest fakt, że nie obciąża ona w żadnym stopniu naszej trudnej sytuacji zaopatrzeniowej. Nie musimy się martwić o surowce, materiały czy dodatki — są one dostarczane przez zagranicznego kontrahenta. Eksport ten jest opłacalny nie tylko ze względu na stosunkowo tanią w Polsce siłę roboczą. **Jest on nader efektywny ze względu na dodatkowe zyski w postaci np. bezpłatnego transferu nowoczesnych technologii.** Kierownictwo wieluńskiego „Wespo" — dziś firmy popularnej i renomowanej — nie ukrywa wcale tego, że jego załoga nauczyła się szyć modne wyroby, zwłaszcza spodnie dzięki tego rodzaju kontraktom. A przykład to jeden z wielu.

Przykład zresztą stanowiący doskonałą ilustrację dodatkowego pozytywnego aspektu działalności eksportowej. Eksport bowiem — o czym nie zawsze pamiętamy — jest jednym z istotniejszych stymulatorów postępu technicznego, technologicznego, organizacyjnego. **Wymagania przecież ze strony zagranicznych odbiorców zmuszają rodzimych producentów do nieustannego podnoszenia poprzeczki, do starań o coraz lepszą jakość, większą nowoczesność i atrakcyjność własnych wyrobów, co ma bezpośredni wpływ na poziom produkcji towarów przeznaczonych dla odbiorców krajowych.**

Oczywiście, sami handlowcy niewiele zdziałają, o ile nie odda im się do dyspozycji dostatecznie bogatej i atrakcyjnej oferty towarowej. A z tą różnie bywa — tak przynajmniej utrzymują sami handlowcy, chociaż wizyta w salonie wystawowym tej lub innej centrali napawać może optymizmem. Z optymizmem patrzeć można również na niektóre nasze wyroby, niekoniecznie wytwarzane z myślą o zagranicznych odbiorcach. Bo faktycznie, spora część propozycji „Próchnika", „Wólczanki", „Zety", „Dywilanu" i innych producentów — to wyroby o autentycznym standardzie światowym. Część zysków płynących z ich eksportu pochłaniają koszty obsługi handlowej, transport, opłaty celne, etc. Spory jednak udział w zyskach miewają pośrednicy, którzy zakupiony od nas towar sprzedają na lokalnych rynkach. Wyeliminowywanie takich pośredników — czy chociaż zmniejszanie ich udziału w zyskach — jest jednym z pilniejszych zadań. Powoli, acz skutecznie, rozwijana jest w świecie własna sieć placówek handlowych, sięgająca po różne formy i systemy organizacyjne. Uruchamiane są własne biura i delegatury, tworzone spółki handlowe o kapitale mieszanym, powoływane przedstawicielstwa, działające na zasadzie agencji. Kosztuje to coraz więcej, lecz sowicie się opłaca.

Potrafimy produkować dobrze. Bywa jednak i tak, że sam wyrób — jako model — jest świetny, lecz drobne usterki w jego wykonaniu psują cały efekt. Kontrole wewnątrzzakładowe, pod presją planów i terminów, osłabiają czasem czujność, a „Polcargo" nie wszędzie dotrze, nie wszystko sprawdzi. I klops. **Drobny nawet błąd wystarczy, aby zagranicznym odbiorcom — nie zawsze najprzyjaźniej do nas ustosunkowanym, dać asumpt do złośliwego generalizowania: ot, proszę, kiepska jakość polskiej produkcji!** Jakość produkcji, solidność i terminowość dostaw mają zasadniczy wpływ na przebieg handlowych negocjacji, również i w sprawach cen. Są to więc następne czynniki, rzutujące na efektywność eksportu. Trudno bowiem dyskutować z kapitalistą, który utrzymuje, że spóźniona o miesiąc dostawa to dla niego musztarda po obiedzie: towar nie trafia w sezon, można go więc sprzedać tylko po cenach obniżonych.

Nic zatem dziwnego, że wciąż podkreśla się konieczność ścisłej, codziennej współpracy handlu z przemysłem, konieczność stałej, obustronnej wymiany informacji, współdziałania przy opracowywaniu kontraktów, planów i programów. Nie jest to zresztą czczy postulat, lecz stosowana coraz szerzej praktyka. Współpraca ta jest przecież niezbędna w dążeniu do uzyskania optymalnej struktury asortymentowej naszej oferty handlowej, a także do systematycznego, zalecanego zaś nieustannie, wycofywania z eksportu towarów mniej opłacalnych.

JACEK INDELAK

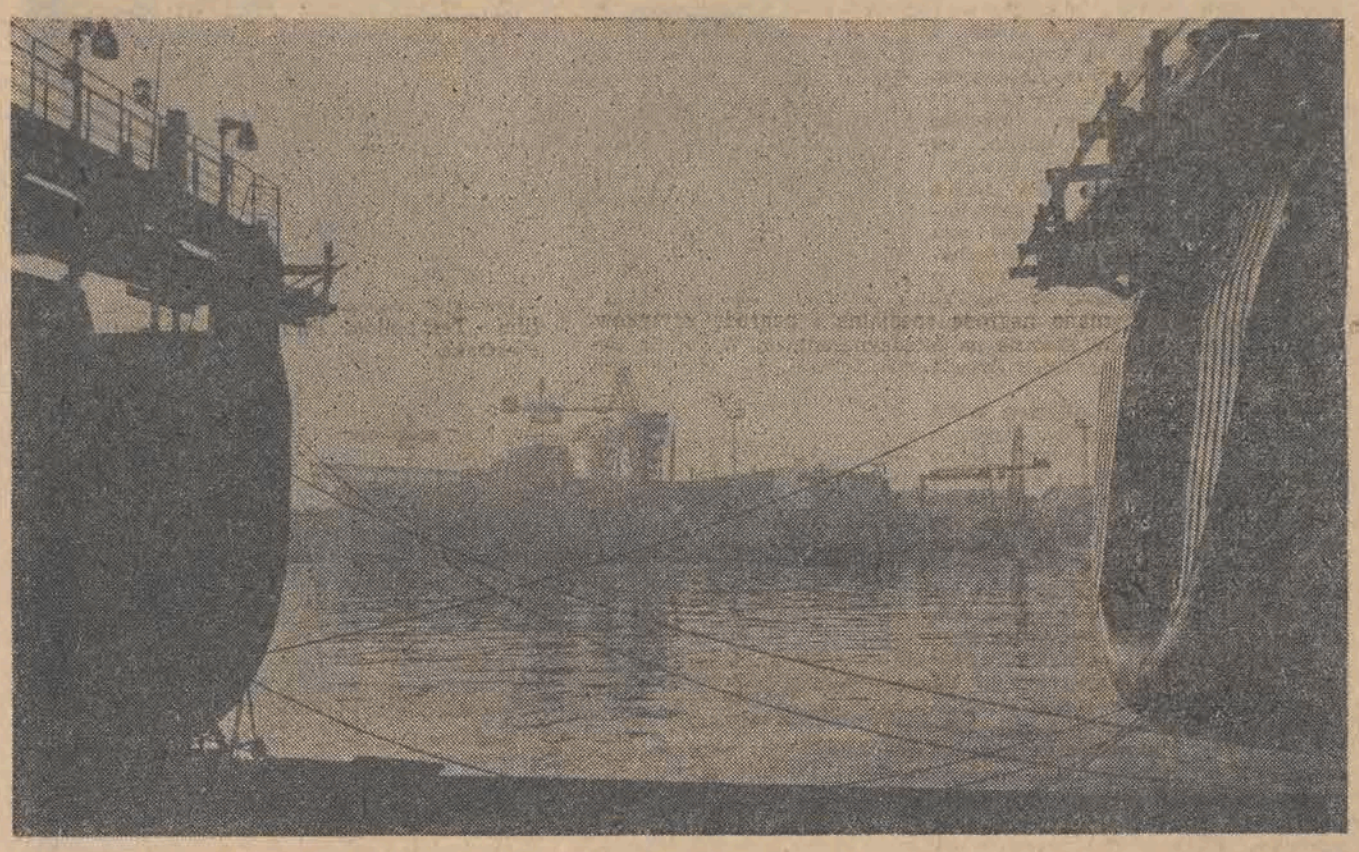

Foto: Archiwum

POLSKA KULTURA W ŚWIECIE – 1979

Miniony 1979 rok przyniósł umocnienie pozycji polskiej kultury i sztuki na świecie. Na wszystkich kontynentach koncertowały nasze orkiestry, zespoły folklorystyczne, znani soliści, prezentowane były wystawy sztuki oraz filmy. Na międzynarodowych festiwalach i konkursach polscy twórcy i wykonawcy zdobyli wiele laurów. Szeroki zasięg prezentacji kulturalnych dobrze służył nie tylko szerzeniu wiedzy o dorobku polskiej kultury i sztuki, ale sprzyjał lepszemu - wzajemnemu poznaniu narodów. A oto niektóre z tych wydarzeń i sukcesów.

Kompleksowe prezentacje dorobku polskiej kultury

ZSRR: Odbyły się Dni Kultury Polskiej, największe ze zorganizowanych dotychczas przez nasz kraj imprez kulturalnych za granicą. Setki imprez — koncernów, spektakli teatralnych, wystaw stanowiły wszechstronny przegląd osiągnięć i tradycji polskiej kultury narodowej, organizowany z okazji 35-lecia PRL.

FRANCJA: Tu także szeroki zasięg miały Dni Kultury Polskiej. W Pas de Calais odsłonięto pomnik upamiętniający wkład Polaków w rozwój północnej Francji. W Paryżu pokazano polską rzeźbę i plakat; odbył się też retrospektywny przegląd polskiej twórczości filmowej. W różnych miastach występowały nasze orkiestry i soliści. Oklaskiwano zespoły folklorystyczne z „Mazowszem" na czele.

Dni Kultury Polskiej odbyły się również w wielu innych krajach, a wśród nich w Brazylii, Czechosłowacji, Libii, Portugalii, Rumunii i innych.

Muzyka

Największym uznaniem i popularnością cieszyła się w świecie nasza muzyka, prezentowana nie tylko przez polskie zespoły na gościnnych występach, ale także wykonywana przez zagraniczne orkiestry i teatry muzyczne.

ZSRR: Na koncercie muzyki polskiej w Domu Związku Kompozytorów Radzieckich w Moskwie gorąco przyjęto radzieckie wykonanie przez Moskiewski Zespół Kameralny utworu Tadeusza Bairda „Kwartet".

USA: Orkiestra Filharmonii Nowojorskiej pod dyrekcją Daniela Barenboima wystąpiła z pierwszym wykonaniem w tym kraju kompozycji „Miparti" Witolda Lutosławskiego.

JAPONIA: W Tokio wystawiono „Straszny dwór" w reżyserii Marii Fołtyn. Wykonana przez japońskich artystów polska opera odniosła duży sukces.

RUMUNIA: W Operze Bukareszteńskiej „Straszny dwór" również w reżyserii Marii Fołtyn uznano za „premierę sezonu".

RFN: Podobny wielki sukces odniósł „Straszny dwór" w Bonn.

KANADA: Montrealska Orkiestra Symfoniczna wystąpiła z koncertem utworów Krzysztofa Pendereckiego. Dyrygował kompozytor.

Wielki sukces odniósł Krystian Zimerman; pianista koncertował w Moskwie, Nowym Jorku, Paryżu, Londynie, Bonn, Mediolanie i Amsterdamie.

Nasi kompozytorzy, muzycy i dyrygenci zdobyli w świecie wiele nagród i wyróżnień na międzynarodowych festiwalach i konkursach.

FRANCJA: Cenioną nagrodę im. Artura Honeggera, przyznawaną co dwa lata, uzyskał Krzysztof Penderecki za „Magnificat". Na XXIX Międzynarodowym Konkursie dla Młodych Dyrygentów w Besancon I nagrodę zdobył Tadeusz Wojciechowski. Wśród 10 najwyżej ocenionych utworów przez Międzynarodową Trybunę Kompozytorów UNESCO w Paryżu znalazły się: „Róża wiatrów" Włodzimierza Kotońskiego (III miejsce) i „Divertimento" Marka Stachowskiego (VII miejsce).

WŁOCHY: Doroczną nagrodę Prix Italia 79 przyznano Kazimierzowi Serockiemu za utwór „Pianophonie". Na II Międzynarodowym Konkursie Fletowym w Formii I nagrodę otrzymała Jadwiga Kotnowska.

BRAZYLIA: IX Międzynarodowy Konkurs Wokalny w Rio de Janeiro przyniósł sukces Ewie Podleś, którą nagrodzono ex aequo I nagrodą, oraz Marii Czechowskiej, która uzyskała I nagrodę za wykonanie muzyki brazylijskiej.

BELGIA: II nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Wokalnym w Verviers zdobyła Ewa Godlewska.

Literatura

Blisko 400 porozumień z zagranicznymi wydawcami dotyczących przekładów utworów polskich pisarzy na języki obce podpisano w ub. roku w Stowarzyszeniu Autorów „ZAIKS" oraz Agencji Autorskiej. Najwięcej umów — ponad 120 — zawarto ze Związkiem Radzieckim, a następnie z Czechosłowacją — 57 i NRD — 51. Nowe polskie książki opublikowane zostaną też m.in. w Bułgarii, Brazylii, Francji, Hiszpanii, Holandii, Japonii, NRD, Szwajcarii, Szwecji, Wielkiej Brytanii i we Włoszech. Podobnie jak w latach poprzednich największą popularnością cieszą się książki Jarosława Iwaszkiewicza i Stanisława Lema. Duże powodzenie zdobyła sobie też w tym roku powieść Andrzeja Kuśniewicza „Król obojga Sycylii", która wydana zostanie w Jugosławii, Szwajcarii i we Włoszech.

WŁOCHY: Sycylijskie Stowarzyszenie Kulturalne i Turystyczne przyznało Jarosławowi Iwaszkiewiczowi doroczną nagrodę — Premio Mondello.

Teatr

Teatr i dramaturgia polska umocniły swą wysoką pozycję w świecie.

NRD: Po raz pierwszy na scenie niemieckiego teatru wystawiono w Weimarze sztukę Stanisława Wyspiańskiego „Noc listopadowa" w adaptacji i reżyserii Andrzeja Wajdy.

MEKSYK: 150 spektakli miała sztuka Sławomira Mrożka „Emigranci" na scenie teatru Milan w stolicy Meksyku.

ARGENTYNA: Na scenie „Teatro IFI" w Buenos Aires wystawiono również „Emigrantów" Sławomira Mrożka.

WĘGRY: Teatr Dramatyczny z Warszawy odniósł duży sukces prezentując na gościnnych występach w Budapeszcie „Noc listopadową" Wyspiańskiego i „Króla Leara" Szekspira.

WŁOCHY: W Rzymie odbyła się światowa prapremiera sztuki „Le cricotage" zaprezentowana przez teatr „Cricot-2" pod kierunkiem Tadeusza Kantora.

Jako pierwszemu teatrowi muzycznemu w świecie przyznano Operze im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu specjalną nagrodę włoską za popularyzację muzyki Verdiego.

USA: W Kennedy Center w Waszyngtonie zaprezentowano telewizyjne widowisko Jerzego Antczaka pt. „Epilog norymberski".

HISZPANIA: Zespół Teatru Współczesnego z Wrocławia otrzymał na XII Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym w Sitges nagrodę specjalną za spektakl „Operetka" Witolda Gombrowicza.

Plastyka

W wielu krajach wystawiali swe prace polscy artyści plastycy.

ZSRR: Na Międzynarodowym Konkursie w Moskwie na plakat Igrzysk Olimpijskich II nagrodę zdobył Karol Śliwka.

Foto: W. Malek

USA: Dużym wydarzeniem artystycznym w Nowym Jorku i Chicago była wystawa polskiej fotografii. 300 prac powstałych w okresie 140 lat zwróciło uwagę Amerykanów na pionierską rolę Polaków w rozwoju fotografii.

CZECHOSŁOWACJA: Na VIII Międzynarodowym Biennale Ilustracji Książek dla Dzieci w Bratysławie I nagrodę uzyskały prace Teresy Wilbik.

WŁOCHY: Na Biennale Małych Form Rzeźbiarskich w Rawennie I nagrodę zdobyła Magdalena Wiącek, a Katarzyna Stasińska — złoty medal. Całej polskiej ekspozycji przyznano nagrodę specjalną i nagrodę krytyków. W Faenzie na Międzynarodowej Wystawie Ceramiki Grand Prix uzyskała Maria Teresa Kuczyńska.

SZWAJCARIA: Na wystawie „Xylon 8" we Fryburgu — nagrodzono 3 polskie prace. I nagrodę przyznano Jadwidze Smykowskiej za „Tryptyk polski".

FRANCJA: Na Międzynarodowym Festiwalu Sztuki Wizualnej (film, TV, fotografika) fotografik Edward Hartwig wyróżniony został srebrnym medalem za zasługi w dziedzinie popularyzacji fotografii artystycznej w świecie.

Film

W wielu krajach świata odbyły się przeglądy filmów polskich, m.in. w Moskwie, Nowym Jorku, Paryżu, Helsinkach, Trypolisie, Bombaju, Limie, Caracas oraz Meksyku. Filmy nasze prezentowane były także na najważniejszych międzynarodowych festiwalach filmowych.

ZSRR: Wielki sukces na XI Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie odniósł film „Amator" w reżyserii Krzysztofa Kieślowskiego. Otrzymał on najwyższą nagrodę — złoty medal i nagrodę Międzynarodowej Krytyki Filmowej FIPRESCI. Na tym samym Festiwalu Jerzy Kawalerowicz otrzymał nagrodę dla najwybitniejszych twórców filmowych świata, ufundowaną z okazji 60-lecia Kinematografii Radzieckiej.

FRANCJA: Wielkim powodzeniem na ekranach paryskich cieszyły się filmy Andrzeja Wajdy: „Panny z Wilka" i „Bez znieczulenia". Na VIII Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych i Dokumentalnych w Lille Grand Prix przyznano Andrzejowi Warchołowi za film rysunkowy pt. „Gołąbek", a na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Animowanych w Annency nagrodę specjalną otrzymał Jerzy Kucia za film „Refleksy".

WŁOCHY: Na XVII Międzynarodowym Festiwalu Filmów Fantastyczno-Naukowych w Trieście I nagrodę — Złoty Asteroid zdobył film „Test pilota Pirxa", w reżyserii Marka Piestraka.

HISZPANIA: Film Jerzego Kawalerowicza „Śmierć prezydenta" uzyskał I nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu w Kadyksie. Na Międzynarodowym Tygodniu Filmów Marynistycznych w Kartagenie „Srebrną Karawelę" przyznano filmowi A. Wajdy „Smuga cienia" wg powieści Conrada.

NRD: Na XXII Festiwalu Filmów Dokumentalnych i Krótkometrażowych w Lipsku nagroda „Srebrnego Gołębia" przypadła filmowi „Olimpiada" w reż. Bogdana Dziworskiego.

Honorowe wyróżnienia dla polskich twórców

Dowodem rosnącego w świecie uznania dla osiągnięć naszej kultury i sztuki są nadane naszym twórcom honorowe tytuły i wyróżnienia.

ZSRR: Akademia Sztuk Pięknych ZSRR nadała tytuł członka honorowego rzeźbiarzowi Marianowi Koniecznemu.

WŁOCHY: W 100 rocznicę swego założenia Akademia Historia i Literatury Polskiej oraz Słowiańskiej w Bolonii nadała Jarosławowi Iwaszkiewiczowi tytuł członka honorowego.

BELGIA: Uniwersytet w Louvain nadał tytuł doktora honoris causa Krzysztofowi Pendereckiemu.

RZECZ O ZYGMUNCIE GLOGERZE

Sponsorami tej książki są aż trzy instytucje naukowe: Instytut Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN, Ośrodek Badań Naukowych w Białymstoku oraz Łomżyńskie Towarzystwo Naukowe im. Wagów. Tom ukazał się w 1979 r. z wsteczną datą roku poprzedniego — zapewne w rezultacie jakiegoś poślizgu — i nosi tytuł: *Zygmunt Gloger — badacz przeszłości ziemi ojczystej*. Dzieło zostało wydane przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Impulsem do powstania tej publikacji stała się sesja popularnonaukowa, która odbyła się w dniach 25 — 26 maja 1974 r. w Łomży, poświęcona jednemu z najwybitniejszych synów ziemi łomżyńskiej.

Przyznam się, że redakcyjna informacja, że dzieło zrodziło się z popularnonaukowej sesji, nie zachęciła mnie do książki. Wiemy bowiem, co to są zwykle owe sesje: schodzi się grono mniej lub bardziej kompetentnych osób, wygłasza różne referaty, w których powtórzone zostaje raz jeszcze to, co i tak wiadomo z poważnej literatury naukowej, po czym wykorzystując okoliczność, że sesja odbywa się pod jakimś wysokim patronatem i przy czyimś prominentnym udziale, drukuje się to wszystko, rzadko kiedy z pożytkiem dla wiedzy, częściej ze względu na honoraria — dla autorów. Nie przez tego rodzaju sesje, które dziś organizuje się w każdym niemal ośrodku, mającym ambicje — a nie zawsze fachową kadrę specjalistów — wiedzie droga rozwoju nauki, nie przez nie dokonuje się też popularyzacja wiedzy. O tym ostatnim świadczą dobitnie wyniki badań socjologicznych, ukazujące niepomiernie większe znaczenie dla popularyzacji osiągnięć nauki czy to środków masowego przekazu, czy poważnej literatury popularyzacyjnej.

Z pewnością przesadzam, ale czynię tak nie bez powodu. W środowisku, w którym się obracam, zapanowała od pewnego czasu moda na różnego rodzaju sesje popularnonaukowe. Mimo wszystkich szumnych deklaracji, jest to najczęściej forma naukowego chałturzenia, tym niebezpieczniejsza, że stała się specjalnością co bardziej rzutkich prelegentów, gotowych wygłosić okolicznościowy referat na każdy właściwie temat, nie mówiąc w nim niczego, co nie byłoby znane. Myślę, że objawy takie należy po prostu zwalczać, nie oglądając się na protektorów i sponsorów owych sesji, zaspokajających swoje ambicje przez ich organizowanie, a następnie publikowanie materiałów. Ileż z tych publikacji jest po prostu... bezwartościowych?

Tym milej było się tym razem rozczarować: rzecz okazała się doprawdy interesująca i z pewnością wartościowa. Organizatorzy sesji glogerowskiej pozyskali do współpracy kilku wybitnych specjalistów, którzy rzeczywiście mieli coś do powiedzenia. Sesja zachęciła też badaczy do podjęcia nowych poszukiwań po archiwach i bibliotekach, co przyniosło nowe informacje i pozwoliło sprostować niektóre mylne wiadomości, uważane dotąd za prawdziwe. Powstały więc nowe, wartościowe teksty. Dla uzupełnienia całości dołączono do niej wreszcie już wcześniej publikowane prace innych autorów o tematyce glogerowskiej oraz wybór materiałów źródłowych.

Powstała w ten sposób książka, będąca czymś w rodzaju zbiorowej monografii o Z. Glogerze, jego życiu i działalności. Otwiera ją przedrukowane z *Ludu* (1968) studium Wacława Olszewicza *Życie i prace Zygmunta Glogera*, po którym następuje interesujący szkic Adama Dobrońskiego o Glogerze jako historyku. Aleksander Antoniuk poświęcił swą pracę działalności kolekcjonerskiej Glogera, Teresa Komorowska zajęła się jego poszukiwaniami folklorystycznymi, prof. Anna Kutrzeba — Pojnarowa omówiła jego zasługi na polu etnografii. Poza wymienionymi pracami na omawiany tom złożyły się jeszcze rozważania Hanny Muszyńskiej — Hoffmanowej *Zygmunt Gloger a współczesność*, studium Witolda Jemielity i Jerzego Wiśniewskiego o rodzinie uczonego, bibliografia jego prac drukowanych (opracowana przez S. Dembego), oraz wybór pism folklorystycznych, opracowany przez Halinę Horodyską. Redaktorami całości dzieła byli profesorowie Józef Babicz i Anna Kutrzeba — Pojnarowa.

W ten sposób powstało wartościowe wydawnictwo o znaczeniu daleko szerszym, niż regionalne, poświęcone wybitnej postaci naszej nauki i kultury minionego stulecia. Dobrze, że wszyscy zainteresowani dowiedzieli się, jakie związki łączyły Z. Glogera z ziemią łomżyńską. Ale dobrze, wielekroć lepiej, że poza tym dowiedzieli się też wiele nowego o autorze *Encyklopedii staropolskiej* i mnóstwa innych cennych prac. Rezultatem inicjatywy regionalnych entuzjastów jest bowiem nie tyle „dopięcie" wybitnej postaci do tradycji swego regionu, ale możliwie wszechstronne ukazanie jej znaczenia i wkładu do rozwoju nauki i kultury narodowej.

ANDRZEJ F. GRABSKI

by nie stracić szansy...

Dalszy ciąg ze str. 1

W dyskusji wzięli udział:

— JACEK MARKUNAS — student Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, przewodniczący Rady Uczelnianej SZSP;

— JAN KIDAWA — student Wydziału Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej PWSFTviT, przewodniczący RU SZSP;

— MIROSŁAW POŁATYŃSKI — student Wydziału Aktorskiego PWSFTviT, przewodniczący Rady Wydziałowej SZSP;

— MAREK PĄCZEK — student Wydziału Aktorskiego PWSFTviT, członek Egzekutywy POP PZPR w PWSFTviT;

— SŁAWOMIR KACZOROWSKI — student Wydziału Kompozycji i Teorii Muzyki PWSM w Łodzi, przewodniczący RU SZSP;

— JAN PRZYBYLSKI — student Wydziału Kompozycji i Teorii Muzyki, przewodniczący Koła Naukowego w tym wydziale; oraz przedstawiciele Zarządu Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich — Oddział w Łodzi

— ANDRZEJ W. MIKOŁAJEWSKI

— BOHDAN JACHOWICZ

i TOMASZ SOLDENHOFF, który w imieniu redakcji dyskusję przygotował i opracował

T. SOLDENHOFF: — Jeżeli pozwolicie, zacznę może od przedstawienia niektórych problemów łódzkiego środowiska młodoliterackiego. Wiadomo powszechnie, że dla pisarza, zwłaszcza początkującego, najważniejszą sprawą jest możliwość druku. Panującą pod tym względem w Łodzi sytuację i potrzeby charakteryzowałem szerzej niedawno na tych łamach w artykule „Debiutanci" („ODGŁOSY" z 8 lipca 1979 r.). Chociaż od tamtej publikacji minęło już ponad pół roku, jej zasadnicza teza nie straciła na swej aktualności: wobec najmłodszych pisarzy, szczególnie poetów, istnieją w Łodzi długoletnie zaniedbania wydawnicze. Dość powiedzieć, że od roku 1975 do chwili obecnej, czyli grudnia 1979 r. nie ukazał się w Wydawnictwie Łódzkim ani jeden debiut łódzkiego poety. Mimo to kilku łodzian zdołało w tym czasie wydać swoje debiutanckie tomy. Jest niewątpliwym paradoksem, że ukazały się one poza Łodzią i to w tak renomowanych wydawnictwach, jak PIW, Iskry, czy reprezentacyjna już dla młodej generacji poetów seria ZG SZSP „Pokolenie, które wstępuje". Wszystkie one ze względu na swój poziom mogłyby ukazać się i w WŁ, a co więcej, mogłyby stanowić dla tego wydawnictwa powód do dumy. By nie być gołosłownym dam przykład niedawnej dyskusji na łamach „KULTURY", gdzie omawiając najciekawsze debiuty 1978 roku grono wytrawnych krytyków wymieniło aż trzech łódzkich poetów. Żaden z nich nie debiutował jednak w macierzystym mieście.

Dzięki staraniom Ośrodka Sztuki i Kultury Młodych Łódzkiego Domu Kultury powołano niedawno przy WŁ serię tomików pn. „Biblioteka Debiutów". Już na początku jednak pojawiły się wątpliwości. Z czterech zapowiadanych na 1979 rok tomików do połowy grudnia nie ukazał się ani jeden, a kryterium „młodości" rozumiane jest dość osobliwie: „młodym" jest również czterdziestolatek, jeżeli wreszcie uzbierał wystarczającą liczbę wierszy na tomik...

B. JACHOWICZ: — Poza tym nawet jeżeli powołano wreszcie w Łodzi tę serię, to jest to tylko poszerzenie możliwości jednej oficyny i w jednej tylko dziedzinie. Do normalnego procesu wprowadzania młodych w życie literackie poprzez debiut jest jeszcze daleko. Uważam, że o prawidłowej polityce wydawniczej wobec młodych będzie można mówić dopiero wtedy, gdy w ramach puli dorocznie wydawanych pozycji znajdą się określone miejsca przeznaczone dla młodych twórców. Niech to będzie nawet jedno takie miejsce w rocznym planie wydawniczym, byle stałe i zarezerwowane dla pisarza z tego miasta, z tego środowiska. Na debiut czeka w Łodzi dzisiaj — lekko licząc — około 15 poetów, którym należałoby go dać zaraz. Część z nich pisze tzw. wiersze kontrowersyjne, nieprzylizane, a więc nie mieszczące się w łatwo akceptowanym modelu poezji pisanej „pod mecenasa". To działa odstraszająco na wydawców, ale przecież właśnie ta poezja ma często najwyższe wartości artystyczne. Nie można zatem pozwolić, by tkwiła w ukryciu, bądź by twórcy — jak dotąd — szukali dla niej uznania poza swoim miastem... Jeżeli więc stwarza się szansę i daje jej nazwę „Biblioteki Debiutów", to powinna ona przede wszystkim wydobywać najlepsze wartości, jakie rodzą się tu, w Łodzi.

J. KIDAWA: — Czy Koło Młodych przy Łódzkim Oddziale ZLP nie ma żadnego wpływu na politykę debiutów?

T. SOLDENHOFF: — Mimo naszych parokrotnych postulatów, głos Zarządu Koła, nawet w funkcji doradczej, nie był brany pod uwagę przy ustalaniu dwóch pierwszych serii „Biblioteki Debiutów". O wyborze decyduje trzyosobowa komisja, złożona z dwóch redaktorów, przedstawicieli WŁ i jednego reprezentanta Ośrodka Sztuki i Kultury Młodych, jako redaktora serii.

J. KIDAWA: — A więc jednak jest w niej młody literat?

B. JACHOWICZ: — Nie, członek ZLP sprawujący funkcję kierownika ośrodka, któremu — notabene — dawna idea łódzkich arkuszy poetyckich zawdzięcza swoją realizację.

M. POŁATYŃSKI: — Jeżeli Koło Młodych nie ma wpływu na kształtowanie „Biblioteki Debiutów", to jakie w ogóle są uprawnienia i możliwości tej organizacji?

T. SOLDENHOFF: — Status Koła Młodych od lat wymaga uporządkowania. Obecnie terenowe koła działają w oparciu o przestarzały regulamin (bądź go w ogóle pomijają) i na bardzo różnych zasadach. Nie są również dzisiaj jasne zadania koła młodych pisarzy. Nie wiadomo, czy ma ono być organizacją o charakterze socjalno-bytowym, miejscem, w którym doskonali się warsztat (a więc czymś w rodzaju „szkoły literatury"), instytucją pośredniczącą między twórcami a redakcjami, wydawnictwami itd., czy też może wszystkim na raz? W rezultacie koła młodych działają „sobie a muzom", przy większej lub mniejszej obojętności starszych kolegów — zawodowych literatów.

B. JACHOWICZ: — Rola Koła Młodych sprowadza się właściwie do miejsca, gdzie młodzi piszący mogą się spotkać i sobie podyskutować. Na ogół brakuje również żywszego zainteresowania ze strony Zarządu Oddziału ZLP i podstawowej organizacji partyjnej, która zobowiązana jest przecież — także przez najwyższe instancje partyjne — do prowadzenia działalności ideowo-wychowawczej wśród młodych.

Działania o większym rozmachu ograniczone są brakiem statusu prawnego i skromnymi środkami. Już bowiem chcąc zorganizować np. Turniej Jednego Wiersza musimy odwoływać się do pomocy różnych sponsorów i tak też — z konieczności — czynimy, choć przecież w normalnej sytuacji to Koła Młodych powinny chyba skupiać w swoich rękach większość środków na działalność młodoliteracką.

J. KIDAWA: — A jakie są wasze szanse przejścia do ZLP?

T. SOLDENHOFF: — W wypadku poetów trzeba mieć — zgodnie z regulaminem — co najmniej dwa zbiorki wierszy...

B. JACHOWICZ: — Koła młodych przyjęto traktować jako przedsionek do ZLP. Ale to raczej teoria, bowiem do ZLP wchodzi się nie z racji przynależności do koła, lecz na podstawie wydanych prac. Czyli, że można zostać członkiem związku nie będąc wcześniej członkiem koła młodych.

A. W. MIKOŁAJEWSKI: — Wypada więc zapytać: co z tego, że jesteśmy członkami koła młodych, skoro traktowane jest ono na zasadzie piątego koła u wozu? Co jakiś czas pojawiają się głosy, by je zlikwidować, a opiekę nad młodymi twórcami przekazać organizacji młodzieżowej. Nie byłbym temu przeciwny. Organizacja młodzieżowa — myślę tu o ZSMP — posiada osobowość prawną i możliwość poszerzenia swoich ram. Może więc znalazłoby się w nich miejsce również dla np. Stowarzyszenia Twórczości Młodych, które stałoby się wreszcie prawdziwym mecenasem dla artystycznej, nie tylko literackiej, młodzieży?

B. JACHOWICZ: — Bo — niestety — próba stworzenia w Łodzi takiej instytucji spełzła na niczym. Przypomnę, że istniejący dzisiaj Ośrodek Sztuki i Kultury Młodych ŁDK miał być — zgodnie z pierwotnym założeniem — nastawiony na wszechstronną pomoc socjalno-bytową. Niestety, koncepcja ta spotkała się z niechętnym przyjęciem, a efekt jest taki, że spora część członków Koła Młodych boryka się do dzisiaj z podstawowymi kłopotami natury życiowej, np. brakiem etatów, mieszkań itd.

T. SOLDENHOFF: — By jednak ten obraz sytuacji młodego literata w Łodzi nie był jednostronny, dodam, że zarówno wspominany tu parokrotnie, a prowadzony przez Jerzego Jarmołowskiego, Ośrodek Sztuki i Kultury Młodych, jak i nasze koło, czy Klub Młodych Pisarzy „Wiadukt" przy ZSMP podejmują wiele inicjatyw dla młodego środowiska pisarzy. Wspomnę choćby o serii „Spotkań z młodą poezją" ośrodka, której towarzyszą drukowane poetyckie foldery, o licznych wieczorach autorskich, spotkaniach warsztatowych, turniejach poetyckich, z których największą tradycję i rangę ma turniej „O puchar wina", zainicjowany przed laty i współorganizowany dzisiaj przez Koło Młodych. Staramy się także służyć członkom koła radą i opinią w sprawach bytowych, w uzyskaniu stypendiów, zasiłków, mieszkań itp., a także pośredniczyć w ich kontaktach z redakcjami — np. „Odgłosów" — czy wydawnictwami (choćby serią „Pokolenie, które wstępuje", dzięki której zadebiutowało już — acz znowu poza Łodzią — czterech młodych łódzkich poetów). Wszystko to nie może jednak przesłonić wieloletnich zaniedbań do młodych pisarzy żyjących w Łodzi.

J. KIDAWA: — W środowisku młodych filmowców sytuacja jest diametralnie różna i to na naszą korzyść. Koło Młodych Filmowców, działające do niedawna obok Stowarzyszenia Filmowców Polskich, jest dzisiaj sekcją tego związku twórczego. Praktycznie więc każdy członek koła może po 4-letnim stażu zostać członkiem SFP. Natomiast członkiem Koła Młodych może być już student III roku Szkoły Filmowej, jeżeli ma za sobą film absolutoryjny.

To, że członkiem Stowarzyszenia Filmowców Polskich może zostać każdy członek Koła Młodych w sposób naturalny, płynny, jest zasługą starań poprzedniego Zarządu Koła z Januszem Kijowskim na czele. Dzięki wysiłkom tego zarządu i życzliwszej atmosferze dla młodych filmowców doszło również do powstania Studia Debiutów przy warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Studia Młodych w telewizji. Dodam, że jeszcze wcześniej nawiązano współpracę z łódzką Wytwórnią Filmów Oświatowych. To właśnie w niej w 1976 roku zrealizowali większość swoich debiutów profesjonalnych członkowie Koła Młodych.

Z przerażeniem słuchałem waszych wypowiedzi na temat braku wpływu Koła Młodych pisarzy na politykę debiutów. Młodzi filmowcy i pod tym względem mają większe możliwości. Dla przykładu: w radzie programowej Studia Debiutów WFD zasiadają trzy osoby ze strony wytwórni i trzy z Koła Młodych. Jest więc równowaga sił, co sprzyja demokratyzmowi obrad, które zawsze odbywają się z udziałem autora scenariusza zaproponowanego do realizacji. Dogodność obecnej sytuacji polega więc na tym, że w zasadzie każdy młody filmowiec, w tym również student, o ile ukończył film absolutoryjny, może starać się o realizację własnego scenariusza już w warunkach profesjonalnych...

T. SOLDENHOFF: — Nie oznacza to chyba jednak, że każdy scenariusz jest od razu realizowany? Nasza baza kinematograficzna nie jest bodaj jeszcze przygotowana na taki zalew debiutów?

J. KIDAWA: — W Polsce kręci się rocznie około 30 filmów fabularnych i liczba ta powiększa się bardzo powoli. Jednocześnie nadal aktywnych jest wielu starszych reżyserów, o sprawdzonym i uznanym dorobku. To — jeśli chodzi o filmy fabularne, które są marzeniem i celem większości filmowców — każe powściągać nadmierny optymizm. Lepiej jest już w innych gatunkach filmowych, ale i tak zjawiskiem dotąd niespotykanym było owe 11 debiutów, jakie zanotowano w 1979 roku. Nie jest powiedziane, że sytuacja ta powtórzy się w roku 1980; nadal bowiem — zwłaszcza w „fabule" — musi dochodzić do kompromisów między „młodymi" a „starymi". Co więcej, warto pamiętać, że Koło Młodych Filmowców ma wciąż najwyższą spośród wszystkich kół młodych przeciętną wieku — ponad 33 lata. Wielu jego członków nie ma nadal etatów. Do tego dochodzą ciągle nowi, młodsi. Łódzka „filmówka" wypuszcza rocznie około 10 młodych reżyserów. Gdzieś ich trzeba zatrudnić. Tak samo, jak coraz liczniejszych absolwentów niedawno powstałego Wydziału Radiowo-Telewizyjnego w Uniwersytecie Śląskim. Tych ostatnich szkoli się głównie z myślą o pracy w telewizji, a przecież to ona właśnie przede wszystkich umożliwiała dotąd debiuty absolwentom łódzkiej PWSFTviT...

Ostatnia fala debiutów filmowych nie jest więc jeszcze powodem do entuzjazmu. To są debiuty z „remanentów", z bardzo długiej kolejki, która narastała przez lata. W dalszym ciągu sama przynależność do Koła Młodych i SFP nie daje jeszcze gwarancji, że się będzie robić filmy...

A. W. MIKOŁAJEWSKI: — Od czego to więc zależy?

J. KIDAWA: — Talent i umiejętności — to tylko część prawdy. W naszym środowisku wiele zależy od tego, czy dane nazwisko jest znane, czy nieznane. Dlatego jeszcze w czasie studiów w szkole odczuwa się silny pęd do „robienia nazwisk", stwarzających jakąś gwarancję wejścia w środowisko zawodowe bez poślizgu...

J. MARKUNAS: — I ja ze swojego środowiska — plastyków — mógłbym dać wiele przykładów dyskusji, w których sposoby wejścia na rynek przesłaniają sprawy ideowe i warsztatowe...

J. KIDAWA: — Zapewne, tylko, że w środowisku filmowym autoreklama jest zjawiskiem naturalnym i bezdyskusyjnym. Bez „nazwiska" nie masz czego szukać na rynku, który najdłużej chyba zachowuje prawa wolnej konkurencji... Dlatego świadomie staramy się obniżyć próg debiutu do murów uczelni. Każdy student realizuje w ramach programu uczelni kilka filmów. Chcemy aby mógł pokazywać je jak najszerszej widowni w Polsce i za granicą. Uczestniczymy więc z naszymi szkolnymi filmami w rozmaitych przeglądach, festiwalach i pokazach. Ostatnio np. studenckie etiudy zwróciły uwagę widowni podczas VI Lubelskiego Forum Filmowego, wiele z nich pokazaliśmy również podczas IV Dni PWSFTviT w listopadzie 1979 roku. Naszym najważniejszym celem jest jednak stała obecność filmów studentów na festiwalu filmów krótkometrażowych w Krakowie.

Niestety, liczbę realizowanych w czasie studiów filmów ograniczają produkcyjno-finansowe możliwości uczelni. Tymczasem student mógłby ich robić więcej, w ciągu 4 lat nauki jest na to czas. Dlatego z nadzieją przyjęliśmy cenną propozycję ZPB im. Obrońców Pokoju, które obiecały przeznaczyć pewną sumę środków na filmy realizowane przez studentów PWSFTviT poza tokiem nauki, pod warunkiem, iż tematycznie będą one związane z „Uniontexem"...

M. POŁATYŃSKI: — Przy okazji dodam, że z podobną, konkretną ofertą — sfinansowania jednego z przedstawień dyplomowych — wystąpił również „Uniontex" pod adresem Wydziału Aktorskiego PWSFTviT.

J. KIDAWA: — Korzystając z tej dyskusji, chciałbym za pośrednictwem „Odgłosów" zwrócić się do innych zakładów przemysłowych Łodzi z apelem o poparcie inicjatywy „Uniontexu" i pomoc młodym twórcom. Każda konkretna oferta może liczyć na rezonans środowisk twórczych. Sądzę, że młodzi artyści mogą — szerzej niż dotychczas — włączyć się w realizację akcji „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką".

B. JACHOWICZ: — O ile mi wiadomo, dzięki staraniom Łódzkiej Rady Związków Zawodowych i Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego sporządzony został już pakiet konkretnych propozycji środowisk twórczych pod adresem łódzkich zakładów przemysłowych, zainteresowanych hasłem „Sojuszu..."

S. KACZOROWSKI: — Ponieważ uczestniczyłem w przygotowywaniu tych ofert mogę powiedzieć, że nie zostało pominięte żadne młode środowisko twórcze. W imieniu młodego środowiska kompozytorskiego dodam, że cieszylibyśmy się z każdej propozycji współpracy z mecenasem, który zainteresowałby się problemami naszego środowiska.

A tak się składa, że chociaż student Wydziału Kompozycji i Teorii Muzyki pisze rocznie w ramach programu kilka utworów, nie ma zagwarantowanych żadnych możliwości usłyszenia ich „na żywo". Może liczyć tylko na przyjacielską przysługę kolegów z Wydziału Instrumentalnego, całkiem zresztą bezinteresowną... Natomiast wykonanie utworu na większy zespół instrumentów czy orkiestrę jest już zupełnie niemożliwe.

J. PRZYBYLSKI: — Mimo tych trudności, podejmujemy różne próby prezentacji twórczości młodych kompozytorów w ramach działalności Koła Naukowego. Np. co roku odbywają się koncerty studenckich etiud. Jednakże i tutaj możemy liczyć wyłącznie na bezinteresowną, społeczną pracę studentów-instrumentalistów.

S. KACZOROWSKI: — Po skończeniu studiów większość z nas zmuszona jest podjąć stałą pracę zarobkową, najczęściej w szkolnictwie muzycznym. Czas na samodzielną pracę twórczą jest przez to ograniczony. I choć mamy możliwości wysyłania swoich prac na konkursy kompozytorskie, to nawet nagrody nie zapewniają jeszcze możliwości usłyszenia swojej pracy, nie mówiąc już o jej wydaniu. A nie muszę chyba w tym gronie wyjaśniać, czym dla młodego zwłaszcza kompozytora jest wysłuchanie własnego utworu.

J. PRZYBYLSKI: — Tymczasem coraz bardziej nam zależy — i to właśnie od początku studiów — na możliwie szerokich kontaktach ze społeczeństwem w formie publicznych konfrontacji naszej twórczości. Czujemy się związani z Łodzią i szczególnie zależy nam właśnie na prezentacji swoich prac w środowisku, gdzie studiujemy i pracujemy. Ostatnio zarysowały się pewne możliwości współpracy z zakładami przemysłowymi Łodzi. Liczymy na konkretną pomoc tych instytucji w organizowaniu — otwartych dla mieszkańców Łodzi — koncertów debiutów kompozytorskich. Z myślą o konkretnych

korzyściach dla upowszechniania kultury muzycznej wśród najszerszych kręgów słuchaczy zamierzamy m.in. zorganizować w 1980 roku ogólnopolski festiwal młodych kompozytorów. Ma on służyć nie tylko porównaniom osiągnięć twórców z różnych ośrodków i inspiracji do nowych poszukiwań, ale również otwartej konfrontacji i weryfikacji tego dorobku przez tzw. szeroką publiczność.

Może dzięki wsparciu łódzkich zakładów pracy udałoby się stworzyć takie organizacyjne warunki, które pozwoliłby na realizację nie tylko tego, ale również wielu innych pomysłów, z którymi nosimy się od dłuższego czasu...

J. KIDAWA: — Trafiliśmy w dość może drażliwy, ale trudny do zatajenia punkt: na debiuty potrzebne są środki. Problem w tym, czy ci którzy realizują politykę kulturalną chcą ryzykować i stawiać na młodych. A przecież najmłodsi twórcy — w przeciwieństwie do uznanych i sprawdzonych przedstawicieli starszego pokolenia — nie dają mecenasowi praktycznie żadnych gwarancji. Dlatego mecenas wciąż woli postawić na twórców już sprawdzonych, twórców dzieł określonej (choć przecież często nie najwyższej) marki i wymowy, niż na tych, którzy na razie tylko deklarują się „że coś zrobią". Myślę jednak, że gdyby pojawiły się — tak jak to się stało z „Uniontexem" — możliwości jakichś dodatkowych funduszy, to można by również śmielej stawiać na najmłodszych. Stąd postulat rozszerzenia tej pierwszej inicjatywy — być może także na całą Polskę.

T. SOLDENHOFF: — Nienaturalność naszej sytuacji, jako tak zwanych młodych twórców, a w tym również i naszej dyskusji polega na tym, że my tu przez cały czas mówimy właściwie o czymś, co powinno być rozstrzygnięte i rozwiązane w ramach normalnie funkcjonującego mecenatu. Bez konieczności uciekania się do jakichś „dodatkowych funduszy", powoływania nowych sponsorów (np. spośród zakładów przemysłowych), liczenia na czyjąś dobrą wolę. Gdyby na przykład Filharmonia Łódzka czuła się zobowiązana do prezentacji — przynajmniej raz w roku — dorobku młodych łódzkich kompozytorów (bez względu na dodatkowe straty finansowe), gdyby Wydawnictwo Łódzkie znalazło przed pięcioma laty w swoim planie wydawniczym choćby jedno stałe miejsce dla tworzącego w Łodzi młodego poety, gdyby łódzka uczelnia filmowa — jedyna do niedawna w kraju — miała więcej taśmy i lepszego sprzętu, to — zamiast w ogóle postulować współpracę z przemysłem jako mecenasem — moglibyśmy już mówić tylko o sposobach pogłębiania tej współpracy. Otóż — jak się zdaje — opieka nad młodymi twórcami nie stała się jeszcze obowiązkiem działających w Łodzi instytucji kultury i związków twórczych. Problem tkwi, moim zdaniem, w tym, aby ze wszystkich precedensów typu Studia Debiutów w telewizji czy „Biblioteki Debiutów" w WŁ, które pojawiły się ostatnio, coś wreszcie przedarło się na stałe do świadomości mecenasa i opinii publicznej, by działania podejmowane na razie „z okazji" jednej czy drugiej uchwały przekształciły się w zjawiska normalne i naturalne, by zakorzeniły się w świadomości. By powołane do towarzyszenia młodym instytucje i organizacje przywykły do myśli, że młodzi mają takie same prawa i potrzeby... Bo na razie o jakiejś wyraźnej poprawie nie można przecież mówić. Nie opuszcza mnie wrażenie, że zarówno w wypadku młodych literatów, jak i filmowców czy muzyków, jest to wciąż jeszcze start z miejsca poniżej zerowego punktu, ciągłe odrabianie remanentów...

J. KIDAWA: — Zgoda, ale wzbraniałbym się przed obciążaniem całą odpowiedzialnością za ten stan mecenasa. Czasem wydaje mi się, że młodzi nie grzeszą dzisiaj ekspansywnością. Sądzę, że on — mecenas — wie, że my — młodzi — istniejemy, że mamy określone potrzeby. Natomiast byłoby chyba cenne, aby na przykład Koło Młodych przy ZLP posiadało jakiś zdecydowany program ideowo-artystyczny, który mogłoby przeciwstawić poglądom „starych", obecnej sytuacji w literaturze. Taki program dość wyraźnie sprecyzowało w ostatnich latach Koło Młodych Filmowców. Jego argumentem przetargowym jest postulat takiego kina artystycznego, które byłoby zarazem masowym i które by pogłębiło dość szablonowy portret filmowego bohatera — współczesnego Polaka. To jest już pewien konkret, o który można — i trzeba — walczyć. Wydaje mi się, że o podobny powinna postarać się młoda literatura, pozbawiona dzisiaj — jak sądzę — większego społecznego autorytetu.

J. MARKUNAS: — W żadnym razie nie zwalniałbym jednak od służenia najmłodszym artystom instytucji do tego celu między innymi powołanych. W środowisku młodych plastyków szczególnie ważne są relacje między studentami i absolwentami, a uczelniami i Związkiem Plastyków.

W uczelni nieraz zdarza mi się słyszeć opinie o studencie typu: „Z niego to coś będzie". Otóż wszyscy chętnie to powtarzają, ale też jakże często poprzestaje się na podobnych komplementach i bezpodstawnym przekonaniu, że ten „młody, zdolny" i tak się kiedyś „przebije". Nikt mu jednak pomocnej ręki nie poda. „Młody, zdolny" kończy studia i wchodzi w życie zawodowe. Jakie ma perspektywy? Jeżeli skończył specjalizację projektanta, składa ofertę w przemyśle, ale ten nie jest w stanie zagwarantować mu ani etatu, ani też statusu. A w każdym razie projektowanie dla potrzeb przemysłu nie wystarcza na życie. Mniej ambitni biorą się więc za chałturzenie, wykonywanie różnych usług...

M. POŁATYŃSKI: — Gdybyż chodziło jedynie o zdobycie środków na realizację bardziej ambitnych poczynań!

J. MARKUNAS: — Tak często bywa. Ambitne poszukiwania, eksperymenty są kosztowne, wymagają środków. Jednakże bywa i tak, że kiedy wreszcie osiągnie się stabilizację materialną, zdobędzie upragnione środki, nie ma się już nic ciekawego do powiedzenia w sztuce. Chałtura niszczy, wypala wewnętrznie. Tak — śmiercią naturalną — kończy wiele talentów.

Dlatego uważam, że uczelnia i związek twórczy powinny pomagać najzdolniejszym w ich starcie, niejako pilotować ich przez pewien czas od opuszczenia murów szkoły. Powiązanie uczelni z absolwentami musi być bardziej ścisłe, podobnie zresztą jak z instytucjami upowszechniania sztuki.

M. PĄCZEK: — Niebezpieczeństwo zagubienia talentów, niewłaściwego pokierowania ich losami, wisi również — niestety — nad absolwentami szkół teatralnych. O miejscu ich pracy zbyt często decyduje przypadek. Byłoby chyba dobrze, gdyby np. Wydział Aktorski PWSFTviT bardziej interesował się karierami swych absolwentów, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, gdzie wciąż jeszcze większe są szanse zmarnowania talentu. Może uczelniana organizacja partyjna miałaby wpływ na zdobywanie — dla najzdolniejszych — odpowiednich miejsc pracy?

J. MARKUNAS: — Jeżeli chodzi o środowisko plastyków, to trudno oczekiwać takiej pomocy od np. kół młodych absolwentów, które w działaniu nie sprawdziły się zupełnie. W Stowarzyszeniu Filmowców Polskich Koło Młodych jest organiczną sekcją, a nie — nikomu nie służącą — przybudówką. Czas najwyższy, by podobnie działo się w Związku Polskich Artystów Plastyków. Od kiedy bowiem uchwalono nowy statut ZPAP, napływ młodych do związku jest minimalny. W Łodzi np. nie przekracza 20 osób rocznie. Tymczasem łódzka PWSSP wypuszcza każdego roku ok. 60 absolwentów. W sumie — w samej tylko Łodzi — około 300 młodych twórców — absolwentów Wyższej Szkoły Plastycznej pozostaje poza związkiem. Ale nawet najambitniejsi spośród tych, którzy dostali się do ZPAP i są wierni swoim artystycznym poszukiwaniom, nie mają gwarancji, że ich działania będą przez ZPAP popierane. Uważam, że dla działań awangardowych, niekonwencjonalnych, łączących różne dziedziny sztuki, wyprzedzających swój czas, musi znaleźć się więcej miejsca np. w galeriach i muzeach.

M. PĄCZEK: — Właśnie! Problem to szerszy, nie ograniczający się tylko do plastyki. Dotyczy wszelkich samodzielnych, często ryzykownych poszukiwań realizowanych np. poza programem uczelni, czy przyjętym w środowisku wzorem... Nam — w szkole teatralnej — brakuje czasu i miejsca dla tego typu działań. A te, które robimy pokazujemy na ogół tylko na egzaminie. Niebezpieczeństwo zagubienia talentów wiąże się zaś — jak sądzę — również z brakiem szerszych możliwości publicznych prezentacji prac studentów.

M. POŁATYŃSKI: — To trochę wygląda tak, że przez cztery lata siedzimy zamknięci w szkole, po czym nagle dowiadujemy się o istnieniu widowni, która jest inna, niż ta oklaskująca nasze etiudy czy przedstawienia dyplomowe.

B. JACHOWICZ: — Czyli chodziłoby wam o maksymalne zbliżenie warunków nauki do tych, w jakich przychodzi potem pracować?

M. POŁATYŃSKI: — Czasem myślę, czy nie byłoby lepiej, gdybym już na drugim roku studiów „dostał po głowie" od prawdziwej publiczności... A poważnie mówiąc: sądzę, że możliwie wczesne kontakty z widownią teatru zawodowego, z profesjonalną telewizją czy filmem są nam niezbędne. Konieczne jest ciągłe sprawdzanie się przed publicznością i to złożoną nie tylko z pedagogów, kolegów i rodziców. Weryfikacja talentów powinna zacząć się wcześniej, na pierwszych latach studiów. Może zaoszczędziłoby się w ten sposób późniejszych rozczarowań, a pomyłek w polityce zatrudniania młodych aktorów byłoby mniej...

T. SOLDENHOFF: — Wiecznym dylematem absolwentów szkół teatralnych jest: zostać w dużym ośrodku i — jak to bywa najczęściej — grać tzw. ogony, czy też zaryzykować i pójść na tzw. prowincję, która jednak stwarza szanse dużych ról, „wygrania się"...

M. POŁATYŃSKI: — Żaden „młody, zdolny" nie broniłby się przed pójściem na prowincję, gdyby miał zapewnione, że po roku czy dwóch będzie mógł przenieść się do dużego miasta. Chodzi o to, aby prowincja traktowana była jako etap przejściowy, jako swego rodzaju staż. Mówiliśmy już tutaj o braku zainteresowania losami absolwentów ze strony macierzystej uczelni. Ba!, gdyby chociaż interesowali się nimi systematycznie dyrektorzy teatrów z dużych ośrodków i wyłapywali najzdolniejszych, tych, którzy mogą się przydać na najlepszych polskich scenach... Niestety, takie próby obserwacji zdarzają się sporadycznie, toteż młodzi aktorzy, którzy zdecydowali się na prowincję, mogą na ogół liczyć tylko na przypadek. Ale jeśli się nie trafi? Szansa powrotu jest bardzo mała. „Młody, zdolny" w końcu traci świeżość, zapał, a często i talent. Adaptuje się w nie najlepszych warunkach, przyzwyczaja. Egzystuje, aż wreszcie godzi się ze swym losem.

M. PĄCZEK: — Dla absolwentów szkół teatralnych scena w małym ośrodku nie powinna być prowincją, ale normalnym miejscem pracy, z którego po pewnym czasie można by przenieść się do dużego ośrodka. Jak to zrobić? Powiedzmy, że istniałyby w Polsce trzy teatry, w których — jak na poligonie — spotykaliby się na krótki okres czasu świeżo upieczeni absolwenci. Po jakimś czasie następowałaby wymiana. Warunkiem musiałaby być chyba jednak również rotacja w teatrach w dużych miastach, zaostrzenie konkurencji, częstsze weryfikacje pracujących tam aktorów pod względem dalszej ich przydatności...

M. POŁATYŃSKI: — A może dałoby się wręcz stworzyć system, w którym obowiązywałby nakaz pójścia na prowincję po skończeniu szkoły, z zastrzeżeniem możliwości powrotu dla najwybitniejszych?

B. JACHOWICZ: — Słowo „system" już parokrotnie pojawiło się w naszej dyskusji. Myślę jednak, że nie jest możliwa do zrealizowania jakaś jedna, stała metoda — a cóż tu dopiero mówić o systemie — lansowania zjawisk artystycznych, choć na pewno ani możliwości administracyjne, ani możliwości środków masowego przekazu nie zostały jeszcze w pełni wykorzystane. Można jednak chyba wymagać od np. prasy kulturalnej czy telewizji, aby bardziej systematycznie i obiektywnie obserwowały zjawiska młodej sztuki rodzące się w różnych, większych i mniejszych ośrodkach. Chodziłoby głównie o wskazywanie zjawisk żyjących jeszcze niejako „pod skórą" tych, które nie funkcjonują na razie w szerszym, społecznym obiegu. Takiego — stałego — towarzyszenia problemom młodych twórców nie da się jednak zastąpić jedną czy drugą kolumną wierszy młodych w tygodniku, czy migawką filmową o laureacie międzynarodowego festiwalu.

M. POŁATYŃSKI: — Duże zadania w tej dziedzinie stoją — jak sądzę — przed organizacjami twórczymi skupiającymi młodych. Koła młodych powinny wywalczyć sobie możliwość wpływu na wydawnictwa, prasę i telewizję, ale nie na zasadzie prywatnych kontaktów przewodniczącego, lecz ogólnie zaakceptowanych mechanizmów, uznanych praw. Aby młodzi twórcy wstępując do koła mieli przekonanie, że również z jego pomocą będą mogli swoje artystyczne myślenie zamienić w czyny i to we właściwym czasie. Lecz aby to było możliwe, muszą być zapewnione elementarne warunki. Podstawą dla twórczych poszukiwań jest zaś finansowa samowystarczalność młodego artysty...

B. JACHOWICZ: — Nie jestem pewien, czy trzeba zaczynać od mówienia o pieniądzach...

M. POŁATYŃSKI: — Ale zgodzisz się chyba ze mną, że nawet najzdolniejszy filmowiec czy plastyk nic nie zdziała, jeżeli nie zapewni się mu środków. Trudno zabierać się do pokonywania dziewiątego szczebla, kiedy nie został przekroczony pierwszy...

J. KIDAWA: — Przypomnę tylko, że trzeba było pięciu lat i aż trzech kolejnych zarządów, aby w samym Kole Młodych Filmowców wytworzyła się właściwa płaszczyzna dyskusji, aby mogło ono określić swoje najważniejsze zadania i cele. Droga od starań o wkładki biletowe, aby móc tanio i często chodzić do kina, do wywalczenia Studia Debiutów przy WFD i Studia Młodych w TV — a więc od działania na poziomie średniej rady zakładowej do samodzielnego programu ideowo-artystycznego — była długa...

J. MARKUNAS: — Od dwóch lat daje się jednak zaobserwować, także w Łodzi, pewien pozytywny ruch wokół młodych. Przede wszystkim chodzi o stworzenie zdrowej atmosfery debiutu. Z jednej strony pojawiło się np. wielu naprawdę utalentowanych młodych plastyków, z drugiej zaś jak gdyby wzrosło zaufanie do ich działań ze strony tych, którzy jeszcze dwa lata temu mocno kalkulowaliby, czy postawienie na najmłodszych im się opłaci. Pewne symptomy i konkrety świadczą o przełamywaniu nieufności. Niektóre deklaracje weszły już w życie, inne są w trakcie załatwiania. Mnie najbardziej cieszą dwie rzeczy: zapowiedzi uregulowania statutu plastyka-projektanta w przemyśle oraz obietnica włączenia młodych plastyków w krwiobieg życia związkowego zaraz po ukończeniu studiów poprzez stworzenie w ZPAP sekcji młodych. Oczywiście, tym zapowiedziom towarzyszy jeszcze pewne napięcie, atmosfera wyczekiwania, że część deklaracji zostanie tylko na papierze. Jest to chyba jakaś pozostałość w świadomości po tych próbach, które w przeszłości nigdy nie zostały skonkretyzowane. Nadal odnosi się wrażenie, że młodzi boją się startować, że odkładają samodzielne życie artystyczne na bliżej nieokreśloną przyszłość...

M. POŁATYŃSKI: — Za rok, dwa skończymy studia. Muszę się wam przyznać, że zarówno ja, jak i moi koledzy po prostu boimy się myśleć: co dalej? — bo większość z nas wie, co ich czeka...

J. MARKUNAS: — To, że odkłada się myślenie o prawdziwym starcie zawodowym wcale nie musi oznaczać, iż młodym plastykom chodzi na przykład tylko o zapewnienie sobie materialnej bazy dla debiutu i ambitniejszych poczynań. Nie znaczy to też, że młodzi tylko chałturzą... Nie, oni również w jakimś sensie pracują na swój późniejszy start i ewentualne sukcesy, tylko, że odbywa się to pod pewną psychologiczną presją, presją mitu: „zanim cokolwiek pokażesz, musisz być w tym bardzo dobry". Ten perfekcjonizm, bez którego młodzi nie wyobrażają sobie startu, ma bardzo złe skutki. Po prostu w świadomości młodego pokolenia plastyków nie ma czasu ani miejsca na próby i błędy.

M. POŁATYŃSKI: — To kiedy jest ten czas? W sztuce, jak wiadomo, wszystko płynie szybko, a kierunki, mody i trendy zmieniają się nad wyraz często. Czyżby zapominali o tym młodzi, zajęci dzisiaj zdobywaniem materialnego statusu?

B. JACHOWICZ: — Nie sądzę. Warto chyba jednak zdać sobie sprawę z obiektywnych uwarunkowań tak długiego czekania na debiut. Np. na pierwszy tomik poetycki czekało się jeszcze do niedawna 6—8 lat, licząc od debiutu w prasie. Po tylu latach młody poeta powinien mieć już drugą, trzecią książkę. Ostatnio poeci — jakby zniecierpliwieni czekaniem w długich kolejkach do profesjonalnych wydawnictw — zaczęli sobie sami organizować druk swoich książek. W całej Polsce namnożyło się różnych serii poetyckich o zasięgu często regionalnym, firmowanych przez rozmaite instytucje i organizacje, nieraz nie mające nic wspólnego z kulturą. Te nieoficjalne wydawnictwa, ukazujące się poza monopolem państwowych oficyn i „Domem Książki" w dużym stopniu rozładowały napiętą sytuację (dość powiedzieć, że w jednym tylko — 1977 roku — debiutowało ok. 70 poetów). Myślę zatem, że coraz więcej może zależeć od samych młodych twórców, od ich aktywności i zaradności. Zarazem jednak trzeba cały czas przypominać wydawnictwom i innym instytucjom do mecenasowania powołanym, że nikt nie zwolni ich od obowiązku towarzyszenia najmłodszemu pokoleniu twórców. Pełne otwarcie tych instytucji na sprawy młodzieży artystycznej jest jeszcze melodią przyszłości...

T. SOLDENHOFF: — Oby te wszystkie próby, których przykładem starania młodych poetów, doprowadziły w końcu do powszechnego uznania potrzeb i oczekiwań młodych twórców — jako poniekąd naturalnych...

J. MARKUNAS: — Jak również do zaakceptowania faktu, że młody twórca ma takie same prawa, jak jego często niewiele starszy kolega — członek związku, problemów natomiast ze sobą i swoim życiem znacznie więcej. Pozbawiony jest bowiem z reguły trwałych podstaw dla wykonywania zawodu, począwszy od spraw tak elementarnych, jak pracownia...

M. POŁATYŃSKI: — Domagając się swoich praw musimy po prostu częściej pamiętać o tych, którzy zdobywszy już pewien materialny i zawodowy status oraz artystyczne doświadczenie, nie zawsze w końcu robią to, co było ich ideałem i celem w młodości... Walcząc o prawa dla siebie musimy częściej wybiegać myślą w przyszłość i widzieć siebie na ich miejscach. Ich doświadczenie powinno być dla nas nauką...

B. JACHOWICZ: — Sądzę, że jest to jedna z ważniejszych refleksji, jakie pojawiły się w naszej dyskusji... Że ten fajny okres, w którym można pozwolić sobie nawet na pewną rozrzutność pomysłów, niejednokrotnie — z całkiem błahych, drugorzędnych powodów — traci się... A potem przychodzi gorzka zaduma, że nie wykorzystało się tej ogromnej szansy, jaką daje młodość.

T. SOLDENHOFF: — Myślę, że to ostatnie stwierdzenie może być również konkluzją całej naszej dzisiejszej dyskusji. Dziękuję kolegom za udział.

Foto. R. Łucyszyn

noc w słonecznych okularach

Dalszy ciąg ze str. 1

— Nie wygłupiaj się — powiedziałem. — Ciągle jeszcze jesteś w Hiszpanii.

— *Ale jednocześnie w Afryce.*

— Tak, tak, w Afryce — przytaknąłem, wiedząc jak bardzo smakuje mu to słowo. — Napij się porządnie wina i śpij.

Każdy z nas ciągnął z własnej, litrowej butelki, szybko, długimi łykami, żeby sprowokować sen.

— *Wiesz* — zaczął od nowa — *bardzo nie lubię parterowych pomieszczeń, szczególnie jak w oknach są dziury* — wytknął palcem jedną z tych dziur. — *Zawsze może wtarabanić się do środka jakieś paskudztwo...*

— Śpij — powtórzyłem. — Napij się porządnie i śpij.

— *Łatwo ci mówić, a tu coś chodzi po ścianie. Może jakiś jadowity pająk?*

— Ty, przestań wreszcie marudzić, do diabła! Kończ wino, gaś światło i śpij.

Znużyła mnie ta dziesięciogodzinna przeprawa przez gardziel Morza Śródziemnego. Prom nazywał się Vincente Puchol, wyszedł z Malagi po dwunastej, w piękną, słoneczną pogodę, ale potem, na trasie była mgła, zderzyły się jakieś dwa statki; musieliśmy trochę zwolnić i zmienić kurs. Stąd to opóźnienie i ta cholerna pakamera, w której przecież spałem jak zabity do dziewiątej rano.

Wstałem, nie budząc przyjaciela, i kiedy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem w górze błękit bez najmniejszej chmury, a w dole, na ulicy, targ owocowy. Większość kupujących i wszyscy kramarze byli Arabami. Niektórzy mieli na sobie regionalne, marokańskie derki, na głowach białe zawoje albo czerwone frezy. Kobiety paradowały w sutych, koronkowych szatach, prawie każda bez twarzy — czarne, posępne oczy za woalem sięgającym nasady nosa, czoło przykryte także, aż do brwi.

Przyjaciel zerwał się z łóżka i poszliśmy zobaczyć z bliska ten targ, obstawiony ze wszystkich stron przez hiszpańskich policjantów. W ościennych uliczkach też kłębił się handlujący tłum. Nie tylko owoce — buty, bielizna, garderoba, płyty, taśmy z arabską muzyką, wyroby ludowe. W pobliżu meczetu był niewielki plac i zajeżdżały tam raz po raz marokańskie, strupieszałe autobusy, z których wysypywały się na zaśmiecone chodniki setki Arabów. W oddali, już po stronie marokańskiej, widać było wysokie wzgórza Atlasu. I ja zaczynałem powoli wierzyć, że to jednak Afryka.

Poszliśmy do portu, żeby zgodnie z rutyną od razu zarezerwować bilety w dalszą drogę. Chcieliśmy popłynąć wzdłuż Wybrzeża marokańskiego do Ceuty i stamtąd przeprawić się znowu na półwysep Iberyjski, do Algeciras, w kasie powiedziano nam jednak, że statek kursuje na tej trasie tylko raz w tygodniu, więc: albo popłyniemy dzisiaj, w czwartek o dwunastej w nocy, albo będziemy musieli czekać cały tydzień.

Postanowiliśmy zostać parę dni. Był ósmy listopada, słońce przygrzewało, dzieciaki biegały po ulicach w majtkach i koszulkach z krótkimi rękawkami. W porcie rybackim, zanurzeni do pasa mężczyźni spychali do wody długą łódź.

— *Możemy wziąć mydło, ręczniki i iść na plażę* — powiedział mój przyjaciel. — *Jak myślisz, chyba przy brzegu nie ma rekinów?*

— Nie ma — powiedziałem i zaczęliśmy wracać główną ulicą w stronę hostalu.

I nagle znowu zobaczyłem człowieka w czarnych okularach. Stał, tak jak i wczoraj, w bramie, wsparty ramieniem o framugę drzwi i patrzył nieruchomo w przestrzeń. Poruszają mnie zawsze w życiu takie powtarzające się motywy. Sam nie wiem czemu przypomniałem sobie nagle bezsenną noc w Kordobie. Co otworzyłem oczy, widziałem poprzez okno zabezpieczone rdzawą, drucianą siatką, kilkanaście kotów, obsiadujących stromy, czarny dach po drugiej stronie patia i ślepiących uporczywie w moim kierunku.

— *On jest Arabem?* — zapytał mój przyjaciel.

— Tak.

— *Ale ubiera się po europejsku i to niesłychanie elegancko.*

— Dobra — powiedziałem i zbliżyłem się do czarnych, nieruchomych szkieł, powodowany jakimś niejasnym impulsem.

— Dzień dobry — zagadnąłem. — Nie zwolniła się przypadkiem jakaś dwójka?

Skinął głową z ogromną godnością, odpowiadając na moje pozdrowienie i potwierdził, że owszem, już się zwolniła.

— Moglibyśmy zobaczyć?

— *Jeśli tylko panowie sobie życzą?*

Minęliśmy biedne, ale schludne patio i weszliśmy w mrok wąskiego korytarza. Było tam kilka ubogich krzeseł i duży, staroświecki telewizor. Była tam również nyża wytapetowana zdjęciami aktorów filmowych, w której oprócz żelaznego łoża i maleńkiego stolika nie mieściło się już nic.

Zorientowałem się, że nyża pełniła funkcję recepcji, bo właśnie stamtąd hostalero wziął klucz do naszego przyszłego pokoju — małego, ale czystego, bez wody, ale z widokiem na główną ulicę i na zielone wzgórza Atlasu.

— Ile pan liczy za dobę?

— *Trzysta.*

Była to najniższa stawka, jaką udało nam się kiedykolwiek uzyskać w hostalu, toteż błyskawicznie zwinęliśmy majdan w naszej poprzedniej, brudnej rezydencji, pożegnaliśmy uprzejmie właścicielkę o wytatuowanej na modłę marokańską twarzy i rozlokowaliśmy się w nowym mieszkaniu.

Kiedy ponownie wyszliśmy na ulicę, hostalero stał w bramie, w idealnie tym samym miejscu i pozycji.

Wykąpaliśmy się, zjedliśmy obiad w małej, plażowej knajpie, złożonej z baraku, w którym był bufet, z tarasu, którego ściany uwite były z liści palmowych, a dach z pędów bambusa. Pracowali tam tylko dwaj ludzie — stary Hiszpan o chudej, długiej szyi i siwych, mocno przerzedzonych włosach oraz młody kuchcik o arabskim wejrzeniu. Krzątali się przez cały czas pracowicie — smażyli coś, pitrasili, przelewali wino z butelki do butelki, jednym słowem; pełne pogotowie, aczkolwiek oprócz nas nie było tam nikogo i wydawało się, że już nigdy nikt tam nie przyjdzie.

Potem zwiedziliśmy starą, warowną dzielnicę arabską, przypominającą od zewnątrz zamczysko. Mury wyrastały wprost ze skał, tu i ówdzie mieszały się z nimi, niebieskie morze wdzierało się do kamiennej zatoczki, gdzie woda przybierała barwę intensywnej zieleni. W szparach uchylonych drzwi widać było twarze starych, zawoalowanych kobiet, na sznurach przeciągniętych w poprzek wąskich uliczek trzepotało pranie.

Podszedł do nas młody Marokańczyk:

— *Niemcy?*

— Nie.

— *Amerykanie?*

— Nie.

— *Francuzi?*

— Nie.

— *To skąd jesteście, panowie?*

— Z Polski.

Wybuchnął śmiechem, jakby usłyszał kawał albo zabawne kłamstwo. Ktoś z Polski? Niemożliwe! Jeszcze nigdy nie spotkał tu Polaka. Tak czy owak próbował zrobić interes.

— *Chcecie może kupić dobre, elektroniczne zegarki?*

— Nie.

— *Może haszysz?*

— Nie.

— *Może chcecie wymienić dolary?*

— Nie mamy dolarów.

— *W takim razie mogę wam służyć za przewodnika. Widzicie tę drugą, kamienną twierdzę? Tam jest wojsko. A tam, na wzgórzu za murem, mieści się więzienie dla handlarzy narkotyków. Siedzą w nim nie tylko Marokańczycy i Hiszpanie, ale w ogóle haszmani z całego świata. Tu, przez Melillę* — dodał z dumą — *szmugluje się największą ilość narkotyków do Europy. A więzienie nie jest wcale takie szczelne już niejeden stąd nawiał.*

Daliśmy mu parę peset i uciekliśmy do małego muzeum, gdzie było trochę ceramiki, trochę antycznych monet i na honorowym miejscu, za szkłem, lista z ozdobnie wypisanymi nazwiskami wszystkich kilkudziesięciu gubernatorów Melilli, od czasów średniowiecznych do dzisiaj. Potem odwiedziliśmy inną, biedaczą enklawę Arabów oraz rozłożoną na ustronnym wzgórzu dzielnicę cygańską, gdzie białe, kamienne pieczary i szopy o nieszczelnych ścianach zastępowały ludziom mieszkania.

Melilla, według jednego przewodnika, liczy 100 tysięcy mieszkańców według drugiego — 77.000, a według trzeciego — 69.000. Oprócz Arabów stanowiących trzy czwarte ludności oraz Cyganów i Hiszpanów, żyją tam również Hindusi i Żydzi. Duża ilość wojska wszelkich możliwych formacji, jak również wszechobecni przedstawiciele służby bezpieczeństwa — Policia Municipal, Policia Nacional, Guardia Civil — sprawiają, iż w mieście i na przedmieściach nie ma prawie żebraniny i złodziejstwa; czujesz się spokojny nawet o zmroku.

Już po zachodzie słońca znaleźliśmy się w pobliżu hostalu. Kupiliśmy wino, które jest tu nieco droższe niż na półwyspie (wódka za to, koniaki i whisky jest trzy- czterokrotnie tańsza) i postanowiliśmy zaprosić naszego gospodarza na kolację.

Człowiek stał w progu tak, jakby ani przez moment nie zmieniał pozycji. Te szkła. Te koty znowu mi się przypomniały: siedzący ciasno jeden przy drugim konwent dachokrążców. Kiedy zaproponowaliśmy mu wspólną kolację, zgodził się, znowu z tą wielką godnością i niezwłocznie zapalił telewizor.

Byliśmy jedynymi gośćmi w hostalu. Siedzieliśmy z nim przy małym, chwiejnym stole nad sałatką ze świeżych jarzyn i butelką wina, z której zdarłem kapsel i rozlałem do trzech szklanek, pytając przedtem:

— Pan pije?

— *Owszem, trochę.*

— Znam kilka krajów arabskich i jeszcze nigdy nie udało mi się namówić muzułmanina na wino lub koniak. Co najwyżej — szklanka piwa.

— *Wie pan, tu w Melilli, panuje raczej hiszpański obyczaj.*

— Islam jednak zabrania wierzącym alkoholu?

— *Zabrania im także tytoniu, a przecież wszyscy Arabowie palą.*

Mój przyjaciel poszedł po groch z kiełbasą. Kiedy próbował wytrząsnąć trochę z puszki na talerz gospodarza, ten grzecznie ale stanowczo zaprotestował.

— To naprawdę taki wielki grzech? — zapytałem

— *Naprawdę.*

Potem, nie panując już nad ciekawością, zaczął pytać mój przyjaciel.

— *Pan jest żonaty?*

— *Tak.*

— *I pańska żona też zakrywa twarz?*

— *Zakrywa, ale zostawiłem jej możność wyboru. Gdyby chciała chodzić bez woalki, nie miałbym do niej pretensji.*

— *Zna pan arabski?*

— *Bardzo słabo.*

— *A pańskie dzieci?*

— *Są jeszcze bardzo małe, synek ma dwa latka* (poczułem w tym momencie skurcz serca), *a córka cztery. Ale jak dorosną, poślę je do takiej szkoły, gdzie uczy się jedocześnie arabskiego, hiszpańskiego i francuskiego.*

— *Pan się nie gniewa, że jesteśmy tacy wścibscy?*

— *Ależ skąd! Bardzo się cieszę, że mogę z panami porozmawiać. Po raz pierwszy poznałem Polaków. Znam już* — dodał z niejaką dumą — *dwóch Anglików i jednego Holendra.*

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu. Potem padło z naszej strony zdanie, które okryło twarz naszego gospodarza chmurą. To zdanie brzmiało:

— Czuje się pan Hiszpanem czy Marokańczykiem?

— *Jestem Marokańczykiem* — powiedział, a głos jego wciąż jeszcze brzmiał łagodnie. — *Ale urodziłem się w Melilli. Melilla jest moją ojczyzną. Człowiek chciałby się czuć w swojej ojczyźnie pełnoprawnym obywatelem.*

— A pan się nie czuje?

— *Nie. Nie mam, jak inni, prawa do dodatku dla bezrobotnych, nie mam ubezpieczenia i muszę modlić się, aby moje dzieci były zdrowe. Nie mam paszportu i nie wolno mi się ruszyć poza obręb miasta, aby gdzie indziej poszukać pracy.*

— Zatem — jakie jest pańskie obywatelstwo?

— *Nie mam obywatelstwa. Jestem po prostu mieszkańcem Melilli.*

— Dlaczego nie ubiega się pan o obywatelstwo hiszpańskie?

Człowiek wstał gwałtownie i zginął na chwilę w swojej nyży. Byłem pewien, że się obraził i że nie wróci, tymczasem zjawił się ponownie trzymając w ręku plik korespondencji. Zaczęliśmy studiować te urzędowe, napisane w bardzo grzecznej formie dokumenty, z których wynikało, iż nasz gospodarz ubiega się już od dawna o hiszpańskie obywatelstwo. Kierował swoje podania do wielu urzędów, ministerstw i komisariatów policji, otrzymując zawsze tę samą odpowiedź — *„aby starać się o nasze obywatelstwo, trzeba być melillijczykiem w drugim pokoleniu, niech Bóg zachowa Pana w dobrym zdrowiu"* — podpis.

Foto: J. Katarasiński

NAUKA I TECHNIKA

ANDRZEJ BLAJER

Nauka i technika w sposób niezwykle istotny i konkretny wpływają na kształt współczesnych stosunków międzynarodowych, a nierzadko determinują ich charakter. Dowodzi tego wyraźnie cały okres powojenny, a zwłaszcza lata ostatnie, kiedy to rozwój nauki i techniki tak bardzo wydatnie przyczynił się do przyspieszenia rozwoju gospodarczego świata, stwarzając zarazem ogromne możliwości rozwiązania licznych, poważnych problemów, z którymi dotychczas często bezskutecznie borykała się ludzkość. Bezsprzecznie przyczyniła się do tego m. in. współpraca naukowo-techniczna oraz pomoc w zakresie udostępnienia nowych technik i technologii ze strony państw wysoko rozwiniętych dla krajów i regionów należących do słabo rozwiniętego gospodarczo świata. Nie należy jednak zapominać, że współpraca i pomoc naukowo-techniczna mają konkretne uwarunkowania polityczne, muszą być zatem rozpatrywane w kategoriach politycznych i traktowane jako bardzo skuteczne narzędzie polityki zagranicznej państw wysoko rozwiniętych w ich oddziaływaniu na inne kraje, a zwłaszcza te, które należą do tzw. „Trzeciego Świata".

Bardzo wymownym i znamiennym przykładem takiego podejścia do problemu współpracy naukowo-technicznej jest polityka Stanów Zjednoczonych. Z chwilą, kiedy i w innych krajach, a zwłaszcza w ZSRR, nastąpił intensywny rozwój nowoczesnych technik i technologii, a pułapy ich stały się porównywalne, USA zaczęły traktować naukę i technikę nie tylko jako narzędzie służące do narzucania światu amerykańskiej racji stanu, ale również jako płaszczyznę wielostronnej współpracy.

W tym miejscu warto odnotować, że wpływ obu elementów składowych systemu nauka-technika na stosunki międzynarodowe, nie jest w USA rozpatrywany w sposób jednakowy. Zdaniem niektórych specjalistów amerykańskich oddziaływanie samej tylko nauki w oderwaniu do techniki pozbawione jest istotnej dla dyplomacji wartości. Nauka bowiem stwarza, ich zdaniem, możliwości dotarcia jedynie do wąskiego grona odbiorców, jakimi są środowiska naukowców i daje w konsekwencji ograniczone szanse efektywnego wpływu na otaczający świat. Wpływ techniki na stosunki międzynarodowe jest według tych poglądów nieporównanie skuteczniejszy i znacznie bardziej zróżnicowany. Toteż na technikę patrzy się w Ameryce często jako na czynnik zwiększający, lub zmniejszający niezależność danego kraju oraz tworzący wzajemne zależności, zwłaszcza w odniesieniu do takich problemów jak kwestie gospodarcze, bezpieczeństwo narodowe, eksploatacja zasobów naturalnych, polityka energetyczna, ochrona środowiska itp.

W rezultacie takiego stanowiska w kołach rządowych USA zrodziła się teza o współzależności amerykańskiej polityki zagranicznej i współpracy naukowo-technicznej. Czynniki rządowe USA stanęły w obliczu konieczności dokonania wyboru określonej strategii współzależności, takiej np., która umożliwiałaby z jednej strony wytworzenie konkretnych mechanizmów mających stanowić niejako automatyczne zabezpieczenia dla trzech „zagrożonych" dziedzin: gospodarki, sfery militarnej oraz środowiska; z drugiej zaś — pozwalałaby tak ukształtować wzajemne związki między Stanami Zjednoczonymi a krajami dysponującymi zasobami surowcowymi (szczególnie paliwowymi, energetycznymi), by zawsze istniały alternatywne źródła dostaw. Z kolei w dalszej perspektywie miałoby nastąpić ukształtowanie się specyficznego systemu zależności świata zewnętrznego od USA, tzn. systemu zależności transferu amerykańskiej techniki i technologii od stanowiska zajmowanego przez kraje do których jest on kierowany, w odniesieniu do polityki Stanów Zjednoczonych (ustępstwa, koncesje, itp.).

Konceptualne rozważania na temat roli techniki w polityce zagranicznej to tylko jeden z apektów problemu. Trzeba bowiem podkreślić, że w ostatnich kilku latach coraz więcej osobistości i agend rządowych USA zaczyna przywiązywać wagę do tworzenia instytucjonalnych form w zakresie wykorzystania czynnika naukowo-technicznego w kreowaniu amerykańskiej polityki zagranicznej. W tym celu powołano do życia konkretne instytucje, jak np. Biuro d/s Nauki i Techniki, Prezydencki Komitet Doradczy d/s Nauki (1973 r.), Biuro d/s Oceanów, Środowiska międzynarodowego Nauki (OES — 1974 r.). Niebagatelną rolę przy formułowaniu założeń polityki zagranicznej w dziedzinie naukowo-technicznej odgrywał i odgrywa Kongres Stanów Zjednoczonych (a zwłaszcza Komitet d/s Stosunków Międzynarodowych i Podkomitet d/s Bezpieczeństwa Międzynarodowego i Spraw Naukowych). W 1976 roku została m. in. uchwalona ustawa, w której wręcz stwierdza się, iż polityka naukowa winna służyć promocji celów polityki zagranicznej. Postulowano tam również dokonanie dość istotnych reform polityki Departamentu Stanu w zakresie wykorzystania współpracy naukowo-technicznej

— Pańscy rodzice nie urodzili się w Melilli?

— *Urodzili się dosłownie siedem kilometrów stąd, ale tu mieszkali, tu pracowali, tu ja przyszedłem na świat.*

Mówił to z wielką goryczą i dość gwałtownie. Kiedy mój przyjaciel zapytał, dlaczego nie jedzie osobiście do Madrytu, aby załatwić sprawę, człowiek rzucił się na krześle:

— *Mówiłem już panu, że nie mam paszportu. Nie wolno mi opuścić miasta!*

— No, dobrze — powiedziałem — a gdyby tak pan przeniósł się do Maroka?

— *Owszem. Wówczas dostałbym paszport, a może nawet pracę. Ale ja nie chcę opuszczać Melilli, którą kocham i która jest moją jedyną ojczyzną.*

Współczuliśmy temu człowiekowi. Z drugiej strony rozumieliśmy Hiszpanów — naród, który tak jak Polacy — rozsypany jest po całym świecie — do samej Francji wyemigrowało milion za chlebem. W Hiszpanii nie jest tak łatwo o pracę dla wszystkich i gdyby Marokańczycy zaczęli nagle ściągać na półwysep, byłoby jeszcze trudniej. Z trzeciej strony nasz gospodarz znalazł się w uliczce bez wyjścia. Ten hostal nie był przecież jego hostalem; kto inny jest właścicielem, on tu tylko pełni funkcję sprzątaczki i recepcjonisty, zarabiając w sumie 15 tysięcy peset. Za mało, aby wyżywić rodzinę; starał się o koncesję na sklepik tytoniowy, ale bez skutku. Czy (kiedy dorosną) jego dzieci, otrzymają hiszpańskie obywatelstwo? Nie wiadomo. Trzeba mieć bardzo dobrą opinię, aby osiągnąć ten przywilej.

Było to w czasie, kiedy wizytował Hiszpanię marokański minister spraw zagranicznych, w związku z czym mój przyjaciel zapytał gospodarza, jaki jest stosunek Maroka do hiszpańskich posiadłości w Afryce Północnej.

— *Taki sam, jak stosunek Hiszpanii do Gibraltaru.*

Mój przyjaciel bronił Hiszpanii twierdząc, że o ile Gibraltar jest regularną kolonią angielską, o tyle Melilla i Ceuta zostały zajęte przez Hiszpanów w czasie, kiedy nie były jeszcze niczyją własnością.

Gospodarz milczał, ale było to milczenie negujące. Był zapewne jednym z ludzi, którzy wierzą, że wcześniej czy później Gibraltar wróci do Hiszpanów, a Melilla i Ceuta stanie się własnością Maroka.

Podszedł do telewizora i wzmocnił fonię, dając delikatnie do zrozumienia, że temat został wyczerpany.

Nie wracaliśmy więc do niego w ciągu następnych dni. Zwiedziliśmy to, co zostało jeszcze do zwiedzenia — stary plac, na którym raz w roku odbywają się walki byków, łaźnię turecką, bożnicę żydowską i przejście graniczne do Maroka. Rano spędzaliśmy zwykle godzinę czy dwie na plaży, a potem szliśmy na skromny posiłek do zapomnianej przez Boga i ludzi restauracji, gdzie krzątali się od rana do wieczora owi dwaj mężczyźni — stary Hiszpan i młody Arab. Po zmroku siadaliśmy w marokańskiej kawiarni i piliśmy tanią, żółtą herbatę, w której pływiło się kwiecie mięty i właśnie tam obejrzeliśmy pewnego dnia (dokładnie w niedzielę) filmową, polską wersję „Krzyżaków".

I to już chyba wszystko. Tak daleko! I ten cholerny, wszechobecny przebój — *One way ticket*. Ten gość w czarnych okularach. Te koty. Czyjeś szepty po zaułkach, jakieś oko za woalem. No i jeszcze mój przyjaciel, iberysta z Warszawy, który przyjechał tu za moją namową i nie rozczarował się wcale, aczkolwiek tęsknie wyczekiwał powrotu.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

NOWE METODY INTERWENCJI USA

Niżej zamieszczony artykuł amerykańskiego uczonego, profesora prawa międzynarodowego w Princeton University (USA), Richarda Folka, który ukazał się w prasie amerykańskiej jeszcze przed noworocznym wystąpieniem J. Cartera przed Radą Przedsiębiorców, w którym zapowiedział on zwiększenie budżetu wojskowego USA do 157 miliardów dolarów, jak również przed wystąpieniem w telewizji w dniu 4 stycznia, w którym prezydent J. Carter złożył oświadczenie o ograniczeniu współpracy amerykańsko-radzieckiej.

Ze względu na ograniczoną ilość miejsca artykuł drukujemy z niewielkimi skrótami.

• • •

Rządząca dziś elita USA głosi zbrojną interwencję w tych wszystkich wypadkach, kiedy uważa, iż Stanom Zjednoczonym i ich sojusznikom z NATO zagrażają kraje „mające zamiar odciąć ich od źródeł paliwa i surowców". Teraz całą uwagę skoncentrowano na rejonie Zatoki Perskiej, gdzie coraz wyżej wznoszą się fale antyzachodniego nacjonalizmu. Kraje Zachodu pokładają nadzieję w Stanach Zjednoczonych, w amerykańskiej sile militarnej, zdolnej rzekomo do odrodzenia ich dawnego kolonializmu.

Po wojnie wietnamskiej rozgorzała w USA zacięta walka między zwolennikami a przeciwnikami otwartej interwencji. Wskazuje ona na niemożliwość powstrzymania malejącego ekonomicznego i politycznego znaczenia USA na arenie międzynarodowej. Liczne próby działaczy państwowych pozyskania opinii publicznej dla prób interwencji zakończyły się fiaskiem. Właśnie dlatego rządy: Nixona — Kissingera — Forda używały innych metod interwencji. Zgodnie z „doktryną Nixona", USA uzbrajały i szkoliły żołnierzy „zaprzyjaźnionych państw", przygotowując ich do „likwidowania wewnętrznego zagrożenia bez uciekania się do bezpośredniego udziału wojsk amerykańskich". W związku z tą „doktryną" Waszyngton nawiązywał „szczególne stosunki" z regionalnymi subimperialistycznymi państwami, żeby im poruczać interwencję zbrojną.

Zagraniczną politykę J. Cartera utrzymywano właśnie w tym duchu. Jednak przedwyborczych obietnic, a mianowicie nawiązania współpracy między trzema podstawowymi siłami Zachodu: USA, Zachodnią Europą i Japonią, nie udało się zrealizować. Ten sam los spotkał obietnicę zwiększenia popularności amerykańskiej polityki zagranicznej w moralnym planie przez położenie akcentu na „obronę praw człowieka". Przedwyborcze perory J. Cartera natrafiły na liczne przeszkody i z obiecanych posunięć w polityce trzeba się było bez hałasu wycofać. Pod sukno odłożono nawet tak symboliczny gest, jak wycofanie amerykańskich wojsk z Południowej Korei. Porozumienie SALT 2 jest także zawieszone w powietrzu. W swoich wysiłkach zmierzających do zapewnienia stabilizacji w zaprzyjaźnionych z Waszyngtonem reżimach represyjnych, przywódcy amerykańskiej polityki zagranicznej włączyli do akcji międzynarodowe organizacje finansowe, a przede wszystkim Międzynarodowy Fundusz Walutowy (MFW). Za pozwoleniem USA, MFW okazywał pomoc nawet takiemu skompromitowanemu reżimowi, jak dyktatura Somozy w Nikaragui, udzielając mu środków w wysokości 350 milionów dolarów na pokrycie zadłużeń w zagranicznych bankach i to w momencie najbardziej intensywnej walki politycznej w tym kraju. W Zairze MFW przejął w swoje ręce sterowanie ekonomiką w skali równej panowaniu kolonizatorów w przeszłości. Zachodni finansiści, którzy planują operacje MFW w tym kraju, byli nawet gotowi zmienić rząd, gdyby się tylko udało znaleźć jakiegoś lidera na wymianę Mobutu.

Drugą charakterystyczną tendencją obecnej imperialistycznej polityki Waszyngtonu jest podżeganie sojuszników — przemysłowo rozwiniętych krajów kapitalistycznych, do interwencji przeciwko innym krajom. Cele amerykańskiej polityki zagranicznej w krajach rozwijających się nie uległy zmianie od czasów II wojny światowej, chociaż zdarzały się i zygzaki. Porażka USA w Wietnamie zdyskredytowała politykę amerykańskiej interwencji militarnej. Poza tym oburzenie wywołane sprawą Watergate sprzyjało zdemaskowaniu tajnych operacji CIA w Chile, kiedy pozostawał tam u władzy Allende.

Zdyskredytowani w dwóch podstawowych metodach mieszania się w wewnętrzne sprawy innych państw, a z drugiej strony stale zapatrzeni w swoje cele imperialistyczne, amerykańscy politycy byli zmuszeni do gorączkowych poszukiwań innych efektywnych metod działania. Dlatego wszystkie zasadnicze zmiany zachodzące na świecie są sprzeczne z kontrrewolucyjnymi celami USA. Z początku w Mozambiku i Angoli, później w Etiopii i Afganistanie — wszędzie, polityka wielu krajów przybrała jaskrawe, doskonale widoczne antyzachodnie zabarwienie. Stąd kryzys amerykańskiej polityki interwencji w krajach Trzeciego Świata. Wyłonił się problem: albo zrewidować środki mieszania się w obce sprawy, albo wyrzec się celów. Rewizja metod interwencji przewiduje nawrót do charakterystycznej do momentu wojny w Wietnamie gotowości podejmowania interwencji wojskowej. Jednocześnie wyrzeczenie się celów imperialistycznej polityki jest dla Waszyngtonu nie do pomyślenia. Oznaczałoby to bowiem taką preorientację polityki amerykańskiej, przy której rewolucji w krajach Trzeciego Świata nie rozpatrywanoby jako zjawisk niepożądanych.

Tymczasem w rządzących kołach Waszyngtonu potęgują się nastroje na rzecz „rehabilitacji" czysto wojskowych środków i metod działalności CIA w celach interwencyjnych, w miarę słabnięcia wpływów USA w Trzecim Świecie. Te nastroje „podgrzewa się" rosnącymi niebezpieczeństwami: ruchy rewolucyjne zagrażają surowcowej bazie światowej ekonomiki kapitalistycznej, a przede wszystkim dotyczy to krajów Bliskiego Wschodu wydobywających ropę naftową. Pod tym względem wydarzenia w Iranie zadały dotkliwy cios planom liderów amerykańskiej polityki zagranicznej. Wydarzenia te ukazały w jaskrawym świetle fakt, że „powietnamskie przystosowanie się" do nowej sytuacji zakończyło się geopolitycznym krachem.

Irański szach M. Pahlavi, stanowił kwintesencję tego wszystkiego, co chcieliby posiadać amerykańscy przywódcy w Trzecim Świecie: rząd z silną orientacją zachodnią, zaopatrujący w naftę nawet Izrael i Republikę Południowej Afryki, gotów do zbrojnej interwencji w dławieniu radykalizmu w swoim rejonie jak to miało miejsce w 1975 roku, kiedy Iran pomógł stłumić rewolucję w Omanie. Poza tym Iran kupował nowoczesny sprzęt wojskowy za miliardy dolarów i wykorzystywał władzę państwową do likwidowania opozycji. Nawet wtedy gdy wymierzony przeciwko tronowi islamski ruch opozycyjny zaczął nabierać rozmachu, liderzy Stanów Zjednoczonych zachowali się nader niesmacznie. Pochwały, jakich nie szczędził szachowi J. Carter, brzmiały szczególnie skandalicznie, będąc zupełną kpiną z jego własnych twierdzeń, jakoby Stany Zjednoczone były zdolne do prowadzenia polityki do przyjęcia z „punktu widzenia moralności".

Koniec końców działania rządu Cartera w związku z kryzysem w Iranie wzbudziły oburzenie w całym świecie, w tym również w Stanach Zjednoczonych. Polityka J. Cartera była dyktowana względami imperialistycznymi i skończyła się krachem. Rząd USA rozważał możliwość wojskowej interwencji na szeroką skalę. Ale, prowadząc do przelewu krwi, nie dałaby ona wyników pożądanych przez USA. „Strata" Iranu jest oczywistym ciosem w interesy imperialistyczne, w hegemonistyczne dążenia USA w całej strefie Zatoki Perskiej.

„Pogrobowcowe" debaty w Stanach Zjednoczonych po upadku reżimu szacha w Iranie potwierdziły tylko cyniczny charakter amerykańskiej polityki imperialistycznej. Nie sposób poważnie twierdzić, że pomoc USA dla szacha była niezbędna w związku z „sowieckimi manewrami", lub przesłaniać ją standardowymi formułami stosowanymi wobec Wschodu w latach „zimnej wojny". Wrogość Stanów Zjednoczonych do rewolucji obnaża ich imperialistyczne dążenia, a wśród nich klasyczne dążenie do zachowania źródeł paliwa i surowców, jak również rynków dla zbytu amerykańskich wyrobów przemysłowych włącznie z bronią.

Zaraz po wybuchu wydarzeń w Iranie, w Stanach Zjednoczonych wzrosły nastroje wojowniczości, podobne do tych, jakie panowały przed rozpętaniem przez USA wietnamskiej awantury. Odpowiedzią J. Cartera na upadek szacha, były propozycje USA w sprawie natychmiastowych dostaw broni dla „przyjaciół w tym rejonie", pomoc w uzbrojeniu Północnego Jemenu podczas konfliktu z Południowym, kroki zmierzające do rozszerzenia amerykańskiej obecności wojskowej w Zatoce Perskiej, a przede wszystkim stworzenie „korpusu błyskawicznego działania w liczbie 100 tysięcy ludzi, przewidzianego do użycia w rejonie Zatoki Perskiej". W sytuacji pojawienia się „nowego Iranu" w Egipcie, Jordanii czy Arabii Saudyjskiej amerykańscy politycy skłaniają się coraz bardziej do poglądu o pożyteczności wojskowej interwencji USA w tym rejonie, w celu ustanowienia konfroli nad naftą z Zatoki Perskiej. Jednocześnie wyznacza się specjalną rolę tajnym operacjom CIA, tej aktywnej broni amerykańskiej polityki zagranicznej.

Wiązanie trudności polityki zagranicznej Ameryki ze stanem ekonomiki kraju jest w pełni zrozumiałe. Istotnie, spadek kursu dolara, chroniczny deficyt bilansu handlowego, bezrobocie i inflacja — to oznaki upadku i, co więcej, „szturmowe ostrzeżenie" przed jeszcze groźniejszymi burzami.

W konsekwencji rysuje się nader ponury obraz. W naszych wzajemnych stosunkach z Trzecim Światem tworzymy klimat interwencyjny, który jednak nie powstrzyma ruchów rewolucyjnych. Jednocześnie rząd USA będzie naciskać na prawa Amerykanów, żeby powstrzymać inflację i stymulować akumulację dla inwestycji. A co wzbudza największy niepokój: rozkręca się szeroką kampanię w celu wzbudzenia w amerykańskim narodzie strachu przed „sowiecką potęgą wojskową", wyraźnie z intencją przyspieszenia opracowań nowych systemów uzbrojenia, dysponującego potencjałem zadania pierwszego ciosu.

Innymi słowy, elita USA powraca do militarystycznej polityki zagranicznej, bardzo drogiej i niebezpiecznej. Miota się ona bezsensownie w dążeniu do prowadzenia takiego kursu geopolitycznego, który stanowi główne niebezpieczeństwo dla pokoju na całym świecie.

(Tłum. J.C.)

U PRZYJACIÓŁ

„Pociągi przyjaźni" do Związku Radzieckiego mają już długoletnią tradycję. Corocznie w ten sposób odwiedzają Kraj Rad tysiące Polaków. „Pociąg przyjaźni" jaki ostatnio przebywał w Mińsku, Moskwie, Leningradzie i Wilnie, różnił się od dotychczasowych.

Został on zorganizowany przez Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki jako ostatnia z cyklu imprez poświęconych obchodom 60-lecia tej organizacji. Wzięło w nim udział ponad 400 osób reprezentujących ok. 150 instytucji i placówek kultury z całego kraju. Znaleźli się wśród nich aktorzy, muzealnicy, konserwatorzy zabytków, bibliotekarze, nauczyciele szkół artystycznych, pracownicy wytwórni filmowych, instytucji rozpowszechniania filmów, muzycy, działacze domów kultury.

Celem pierwszego na tak dużą skalę wyjazdu ludzi kultury „pociągiem przyjaźni" było zaznajomienie się z dorobkiem kultury Związku Radzieckiego, z działalnością tamtejszych instytucji kulturalnych. Istotnym novum tego „pociągu przyjaźni" były, poza dwoma koncertami dla mieszkańców Moskwy i Leningradu w wykonaniu uczestniczących w nim artystów, spotkania środowiskowe. Rozpoczęto je w Moskwie, w Stowarzyszeniu Aktorów, gdzie polscy artyści teatru spotkali się z wybitnym dramaturgiem Aleksandrem Arbuzowem, autorem „Irkuckiej historii" oraz aktorami, a wśród nich znaną w naszym kraju z filmu „Zapamiętaj imię swoje" Ludmiłą Kasatkiną.

Leningrad był miejscem najdłuższego postoju pociągu. Tu właśnie najważniejszą część pobytu stanowiły spotkania. M. in. muzycy odwiedzili słynny Akademicki Teatr Opery i Baletu im. Kirowa oraz Filharmonię. Aktorzy obecni byli na spektaklach i spotkaniach teatrów dramatycznych: im. Gorkiego, który blisko 2 lata temu przywiózł do Warszawy znakomitą inscenizację „Historii konia" wg Tołstoja oraz zasłużonego Teatru im. Puszkina. Pracownicy wytwórni złożyli wizytę w „Lenfilmie", najstarszej w ZSRR, w której w ciągu 62 lat wyprodukowano ponad tysiąc filmów, a bibliotekarze zaznajomili się z funkcjonowaniem Państwowej Biblioteki im. Sałtykowa-Szczedrina, jednej z największych na świecie książnic, która posiada niezwykle cenną kolekcję inkunabułów.

Te spotkania, w których fachowcy rozmawiali z fachowcami, stanowiły chyba najcenniejszą część programu „pociągu przyjaźni" ludzi kultury. Wymiana doświadczeń, uzyskane spostrzeżenia, informacje, nawiązane znajomości z pewnością przydadzą się w codziennej pracy uczestnikom tej udanej podróży.

W SŁUŻBIE POLITYKI

jako narzędzia dyplomacji amerykańskiej.

Wszystko to świadczy dobitnie, że poprzez nadanie właściwej rangi międzynarodowej współpracy na polu nauki i techniki Stany Zjednoczone zamierzają w większym niż dotychczas stopniu wykorzystywać ją jako czynnik umożliwiający pełniejsze dostosowanie się do zmienionych warunków, które kształtują oblicze współczesnego świata. Oto bowiem wraz ze zmianą w układzie sił, wraz z nowym, zróżnicowanym rozkładem potencjału naukowo-technicznego na naszym globie oraz wskutek stopniowego osłabiania się pozycji USA w świecie, programy współpracy przestały mieć jedynie charakter pomocniczy, zaś w ośrodkach decyzyjnych administracji amerykańskiej coraz powszechniejszym zaczęło być przekonanie o potrzebie rozwijania zarówno dwustronnych, jak i wielostronnych form współpracy naukowo-technicznej.

Podobne motywy (zwłaszcza o charakterze polityczno-gospodarczym) przyświecały Stanom Zjednoczonym, gdy obligowane logiką i presją ewolucji w sytuacji światowej, jak również przeobrażeniami we własnej gospodarce i zasadniczymi zmianami w międzynarodowym podziale pracy, podjęły współpracę z krajami socjalistycznymi, a w szczególności ze Związkiem Radzieckim. Wiązało się to oczywiście z wytyczeniem określonej strategii politycznej.

Poprzez współpracę w dziedzinie nauki i techniki oraz w pokrewnych dziedzinach, Stany Zjednoczone mają nadzieję wciągnąć ZSRR w sieć powiązań ze światem zewnętrznym i wyciągnąć korzyści dzięki stabilizacji rozwoju stosunków w tym świecie, będącej rezultatem radzieckiego poparcia dla międzynarodowego systemu, w którym przeobrażenia dokonują się na drodze pokojowej.

USA spodziewają się wyciągnąć konkretne korzyści w sferze materialnej z polityki współpracy, przy czym korzyści te mają pochodzić np. z transferu niektórych technologi z ZSRR, oszczędności amerykańskich zasobów surowcowych poprzez kooperacyjne projekty w dziedzinie nauki i techniki lub importu materiałów surowcowych i źródeł energii w zamian za amerykańską technologię.

Wykorzystywanie niektórych aspektów współpracy, zwłaszcza w odniesieniu do radzieckiego importu technologii lub zboża ze Stanów Zjednoczonych, jest pomyślane jako instrumenty wywierania nacisku. USA nierzadko stosują praktyki restrykcyjne wobec ZSRR i innych krajów socjalistycznych. Restrykcyjny charakter nosi np. „ustawa o handlu" z 1974 roku z poprawkami Jacksona, Vanika i Byrda oraz ustawa o przyznawaniu kredytów przez Export-Import Bank z poprawką Stevensona (1975 r.), ograniczającą pułapy i cele udzielanych krajom socjalistycznym kredytów.

Tego rodzaju praktyki restrykcyjne, bądź protekcyjne (dla USA), wywierają negatywny wpływ na rozwój i perspektywy wzajemnych kontaktów, co dostrzegane jest także w Stanach Zjednoczonych, gdzie można spotkać głosy, iż konsekwencją takich ograniczeń może być sytuacja, w którj ZSRR znajdzie alternatywne źródła dla importu technologii w Zachodniej Europie i Japonii. A na taki luksus najpotężniejsze mocarstwo Zachodu nie może sobie pozwolić, jak bowiem zauważa William C. Norris, prezes firmy Control Data Inc.: „Gdyby Stany Zjednoczone posiadały wszystkie zasoby niezbędne dla zaspokojenia potrzeb ekonomicznych, rozwiązania problemów społecznych i kontrolowania swego losu w obecnym, chwiejącym się świecie, handel z krajami socjalistycznymi nie byłby konieczny. Jednakże tak nie jest. Po raz pierwszy od wielu pokoleń kraj nasz nie posiada zasobów niezbędnych dla zapewnienia stosownego rozwiązania jego głównych problemów. Dlatego też rozwiązanie ich może się okazać większym wyzwaniem niż powstrzymywanie agresji militarnej".

Świadomość tych faktów w łonie amerykańskiego establishmentu i ośrodkach decyzyjnych spowodowała konieczność dokonania przeobrażeń w stosunkach politycznych i handlowych i to zarówno pod względem ilościowym jak również jakościowym. Stało się jasne, że współpraca na polu nauki i techniki musi się opierać na zasadach wzajemności świadczeń oraz obopólnego, równoprawnego czerpania korzyści. Konsekwencją przyjęcia takiego stanowiska było zatem i jest nadal wypracowanie określonych mechanizmów instytucjonalnych, warunkujących pomyślny rozwój wzajemnej współpracy i przyczyniających się tym samym skutecznie do stabilizacji nie tylko politycznych ale i gospodarczych stosunków między USA a krajami socjalistycznymi. Nie zapominajmy jednak, że ta światopoglądowa metamorfoza jest właśnie najlepszym wyrazem uznania rangi i skali potencjału naukowego i technologicznego ZSRR oraz pozostałych krajów naszej wspólnoty.

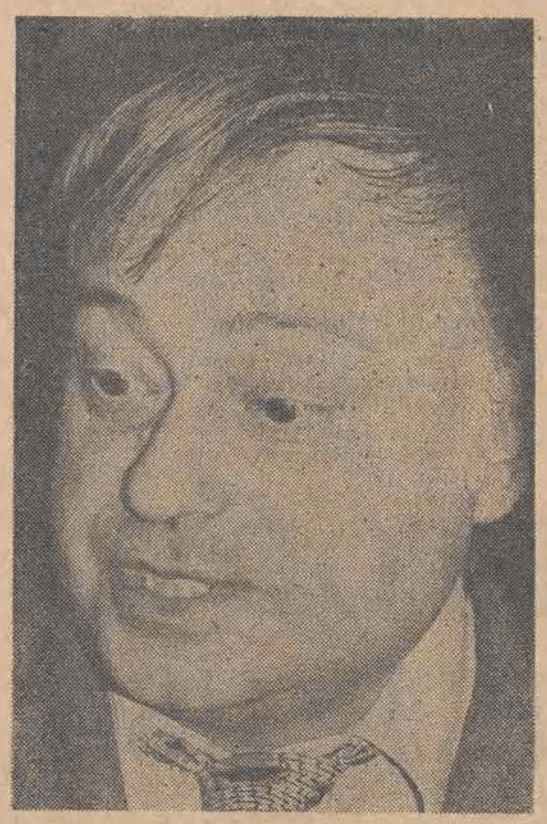

Foto: R. Łucyszyn

CZYTELNICY PRZYWRACALI MI WIARĘ

Rozmowa z BERNARDEM SZTAJNERTEM

— Jesteś jednym z nielicznych pisarzy łódzkich średniego pokolenia, którzy urodzili się i wyrośli w Łodzi. Myślę jednak, że z naszym miastem łączą cię związki nie tylko metrykalne i emocjonalne, że ważniejsza od nich jest właśnie twoja więź pisarska z Łodzią. Uczyniłeś Łódź nie tylko tłem, ale, w pewnym sensie, bohaterem swoich książek. Chyba więc oczywiste, że na początku naszej rozmowy chcę cię zapytać, jak ty sam oceniasz te związki.

Łódź była miastem osobliwym, miastem o nietypowych proporcjach grup wyznaniowych, nietypowym sposobie powstawania i oddziaływania twórczości kulturowej. Niewątpliwie istniały tu tradycje, ciekawe, ale niestety ubogie. Typy łodzian, te charakterystyczne, najdosadniej przedstawił wielki nie-łodzianin, Władysław Reymont. Pomimo tego poprzednictwa do zrobienia było właściwie wszystko. Łódź, jaką zapamiętałem z dzieciństwa, kojarzy mi się z atmosferą odrębnych, w żadnym innym polskim mieście, tak przecież wielkim, nie spotykanych konfliktów społeczno-kulturowych, a zarazem z atmosferą zupełnie specyficznych zbliżeń pomiędzy różnymi formacjami klasowymi, religijnymi, nawet narodowościowymi. Droga do patriotyzmu, droga do kultury polskiej, była w tym mieście szczególnie trudna, a zarazem sprzyjała kształtowaniu postaw trwałych, przez te trudności wypróbowanych. Jako człowiek pióra przyznaję, że z Łodzi pochodzi to, co w moim pisaniu jest postępowe, a nawet to, co w moim pisarstwie jest atawistyczne. Mam tu na myśli przewrotny kult „piękna szpetoty", sentymentalny żal ruder i brudnych „napsychologizowanych" podwórek, które muszą zginąć ustępując miejsca budowlom współczesności.

— Zdaje mi się, że w swojej odpowiedzi mimo woli odsłoniłeś genezę wieloksięgu powieściowego o Brunonie Bunderze. A to przecież niewątpliwie najbardziej łódzka z twoich książek, bo bezpośrednio łódzka. Wiem, że taka praktyka jest właściwie niedopuszczalna, że całą wiedzę o Bunderze powinniśmy odczytywać z twojej trylogii, a jednak chcę ci zadać pytanie przekorne: kim właściwie jest Brunon Bunder?

— Bunder jest jednostką, w której osobowości wszystkie te łódzkie problemy, przedstawione przeze mnie na początku naszej rozmowy, przełamują się w sposób dosadny, a nawet dramatyczny. Jednak nie należy sądzić, że jest to postać tylko modelowa czy nawet „zimna konstrukcja". Chciałem pokazać człowieka, który z wszystkimi tymi cechami, choć niekoniecznie żył w Łodzi, to żyć w niej mógł. Życiem o obszarach zarówno osobniczo-intymnych jak i życiem reprezentatywnym.

— Mówiąc o Bunderze, powiedziałeś jednocześnie bardzo wiele o Łodzi. Przyznam się zresztą, że w wielu innych twoich książkach uderzają mnie łódzkie motywy choćby nawet nie nazwane. Ja czuję w nich ciążenie przeszłości, presję historii.

— Oczywiście w wielu innych moich książkach występują motywy i problemy łódzkie. To kompleks, to obsesja, ale przecież bez nich nie ma twórczości artystycznej. Dlatego też z tych kompleksów, z tych obsesji wcale wyzwolić się nie chcę. Nie należy przy tym sądzić, że jestem autorem, który kształtuje swoje pisanie do końca świadomie, w przejrzystym świetle intelektu. Istnieją u mnie rzeczy nie zaprogramowane, które stają się w procesie pisania i trwają w książkach, ponieważ nie chcę czy nie potrafię ich wytrzebić. Bunder jest człowiekiem, który rodzi się i żyje wyłącznie w Łodzi. I aż w Łodzi. Wiemy, że w literaturze walor uogólniający ma tylko to, co niezwykle związane z motywacją, ze specyficznym środowiskiem. Piszemy przecież o ludziach przyporządkowanych politycznie, społecznie, geograficznie, a nie o platońskiej idei człowieka. W literaturze ogólne jest to, co karańcowo specyficzne. Można na to przytoczyć nieskończoną wprost ilość wielkich wzorów. Przecież prawo to zachodzi we wszystkich dziełach Gogola, że wskażę pierwszy z brzegu przykład. A poza tym nie zapominam, że urodziłem się w Łodzi. W Łodzi spędziłem większość mego życia. Tkanka wyobrażeniowa, elementy treści większości moich postrzeżeń oglądowych (mylnie nazywanych wyobrażeniami) i postrzeżeń oglądowych (mylnie nazywanych pojęciami) — wszystko to, co jest budulcem wizji artystycznych, wywodzi się u mnie z postrzegania i przeżywania Łodzi. Nie myślę się tego wypierać.

— Choć zgadzam się, że pisarstwo wkracza często na obszary nierozjaśnione, trzymając się twego określenia „przejrzystym światłem intelektu" odnoszę wrażenie, jesteś twórcą wyposażonym w dużą świadomość własnej drogi. Ciekawi mnie więc, jak odczytujesz towarzyszącą twoim dokonaniom krytykę? Czy jej sądy często rozmijały się z twoimi odczuciami?

— Wydaje mi się, że krytyka nie tylko odczytała wszystkie moje zamysły literackie, ale dostrzegła dużo więcej, niż sobie założyłem. Bowiem zamiar jest sprawą intelektu, a tworzenie jest sprawą wszystkich warstw psychicznych. Tworzenie bowiem jest raczej procesem biologicznym niż intelektualnym.

— A jaki wpływ miała krytyka na recepcję społeczną twoich książek? Przecież pewien odłam recenzentów „zarzuca" ci, że jesteś pisarzem trudnym w odbiorze, a więc mimo woli wznoszą oni tamę między tobą, a czytelnikiem.

Jest rzeczą zastanawiającą, że moje książki, przedstawiane przez niektórych jako „trudne", doczekały się zainteresowania szerokich kręgów czytelniczych. Trudno w to może uwierzyć, ale często odwiedzają mnie w domu robotnicy, przychodzą z książkami w ręku, aby przedyskutować pewne sprawy. „Prosty człowiek", jaki istniał jeszcze w czasach Brunona Bundera, już nie istnieje. Łódzki robotnik, listonosz, kierowca — lubią dyskutować i czynią to niekiedy sprawniej niż niektórzy absolwenci wyższych uczelni, którym wpojono przestarzałe kryteria naiwnego, formalnego realizmu.

Wydaje mi się, że krytyka w wypadku moich książek niewątpliwie spełniła swoje zadanie. Sam nauczyłem się wiele od krytyków. Krytycy to nie tylko ludzie precyzujący sprawy normatywne. Krytycy to przede wszystkim twórcy, których tworzywem jest twórczość innych. I dzięki temu krytyk jest jedynym czynnym współpracownikiem pisarza. Współpracownikiem, który niejednokrotnie pisarza pod pewnymi względami przerasta, a na pewno zapładnia. Nawet wtedy, kiedy się myli, bo błąd jest atrybutem pracy komentatora. Ale błędy komentatorów są pożyteczne. Prawda realizuje się przecież między autorem, a czytelnikiem. Komentatorzy są po to, aby wmawiać czytelnikom, że autor jest za łatwy, albo za trudny. Przyznaję komentatorom żywość wyobraźni. Niekiedy przecież wymyślają autorów i czytelników, którzy nie istnieją ani na Ziemi, ani na Księżycu, ani nawet w pojazdach kosmicznych. Nie jest przecież sprawą literatury poszukiwanie tożsamości współczesnego człowieka, choć wielu chciałoby sprowadzić ją do tej roli. Tożsamość, czy się to komuś podoba czy nie, można o wiele łatwiej sprawdzić oglądając na przykład dowód osobisty.

— Padło tu słowo „tożsamość" i chciałbym, żebyśmy o niej mimo wszystko pomówili. Nie w tym oczywiście znaczeniu, z jakim przed chwilą się rozprawiłeś. Myślę o tożsamości bohatera twoich książek. Często odnosiłem wrażenie, że mam do czynienia z tą samą postacią. Nie w sensie fizycznym, ale ontologicznym na pewno. Czy uważasz się za pisarza jednego tematu?

— W pewnym sensie tak. Właściwie zawsze piszemy to samo, bowiem pisanie jest biologicznym sposobem życia pisarza. Pamiętajmy, że filologiczne tradycyjne podziały twórczości na powieści, opowiadania czy wiersze, są sprawą umowną. W istocie wszystko to są rzuty, fale tego samego strumienia. Oczywiście krytyka i nauka o literaturze musi swoje kategorie wprowadzić, nawet jeśli sobie zdaje sprawę z ich relatywnej wartości ontologicznej. Ponieważ pragnąc dokonać analizy, trzeba mieć lepsze czy gorsze narzędzia do analizowania obiektu. Nawet jeśli te narzędzia są nie najbardziej adekwatne. Sensowne, ostające się w twórczości żywego autora prawdy, można mówić tylko do pewnego stopnia. Gdyby możliwa była wypowiedź całościowa, całkowita, zastąpiłaby ona właściwie twórczość autora.

— A tego nikt chyba nie chce. Uprzytomniłem sobie wszakże, że pominęliśmy w naszej rozmowie pewien szczególnie ważny problem. Jesteś autorem króciutkiego opowiadania „Wojna", które alegorycznie ukazuje zło, jakie wyrządza wszelka przemoc. A wydaje mi się, że choć nie mówisz o tym wprost, problem wojny odegrał wielką rolę w twojej twórczości. To chyba coś dla ciebie więcej niż tylko protest humanisty przeciw przemocy?

— Zgadzam się z tym sformułowaniem. Wojna, chociaż jej sprawcami są ludzie, jest rzeczą krańcowo nieludzką. Przesłanki do powstawania wojen należy jednocześnie poznać i likwidować nawet wtedy, gdy proces ich poznania nie jest jeszcze całkowicie zakończony. To rozrachunek pomiędzy dziejącą się rzeczywistością, a historią. Prawo do poznawania kompletnego jest przywilejem wyłącznie historyka, a nie człowieka czynu, jakim jest każdy twórca działający w dziedzinie sztuki.

— W tej odpowiedzi zawarta już jest cząstka problemu, jaki zamierzam ci teraz postawić. Chodzi o związek literatury z życiem społecznym. W jaki sposób pojmujesz swoje pisarskie obowiązki?

— Literatura jest dziedziną czynu i mówienia. Pisarzowi nie wolno być niemową, a jego książki są realizacjami spraw społecznych. Pisarz poddany jest społeczeństwu, a zarazem jest kreatorem społeczności, w której żyje. W literaturze realizm i kreacjonizm są tym samym.

— Spróbujmy wszakże myśl tę rozwinąć. Literatura, a raczej proces jej powstawania, jest przecież samotnością nad białą kartką papieru. Czy sądzisz, że można tę samotność przełamać przez bezpośrednie kontakty z czytelnikami?

— Literatura przywraca ludzi społeczeństwu. Przywraca paradoksalnie, poprzez chwilowe oderwanie. To jest przejściowe oderwanie od tkanki społecznej dokonane w tym celu, by mocniej się w nią wczepić. Literatura jest także pracą, która całkowicie przekształca życie piszącego. A co do samotności... Byli czytelnicy, którzy dostrzegali w moich książkach istotnie obecne w nich sprawy, których ja nie ogarniałem. Mówiłem już przecież, że literatura nie jest wyłącznie produktem intelektu. Czytelnicy nieraz mi to udowodnili. Wydobywali z moich książek układy kompozycyjne, często bardzo spoiste, precyzyjne układy, których często sobie nie uprzytamniałem. To właśnie czytelnicy przywracali mi wiarę w godność mego zawodu, ich wzruszające zaufanie było niezwykle zobowiązujące. Umacniali moją słabą indywidualność. Pewnego dnia odwiedził mnie czytelnik i pokazał niedużą drewnianą rzeźbę. Powiedział, że w tej rzeźbie wyraził to samo, co ja w powieści „Księga ojca". Podarował mi zresztą tę rzeźbę i patrząc na nią po dziś dzień zastanawiam się, czy miał rację. A może w tej rzeźbie wyraził więcej niż ja w „Księdze ojca"?

— Jeśli sam masz wątpliwości, wątpię, abym mógł ci pomóc je rozstrzygnąć, choć zazdroszczę ci nieco tych kontaktów z czytelnikami. A swoją drogą w twojej wypowiedzi na łamach „Kultury" odczułem pewne akcenty jakby żalu, które sprawiają, że wydaje mi się przejaskrawiona. Czy dziś powtórzyłbyś to samo?

— Moim pragnieniem było odważne ocenienie tego, co w naszym mieście złe, przynajmniej w moim odczuciu. Przecież o tym, co jest dobre, nie ma powodu zbyt wiele pisać, to każdy wie, to każdy czuje. Pisarz ma chyba prawo do przejaskrawień, do niepokoju. Istnieją poglądy, że tam, gdzie nie ma przejaskrawień, gdzie nie ma niepokoju, tam nie ma twórczości artystycznej. Nie sądzę, żeby w Łodzi sytuacja była gorsza niż w innych wielkich miastach Polski, rzecz w tym, żeby była lepsza. Takie były moje intencje. Wcale nie uważam, że moja wypowiedź w ankiecie „Kultury" była całkowicie trafna. Podobnie jak nie uważam, że moje książki są całkowicie udane. Gdybym napisał książkę, z której byłbym zadowolony w sposób absolutny, wypadłoby nią zakończyć sprawę pisarską.

Literatura to rodzaj „umowy społecznej". Społeczeństwo ma wobec mnie niebagatelne, egzekwowane zresztą obowiązki, moim obowiązkiem wobec społeczeństwa jest literatura. Ale nie tylko ona. Świadomi nie mówią o tym, co jest, lecz o tym, co być powinno. Należałoby w pierwszym rzędzie wzmocnić pomosty pomiędzy pisarzami, a czytelnikami ich książek. Myślę, że pożyteczne byłoby reaktywowanie grup artystycznych. Istniała w Łodzi w roku 1957 i następnym grupa „Piąte koło" skupiająca malarzy, poetów, architektów, historyków. Istniała niezmiernie krótko, a jednak jej wpływ jest dla mnie po dziś dzień wyczuwalny. Historycy Łodzi kiedyś do tej grupy powrócą. Dlaczego więc dzisiaj nie powracają do niej artyści? Grupa artystyczna łączy różne dyscypliny sztuki. Jest formacją społeczną niezastąpioną. Historia naszej kultury dostarcza tu obfitych argumentów całkowicie uzasadniających tę tezę. I takich przejawów życia artystycznego jakby brak mi dzisiaj w Łodzi.

Przez pewien czas uczestniczyłem w pracach Zarządu Łódzkiego Oddziału ZLP. Trudno mi powiedzieć, czy byłem pożyteczny, bo poważną przeszkodą był zły stan mego zdrowia. Na pewno było to pożyteczne dla mnie, starałem się wdrażać do obiektywnego widzenia wielu trudnych spraw. Nawet na tym niewysokim szczeblu występują niedobre euforie, narkotyki niewielkiej władzy, z której może wyniknąć znaczne zło. Podobna praca posiada swoje tajniki etyczne — trzeba wiedzieć, co kategorycznie zapomnieć i co kategorycznie pamiętać. Jeżeli nawet nie potrafiłem tak postępować, to dowiedziałem się na resztę życia, że tak postępować należy.

— Wypadałoby zakończyć naszą rozmowę tradycyjnym pytaniem o tzw. planach twórczych, o tym, nad czym aktualnie pracujesz. Odpowiesz na nie, jeśli zechcesz. Przede wszystkim jednak chciałbym, abyś przyjął najserdeczniejsze gratulacje z okazji przyznania ci Nagrody Miasta Łodzi. Do gratulacji tych przyłącza się zespół redakcyjny „Odgłosów", a także jak sądzę, czytelnicy naszego tygodnika, którzy znają cię także z naszych łamów.

— Nagroda ta sprawiła mi ogromną satysfakcję, bo jestem łodzianinem z wyboru i z urodzenia, a to rzadkie połączenie. A moje aktualne zamierzenia twórcze dotyczą wyłącznie rzeczy już napisanych. Ustawicznie poprawiam powieść „Księga matki" i tę drugą, „Księga śmierci". To nie powinno dziwić. Przecież tworzenie nowej powieści to także swoiste poprawianie: rozwijanie i urabianie pierwszego kształtu wyobrażeniowo-intelektualno-emocjonalnego. Pisząc „nową" powieść ustawicznie czuwam nad jej należytym rozkwitem. Walczę, często daremnie, z powołanymi postaciami o zaprogramowaną propozycję ich losu.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

HENRYK HARTENBERG

W POSZUKIWANIU SŁOWA

Wierzyłem
W czerń ziemi z której wyrasta drzewo oliwne
W krople nieba w sól gorzkiego oceanu
W lot ptaka
W miłość świadczoną dotykiem

Wierzyłem
Dzieciom które nie wiedzą że wiatr w oczy wieje
Kobietom brzemiennym rodnością białego ciała
Wędrowcom którzy zapomnieli o liściu wyrosłym u ramion

Wierzyłem
W spokój poranka po nocy wydartej pociskom
W południe dojrzałe trudem
W zadumę wieczorów w godziny tłumionego głodu
W nadzieję która przetrwa czas

I zostałem ukarany
Odebrano mi mowę słuch i wzrok
Odebrano mi życie

Ludzie
Jestem tak blisko prawdy

Tylko jak sięgnąć po nią

NIE WIDZIAŁEM CIĘ JUŻ CAŁY DZIEŃ

Nie widziałem cię już cały dzień

Tyle czasu aby sto pokoleń
Opanowało ziemię krwią
I gwiazdy zastygły w martwej aureoli

Nie widziałem cię już cały dzień

Fala nie wystąpiła z brzegów
Ryby nie oślepły od światła
Krzyk nie obudził dziecka w nocy

Nie widziałem cię już cały dzień

W czerwonych ulach nie wyschły plastry
Krzak nie zapłonął
Gałązka oliwna nie wypadła z rąk
Człowieka osłoniętego
Tarczą pokory

Nie widziałem cię już cały dzień

Jak żyć

CZŁOWIEK NAD CIEMNĄ RZEKĄ

Wszystko, na co spojrzę, jest pieśnią.
Wszystko, czego dotknę, jest bólem.
Ivo Andrić

Tak bardzo boję się ziemi

Ziemi bez gorącej trawy w którą wszeptują sen
Jeszcze nie urodzeni i ci co odeszli i ci
Którzy oczekują w mrokach antycznych ruin

Tak bardzo boję się nocy
W której zabrakło gwiazdy błądzącej
Wśród niemej przestrzeni

Tak bardzo boję się dnia
W którym zabrakło człowieka wsłuchanego
W oddech własnego gniewu rozpaczy
I miłości

Najbardziej jednak boję się czasu
Gdy braknie niepokoju
Dającego życie

Bo wtedy
Nic nie będzie już ani początkiem ani końcem
Nie pojawią się sny o dobrym
Człowieku z sercem przestrzelonym
Każdy dzień będzie podobny
Do szarej kamiennej płyty
A pamięć wciśnięta w głąb czasu
Znieruchomieje z przerażenia
Wtedy obrazy szczęśliwości odejdą
W gorycz i martwość
Nie zaowocuje ziarno wyobraźni
Legendy nasze legną wśród gruzów
Wszystkich ziem wszystkich niebios
Mrok nastanie w nas i wokół nas
Bunt przeciw pustce
Wybuchnie pogardą

Kto odsunie ode mnie
Ten czas

Wiersze z tomu „Wyjście z ciemności".

WYJŚCIE Z CIEMNOŚCI

Większość postaw poetyckich polaryzuje się biegunowo między — jak je tu metaforycznie określamy — postawą demiurga oraz postawą sprawozdawcy. Dla demiurga świat jest zadaniem, z amorficznej magmy zjawisk kreuje on niepowtarzalny, własny, autokratyczny twór. Jest to poezja monologowa, poezja niepodważalnych konstancji. „Sprawozdawca" jest pokorniejszy. Świat dla niego jest już zapisaną księgą, zadaniem poety jest zaś rozszyfrować tajemnicze znaki. Prowadzi on dialog zarówno ze światem jak i z innymi ludźmi przybliżając im ujawnioną tajemnicę. Jest to również poezja pytań o podstawowym znaczeniu, a wśród tych pytań ukryte są też domniemania na temat sensu poetyckiej artykulacji. Te dwie rozbieżne postawy zyskiwały dla siebie różną motywację kulturową, w różnych też okresach literackich można było zauważyć przewagę pierwszej lub drugiej. Przeświadczenie o nieuchronnym dynamizmie cywilizacji dwudziestowiecznej, anektującej wszelkie obszary ludzkiego doświadczenia jest genezą „demiurgicznych" wystąpień futurystów i awangardy. Wojenne doświadczenia zachwiały wiarę w twórczą moc poetyckiego słowa, bardziej ono po Norwidowsku osądza, mniej zaś wyraża. Odnosząc poetykę Henryka Hartenberga do tego drugiego nurtu (a najwybitniejszym chyba jego przedstawicielem jest w powojennej poezji polskiej Tadeusz Różewicz) nie pragniemy bynajmniej łódzkiego poety gdzieś tam „zaszufladkować", dokleić mu etykietkę moralisty, wskazujemy jedynie najwłaściwszą — naszym zdaniem — drogę krytycznych eksploracji zmierzających do dalszego dookreślenia cech i wartości poezji autora „Wyjścia z ciemności".

Nie bez racji zresztą sytuujemy poetykę Hartenberga w tej antydemiurgicznej tendencji, bowiem potwierdzenie naszej krytycznej intuicji znajdujemy w takiej choćby frazie:

Uczę się słuchać
Szumu białych gołębi które kołują
Nad wzniesionymi dłońmi
Pełna zwątpień i zawikłana
Jest księga poznania

Cały wiersz „W poszukiwaniu słowa" mówi o tymże. Konsekwencje takiej postawy są wielorakie. Warunkuje ona zarówno preferencję pewnych tematów poetyckich, określa system wartości aprobowanych przez poetę, w końcu — generuje w specyficzny sposób samo obrazowanie poetyckie. Skoro świat nie jest do stwarzania, zostaje możliwość jego kulturowego przetworzenia. Skoro poezja nie jest autokratycznym nazywaniem świata, może być domeną wpólnych — dla wszystkich ludzi — jego rozpoznań. Jeśli w końcu księga poznania została już zapisana, należy przyjąć postawę egzegety, tłumacza jej znaczeń „pełnych wątpliwości". Hartenberg zatem odwołuje się do jakiegoś najszerszego, najbardziej charakterystycznego dla wspólnoty ludzkiej obszaru doświadczenia.

Obok „tematu" granic władności poetyckiego słowa drugim leitmotiwem wierszy Hartenberga jest „miłość" i „umieranie". Poetyckie przeżycie owego „tematu" pozbawione zostało akcentów patetycznych, świadczy o gorzkiej dojrzałości, o nieuchronnym, acz nie prowadzącym do nihilistycznego zwątpienia, stanie samotności:

Kto o tym wie
Że jestem błędnym rycerzem złaknionym miłości
Że wyzwanie świata jest przekleństwem własnego losu
Krążeniem po ruchliwych ulicach i ślepych zaułkach
Gorącym szukaniem Nieskończoności złudzeń
Nikt o tym nie wie

Gdyby nam w końcu przyszło określić typ wyobraźni poetyckiej Hartenberga, opisać sposób obrazowania charakterystyczny dla poety — można by tę wyobraźnię nazwać „archeologiczną". Jest to konsekwencją owej egzegetycznej postawy, o której pisaliśmy wcześniej. „Bohaterem" wielu wierszy Hartenberga jest czas: jego mały czas „prywatny" i wielki czas ludzkości. Miary czasu rozciągają się między chwilą, impresyjnym momentem prywatnego przeżycia („Chwila"), a zstępującym w otchłań nieskończoności czasem ludzkich doświadczeń („Miary czasu"). Poeta pisze: „Niebo ukryte w Oceanie cieni / Dźwiga mozół dziejów / Odciśniętych na zmurszałych fregatach / zatopionej flotylli pierwszych łuków i toporów / Niewidzialnych rzek i kości dinozaurów / Kamienie obrosłych kredą żużlem gliną /.../ Pochylony nad łukiem dopalającej się ziemi / Odczytuję pamiętnik człowieka / W poszukiwaniu rozsypanego czasu / Pamiętnik człowieka / Powracającego w zawiłość trwania".

Nie przysądzając poecie władności demiurgicznej czyni go Hartenberg strażnikiem wartości najcenniejszych. „Poeta nie umiera, nie odchodzi, nie pozostaje, on jest". Akt poetycki nie jest ekstatycznym wyrazem prywatnych ambicji, ale mądrym przybliżeniem kulturowych pokładów. Słowo poetyckie zaś w swej etycznej ważkości winno być zoponowane wobec wszystkich „łgarzy rzucających słowa w wyblakłą pustkę". I to jest chyba najbardziej charakterystyczne przesłanie tej mądrej poetyckiej książki.

HENRYK PUSTKOWSKI

Henryk Hartenberg: Wyjście z ciemności. Łódź 1979, Wydawnictwo Łódzkie, „Biblioteka Poetycka".

POLAKÓW PORTRET WŁASNY

Dalszy ciąg ze str. 1

Kluczem wiodącym przez dzieje polskiego portretu jest historia Polski. Otwiera ją ukształtowanie się polityczne państwa. Z tego okresu pozostało nam niewiele zabytków, które pokazują ówczesnego Polaka. Toteż w krakowską wystawę wprowadzają widzów wizerunki średniowieczne tworzone w różnorodnym materiale, najczęściej w kamieniu, w postaci rzeźby lub płyty nagrobnej, oraz ikonografie zawarte w najwcześniejszych zabytkach polskiego rękopiśmiennictwa — inkunabułach ozdabianych miniaturami, wspaniałymi iluminacjami, w których znalazły się również przedstawienia postaci ludzkich. Właściwa dla sztuki tego okresu była idealizacja, podporządkowanie rzeczywistych wyglądów pewnemu obligatoryjnemu typowi, jaki dla średniowiecza stwarzały wzory religijne i estetyczne kultury bizantyjskiej, romańskiej i gotyckiej. Temat świecki jeszcze się w sztuce nie pojawia, portret jako odrębny gatunkowo rodzaj sztuki w zasadzie nie istnieje. Jedynie król ukazywany jest poza orszakiem świętych, ale tylko na pieczęciach i nagrobkach. Postaci ludzkie w malarstwie średniowiecznym, te autentyczne, które przedstawiają naszych przodków, to fundatorzy kościołów lub obrazów. Malowani oni byli na samym dole obrazu w pozycji klęczącej wyrażającej uległość i poddanie się potędze sił boskich. Średniowieczny portret Polaków to portret o pewnych walorach realistycznych. Czytelne są one w realiach strojów i insygniów pozycji społecznej. Bardziej to jednak portret intencjonalny, widać w nim potrzebę sprostania ideałom życia religijnego.

Jacek Malczewski, Autoportret z Wisłą, olej, r. 1901

Zwiastunem przemian wskazujących na postępujący proces zeświecczania sztuki jest Kodeks Baltazara Behema, pochodzący z 1502—1505 roku. Jego miniatury zawierają obrazowe informacje o życiu i pracy członków cechów rzemieślniczych końca XV i początków XVI stulecia. Wspaniałe to przejście do idealizacji, tworzenia wzoru, typu kulturowego do indywidualizacji społecznej człowieka. Coraz więcej powstaje dzieł ukazujących realistyczne oblicze Polaków, choć są one ubrane w koturn obowiązującej w danej epoce konwencji artystycznej.

„Portret własny Polaków" gromadzi dzieła, których autorami byli nie tylko Polacy. Wiemy, że na terenie ówczesnej Rzeczpospolitej działali artyści obcego pochodzenia, stworzyli wiele obiektów sztuki o niepodważalnej dla polskiej kultury wartości. Na wystawie zwraca uwagę zestaw małych portretów królewskiej rodziny Zygmunta Starego pędzla Łukaca Cranacha. W renesansowym portrecie Polaków znać wpływy obce, malarstwa włoskiego i niderlandzkiego. Wizerunek postaci zawiera w sobie charakterystyczną cechę wszystkich portretowanych. Jest nią poczucie godności własnej. Trudno zresztą odmawiać jej rodom, których członkowie zostali „uwieczeni" w dziele. Były to jednostki spełniające poważne funkcje w rzeczywistości państwowej, lub przedstawiciele wielkich rodów magnackich.

Czymś zupełnie odrębnym od europejskiej kultury malarskiej XVII wieku był w sztuce polskiej sarmatyzm. Przekonanie o niezmienności charakteru narodowego, niepowtarzalności doświadczeń „złotej wolności", wartości społecznych wyższych warstw feudalnych, to zespół cech znaczących dla portretu sarmackiego. Jest on specyficzną, jedynie polską odmianą portretu reprezentacyjnego, dla którego wzorem stały się włoskie normatywne założenia estetyki „decoro", według której portret musiał być podobny do modela, a strój i realia mu towarzyszące oddane wiernie. Krakowska wystawa gromadzi wiele portretów sarmatów nierzadko anonimowego autorstwa, niezwykle interesujących, bo niekiedy aż drastycznie charakteryzują one postać. Są one również pełne niepowtarzalnego uroku, nastroju. Nie pozbawione pewnego prymitywizmu malarskiego mają duże wartości kolorystyczne i dekoracyjne, które wynikają ze skrzyżowania się w portrecie sarmackim tradycji barokowej z dalekimi, ale wyraźnymi reminescencjami formy średniowiecznej i kanonu portretu szesnastowiecznego. Prezentują one typ szlachcica jakby rodem z „Pamiętników" Paska, „Pamiątek Soplicy" Rzewuskiego, zacofanego hreczkosieja, sejmikowego rębajłę lub prawdziwego magnata zazwyczaj w postawie stojącej, ale również w ujęciu tylko popiersia. Portret sarmacki cechuje płytka przestrzenność, frontalna pierwszoplanowość, ekspresja w uwydatnieniu rysów twarzy, osobliwy, wręcz biologiczny realizm, dla nas o groteskowym efekcie, bo potęguje najłatwiej dostrzegalne rysy fizjonomiczne modela.

Osobliwością polskiego portretu są również pokazane na wystawie wykonane na błyszczących blachach popiersia epitafijne i portrety trumienne.

Malarstwo oświeceniowe reprezentowane jest portretem, w którym już nie kontusz i karabela narzucają ton, a kostium dworaka szyty na cudzoziemską modłę. Oświecone warstwy były tak zeuropeizowane, że choć tworzyli w Polsce Antoni Misiowski i Łukasz Orłowski, największym powodzeniem cieszyły się portrety malowane przez sprowadzonych do kraju Włochów Marcelego Baciarellego, Jana Lampiego, Józefa Grassi. Portret nasz zyskał na tym, zatracił cechy sarmackie i barokowe, skalsycyzował się i nie pokazywał już typu szlachciury i feudała, zbliżał się do ideału realistycznego widzenia człowieka. Wyznaczył dalszą drogę polskiemu portretowi, który najwyrazistszy kształt i najwartościowsze cechy osiągnął w wieku XIX.

Bardziej interesujące od osiemnastowiecznego portretu jest malarstwo dziewiętnastowieczne, którego tematem najciekawszym stały się sceny historyczne z powstań narodowych, zaś spośród portretów te, zgromadzone obok siebie, poświęcone wielkim romantykom, twórcom polskiej literatury romantycznej. Z XIX-wiecznego portretu fascynujące są portrety stworzone przez Piotra Michałowskiego. Oddają one prawdę o życiu i osobowości portretowanego człowieka, są pełne niepokoju romantycznego, w swojej formie bliższe portretowi psychologicznemu i oddalające się od konwencji portretu reprezentacyjnego. Szkoda, że na wystawie pokazano tylko dwa z licznej spuścizny portretowej Michałowskiego i dobrze, że z tych dwu jeden to „Głowa chłopa" pochodzący z lat 1845—48.

Polska sztuka romantyczna rozszerzyła malarskie pole widzenia społeczeństwa, dotarła do najniższej warstwy — chłopstwa. Tej warstwie nie stworzono portretu reprezentacyjnego, ale pozostała ona w sztuce już na stałe.

Malarstwo XIX wieku nosi w sobie piętno rozdarcia wewnętrznego, politycznego i społecznego narodu, który nie jednoczył się nawet podczas walk powstańczych. Na wystawie polskiego portretu znalazły się autentyczne fotografie powstańców 1863 roku. Widać w nich, jak fotografia portretowa wzorowana była na kanonie portretu malarskiego reprezentacyjnego, wykorzystywała nawet stworzone przez ten kanon pozy statyczne i dostojne. Z fotografiami tymi doskonale korespondują obrazy Artura Grottgera, Maksymiliana Gierymskiego, Juliusza Kossaka, zapełnione tragedią niewoli. Głęboką prawdę o osamotnieniu chłopstwa przekazuje obraz Aleksandra Gierymskiego „Trumna chłopska" z 1894 roku, nie fałszujący rzeczywistości chłopskiej, przejmujący swoim realizmem.

Sztuka ta stworzyła obraz społeczeństwa walczącego, którego niedościgniony wzór powróci jeszcze w symbolicznym malarstwie i portrecie Jacka Malczewskiego, a odbiciem próby scalenia społeczeństwa poprzez kulturę będzie sztuka młodopolska ze swoim odkryciem piękna, niepowtarzalności folkloru wsi polskiej. Towarzyszy tym zjawiskom dalszy rozwój portretu prowadząc go aż do psychologicznego, silnie zindywiualizowanego portretu Stanisława Ignacego Witkiewicza.

Brak w polskim portrecie wizerunku robotnika, który w malarstwie XX-lecia międzywojennego pojawia się zaledwie marginalnie. Wyjątkiem jest „Strajk" Stanisława Lentza z 1910 roku.

Usiłował nadrobić to socrealizm, lecz przy zestawieniu jego wytworów z dziedzictwem historycznym sztuki polskiej, jawią się one jako tandeta uproszczonego realizmu formy i ujednoliconej, zbyt dalece uproszczonej treści. Jedynie sztuka Andrzeja Wróblewskiego daje nam możliwość silnego przeżycia emocjonalnego, estetycznego i intelektualnego tamtej rzeczywistości, dla której wojna i okupacja była jeszcze dotkliwą, nie zabliźnioną raną. Silne ręce dziewcząt i chłopców z brygad ZMP, ich jasne, twarde, nieugięte twarze, to może ostatnia próba tworzenia portretu zbiorowego, nieudana. Tak jak i nieudana jest próba pokazani portretu nas, współczesnych. To ostatnia część krakowskiej ekspozycji. Po niej można by sądzić, że współczesności portret przestał być potrzebny i jako gatunek malarstwa zanika. Nie ratuje tego ostatniego fragmentu wystawy ani Brzozowski, ani Nowosielski ani Świtka, ani Sobocki. Zabrakło tu właściwego doboru prac i właściwej prezentacji. Zachwiały się tak jasne i czytelne kryteria tworzenia ekspozycji, zniknęło już kryterium realizmu jako kategorii historycznej, ale pozostało kryterium realizmu jako kategorii artystycznej, a że nie daje się ono łatwo określić, ponieważ ma płynne granice, to jako graniczne znalazły się przy sobie: replika Matejki Kantora i karykaturalnie zdeformowane twarze z portretów Dudy Gracza. Jest prawdą, że rozkwit sztuki abstrakcyjnej końca lat pięćdziesiątych i początków sześćdziesiątych zepchnął portret na rubieże malarstwa, ale on powrócił w nowej figuracji i nowym realizmie. Zabrakło na wystawie portretów malowanych przez Lecha Ratajczaka, Antoniego Fałata, Andrzeja Sadowskiego, Zbysława Maciejewskiego, Łukasza Korolkiewicza, autoportretów Benona Liberskiego, Macieja Łubowskiego.

I choćbyśmy nie wiem jak znaczące treści interpretacyjne dopisywali do umieszczenia na końcu wystawy lustra, będzie ono tylko zewnętrznym zabiegiem, unikiem od podjęcia przez organizatorów wystawy wysiłku szukania odpowiedzi na pytanie, jak sztuka współczesna odzwierciedla problemy indywidualnych i społecznych przemian naszego narodu i naszej, współczesnej rzeczywistości. To ostatnie lustro ma, niestety, zmąconą powierzchnię.

MARIA KĘPIŃSKA

JEDNO Z NIEBA DRUGIE Z WODY

Pisze Piotr Hertel w programie do tego wieczoru, że w piosence najbardziej interesuje go tekst, choć stara się, aby muzyka była na równych z nim prawach. Nie wydaje mi się, aby to była kokieteria kompozytora. Zaczynał Hertel swą karierę, a przynajmniej karierę dostrzeżoną publicznie, od STS „Pstrąg". Pamiętają to dobrze 40- i 50-latkowie, ale młodszym trzeba to już przypominać. Czas leci. Był to teatr opierający się mocno o słowo, i przede wszystkim przez słowo przenoszący znaczenia. Czasem w skeczu, czasem w wierszu satyrycznym, black-oucie, nierzadko w piosence. Piosenki, pozostańmy przy nich, bywały w „Pstrągu" cięte, urokliwe, refleksyjne. I choć jest to gatunek twórczości jak mało który bardzo szybko wietrzejący, piosenki pstrągowe, jak je sobie przypominam, wytrzymują próbę tych kilkunastu lat z okładem. Przede wszystkim chyba dlatego, że teksty do nich nie powstawały w oparciu o zamówienie, lecz o przeżycie, bunt, o jakąś wreszcie sprawę do załatwienia, ogólnej z reguły natury, a muzyka podporządkowana była nie aktualnie panującej, szybko przemijającej modzie, lecz tekstom właśnie.

W takiej szkole uczył się, zarazem współtworząc ją, Piotr Hertel. I takim w gruncie rzeczy, o czym przypomniał nam swoim wieczorem, pozostał w piosence do dziś. Wszystko co dobre w jego kompozycjach, wynika z tekstu i uważnego jego odczytania; nie tylko rymu, rytmu, do czego przywykliśmy, słuchając codziennie radia, lecz również, co jest wyższym piętrem wtajemniczenia — sensu, nastroju, intencji wyrażanych między wierszami.

Im lepszy tekst, tym lepsza piosenka, bo lepsza mogła powstać muzyka. To sprzężenie jest w twórczości Hertla bardzo wyraźne. Wystarczy bowiem, aby w tekście ujawnił się cień fałszu, minoderii, czy też pogoni za łatwym efektem, zaraz się to odbija na muzyce. Tak jest z niektórymi („Wrzesień", „Deszcz", „Rozstanie") piosenkami opartymi o wiersze Belli Achmaduliny. Tak jest rzadko, bowiem Hertel i w wyborze tekstów ma świetne wyczucie.

Pora wyjaśnić, że piszę to z okazji wieczoru „Piotr Hertel zaprasza", na który składają się jego piosenki pisane do słów różnych autorów, pisane dla potrzeb teatru, do różnych przedstawień. Szczególny to rodzaj komponowania, wymagający dużej elastyczności, umiejętności dostosowania się nie tylko do tekstu, lecz i do przedstawienia jako całości, wejścia w jego klimat, sens.

Kompozycji Hertla słuchamy w wykonaniu Małgorzaty Rogackiej-Wiśniewskiej i Stanisława Kwaśniaka, aktorów Teatru im. Jaracza. Kto ich słuchał w przedstawieniach teatralnych, czy w piosenkowych programach telewizyjnych, wie że śpiewają dobrze. Dopiero jednak bezpośredni kontakt z nimi, reflektor oświetlający wyłącznie ich, przekonują nas, że śpiewają świetnie, że należą do najlepszych w kraju wykonawców piosenek aktorskich. Przede wszystkim umieją ś p i e w a ć, a nie odśpiewywać, umieją koncentrować uwagę widzów, słuchaczy, na tym, co robią. Oboje bardzo skupieni, oszczędni w środkach wyrazu, mający także subtelne poczucie humoru, nie uciekają się do żadnych chwycików inscenizacyjnych, grają samym tylko głosem, wyrazem twarzy, oczu. Tak jest w przypadku bardzo stylowych retro-utworów do słów Jacka Ronna („Afery pani Hanki"), pełnych dramatyzmu, to znów refleksyjnych piosenek Janusza Słowikowskiego, w przypadku dowcipnego „006" Ryszarda Marka Grońskiego, czy wreszcie uroczych erotyków Piotra Słowikowskiego, z bisowaną na premierze „Rozmową" włącznie.

Bardzo udany to wieczór. I to nie tylko dlatego, że mamy okazję posłuchać świetnych piosenek w świetnym wykonaniu. Także dlatego, że może się on stać szansą dla tego nurtu kultury, który w naszym mieście jest dziwnie pomijany, mało eksponowany, a właściwie nie zauważany. Tymczasem, jak nas przekonują Hertel, Małgorzata Rogacka-Wiśniewska i Stanisław Kwaśniak, moglibyśmy go i eksportować w kraj. To cieszy.

Tytuł recenzji pochodzi z piosenki Janusza Słowikowskiego. Ale prawdę mówiąc, poza tym, że jest ładny, nie ma on nic do rzeczy — piosenki tego wieczoru są co się zowie — z ogniem.

JERZY KATARASIŃSKI

Teatr im. Jaracza w Łodzi, Mała Scena. „Piotr Hertel zaprasza na piosenki z teatru", muzyka i reżyseria Piotr Hertel, aranżacja Marek Czeszek i Piotr Hertel, gra kwartet muzyczny z udziałem M. Czeszka. Akustyka Zbigniew Szatkowski. Premiera 5 stycznia 1980 r.

REQUIEM DLA STAREJ PRAGI

Krzysztof Wojciechowski zrealizował w Zespole „Profil" swój kolejny, niezwykle oryginalny film. „Róg Brzeskiej i Capri" jest rozwinięciem i najdoskonalszą wersją metody przyjętej w jego wcześniejszych filmach, a więc w: „Kochajmy się", „Rodzinie" i „Antykach". Pierwszym wspólnym mianownikiem filmów Wojciechowskiego jest temat współczesny, w dwu pierwszych odkrywający oblicze wsi polskiej, w „Antykach" obejmujący refleksję o funkcji narodowej tradycji i dobrach kultury. Najnowszy film lokować można w kręgu zainteresowań ujawnionych w „Antykach", choć prezentowane w nim przez reżysera środowisko każe mówić o specyficznej subkulturze. Ona to, mimo że stanowi margines społecznego życia, jest jednak znaczącym elementem tradycji miejskiej kultury. Kamera Krzysztofa Wojciechowskiego zapisała jej autentycznie ostatnie dni trwania w stanie naturalnym. Jeszcze lat kilka czy kilkanaście, może kilkadziesiąt, a zniknie bezpowrotnie, gdyż nie będzie ludzi, w których środowisku zrodziła się, nie będzie miejsc, w których mogłaby przetrwać poprzez wszystkie lata przemian zachodzących w kraju naszym.

Wszystkie racje społeczne i cywilizacyjne nakazują tempo owych procesów przeobrażeniowych witać z ogromną radością. Towarzyszy jej jednak świadomość, że istnieje jakiś procent strat, z którymi trzeba się liczyć i których prawdziwy wymiar oceni dopiero przyszłość. Dziś już wiemy na pewno, że cywilizacja XX wieku zachwiała równowagę przyrody, a dokonane w jej środowisku spustoszenia mogą, jeśli nie oprzytomniejemy, być nieodwracalne. Wiemy jednak i coś więcej — człowiek pozbawiony kontaktu z naturalną przyrodą jest człowiekiem innej kultury i innej psychologii. Cieszą przeobrażenia wsi, w niej to jednak najszybciej dostrzeżono kulturowe konsekwencje tych procesów i najwcześniej uświadomiono sobie sumę owych strat, o których mowa wyżej.

Świat ukazany w najnowszym filmie Krzysztofa Wojciechowskiego stanowi w szerokim odczuciu margines społecznego życia. Dlatego też racje tzw. wyższego rzędu każą obserwować jego rozproszenie i zmiany stylu egzystencji z niejaką ulgą. Reżyser świat ten i zachodzące w nim zmiany rozumie jednak inaczej: „Bohaterowie (filmu) nazywani są w społeczeństwie „marginesem społecznym". Są to jednak pozory. Ludzie ci, to po prostu inny świat, mało znany. Wykonywane przez nich zawody są profesjami ginącymi. Tak jak ich dzielnica, w której żyją. Ten film to film o rozstaniu z dzieciństwem, o pożegnaniu z życiem, które odchodzi bezpowrotnie".

Tak widząc mieszkańców ruder na Pradze, odkrywa Krzysztof Wojciechowski przed nami dziwną urodę obyczajów i stylu tamtego ginącego świata. Znaliśmy go z Wiecha, opowiadań Marka Nowakowskiego i z kilku dokumentalnych filmów. „Róg Brzeskiej i Capri" jest jego requiem. Film kręcono zimą ubiegłego roku, tam, gdzie wieżowce sąsiadowały z kilkoma jeszcze tylko ruderami dawnej Pragi. Dziś zapewne ruder tych jest jeszcze mniej, a ich mieszkańcy przenieśli się do domów, które sprawią, że stawać się będą powoli innymi ludźmi.

Najbardziej przejmujące sceny filmu Krzysztofa Wojciechowskiego, to te, które ukazują jednego z członków rozproszonej już enklawy, bezskutecznie poszukującego w wielkich wieżowcach swych dawnych przyjaciół. To także sceny, w których ci „szczęśliwcy" siedząc przed telewizorami, nie wpuszczają go do swych mieszkań. Uświadamiają one to, co było największą wartością tamtego „na marginesie" toczącego się życia — siłę międzyludzkich związków: przyjaźni i solidarności. Prawda, że ujawniały się one często w działalności przestępczej czy tylko cwaniackiej. Prawda jednak, że giną w domach, w których żyją ludzie w warunkach, stwarzanych im przez cywilizację. Obserwując ludzi z innego środowiska, Krzysztof Zanussi zrobił kiedyś wstrząsający film na ten sam temat. A więc, jesteśmy znów w kręgu strat, które są ceną, jaką płacimy za to, co przynosi nam nowe, lepsze życie.

Wróćmy jednak do wspomnianej na początku tych rozważań oryginalności filmów Krzysztofa Wojciechowskiego. Jest on w naszym kinie jedynym reżyserem, który konsekwentnie kreuje świat filmowej fabuły metodami kina dokumentalnego. W trzech pierwszych filmach łączył, w większości przypadków niezwykle czysto, zapis stricte dokumentalny z formami inscenizacji. W filmie „Róg Brzeskiej i Capri" mamy już do czynienia z pełną inscenizacją. Płynąca z ekranu wiara w autentyzm zdarzeń i postaci jest wynikiem stosowania metody, którą najlepiej charakteryzuje sam reżyser: „Inscenizacja polegała na umieszczeniu bohaterów w sytuacjach, które im się naprawdę zdarzyły, lub mogłyby się zdarzyć. Każdy z bohaterów mojego filmu otrzymywał zadania w ramach swojego emploi. Aby uprawdopodobnić sytuacje i zachowania postaci, starałem się moich aktorów „otwierać", tzn. wyzwolić z nich maksymalną swobodę, naturalność, szczerość, pozbawić ich zahamowań, które stwarza kamera i obecność obcych osób. Z niektórych zrealizowanych scen zrezygnowałem, ponieważ nie zgadzały się z mentalnością bohaterów, czuło się w nich fałsz — najlepszym sprawdzianem w tym przypadku jest sposób gry aktorów-amatorów. Nie potrafią być nieprawdziwi. Dlatego też staram się stwarzać sytuacje, jakie im tylko mogą się zdarzyć".

Tę swoją metodę nazwał Krzysztof Wojciechowski „kinem organicznym". Jego ostatni film jest metody tej najszlachetniejszym, jak dotąd, przykładem. Potrafili podobne kino uprawiać kiedyś jego koledzy z czechosłowackiej kinematografii, a zwłaszcza Milosz Forman. Kinu polskiemu życzyłabym, by nasz reżyser pozostał jej wierny, by jego niezwykły talent i umiejętności znalazły swe dalsze ujawnienia.

EWA NURCZYŃSKA

W POSZUKIWANIU SWINARSKIEGO

„Wyzwolenie" Wyspiańskiego w sławnej inscenizacji Konrada Swinarskiego oglądałem w Teatrze Starym w Krakowie wiosną 1975 roku, mniej więcej w pół roku po premierze. Wrażeniami swoimi z tego wybitnego przedstawienia dzieliłem się wówczas z czytelnikami na łamach „Odgłosów".

W niewiele miesięcy później dowiedziałem się o śmierci Swinarskiego w katastrofie lotniczej gdzieś w okolicy Bagdadu. Postać reżysera nabrała tragicznego wymiaru, obrosła legendą. Proponowano mu rejs innym samolotem, wygodniejszy, o dwa dni później., Swinarski, który udawał się na festiwal do Teheranu, upierał się jednak przy wcześniejszym samolocie. Chciał prędzej wrócić do Warszawy, gdzie wchodził w końcową fazę prób „Pluskwy" Majakowskiego w Teatrze Narodowym. Sam jakby wybrał swój los...

Te wspomnienia odżyły we mnie, gdy w poniedziałkowym programie teatru telewizji oglądałem to samo „Wyzwolenie" w realizacji TV Laco Adamika i Agnieszki Holland. Autorstwo Swinarskiego tej inscenizacji nie ulega wątpliwości. Do wizji zakodowanej w tekście Wyspiańskiego dodał własną, w równym stopniu pełną pasji, pozornie zwichrzoną, ale poddaną precyzyjnej dyscyplinie intelektualnej i plastycznej.

Realizatorzy widowiska telewizyjnego nie przenieśli go do studia, zarejestrowali „Wyzwolenie" wprost w murach Teatru Starego przy Placu Szczepańskim, przedkładając genius loci, atmosferę miejsca, w którym przedstawienie się zrodziło, nad wygodę. Tak, wygodniej jest bowiem realizować spektakl w studiu, w którym oświetlenie, emisję głosu, wreszcie ruch sceniczny dopracować można w każdym szczególe.

Zaczyna się więc realizacja Adamika i Holland od ukazania budynku teatru od strony ulicy. Towarzyszymy potem publiczności wchodzącej do westybulu i wspinającej się schodami do sąsiadującego z salą teatralną foyer na pierwszym piętrze. Wtajemniczeni wiedzą, że właśnie Swinarski w inscenizacji „Dziadów" Mickiewicza uczynił cały gmach Teatru Starego rozczłonkowaną, ale i zintegrowaną sceną. Do tego właśnie nawiązali realizatorzy w ramie inscenizacyjnej spektaklu telewizyjnego „Wyzwolenia".

Dalszy ciąg rozgrywa się już wyłącznie na scenie. Rzadko jednak ukazywano nam większe jej fragmenty. Widowisko rozgrywane było na ogół na zbliżeniach i półzbliżeniach, na skutek czego docierały do nas tylko ułamki dekoracji Kazimierza Wiśniaka. Nawet umieszczona centralnie w tle bogata replika sarkofagu św. Stanisława, w telewizji ledwie była dostrzegalna.

Oglądałem tę telewizyjną próbę zapisu spektaklu Swinarskiego z niejednoznacznymi odczuciami. Wspaniałe kreacje Jerzego Treli, Anny Polony, Wiktora Sadeckiego, Izabeli Olszewskiej, spotęgowane jeszcze telewizyjną ekspresją, nawiązywały wprost do wrażeń teatralnych sprzed pięciu lat. Zwłaszcza nad Trelą — Konradem chciałoby się dłużej zatrzymać.

Czytałem ostatnio w artykule Miklaszewskiego w „Teatrze", że bez Swinarskiego nie ukształtowałaby się tak wspaniale osobowość aktorska Treli. W „Wyzwoleniu" teza ta znajduje pełne uzasadnienie. Reżyser stworzył aktorowi pole do rozegrania osobistego dramatu, przepisania narodowych i społecznych dylematów Konrada na instrument intymnych, kameralnych odczuć indywidualnych bohatera. Tragizm niezrozumienia intencji Konrada przez współczesnych podkreślił Swinarski, czyniąc go w oczach otoczenia obłąkanym. Dlatego najmocniej brzmią tyrady Konradowe, gdy umieszcza się go na łóżku szpitalnym i usiłuje wciągnąć nań kaftan bezpieczeństwa.

Dramat wynikający z głuchoty współczesnych na głos Konrada pochłania tyle energii aktora, że chłodniej, niemal ascetycznie brzmią wypowiadane potem słowa Improwizacji: „Boże, pokutę przebyłem i długie lata tułacze..." Jednak to pozorne uspokojenie Konrada pogłębia jeszcze osobisty charakter jego tragedii. Aż po końcowe wymierzenie sobie przez Konrada kary — wydarcie sobie, wzorem króla Edypa, oczu — utrzymuje Trela najwyższe napięcie, któremu podporządkowuje swój świetny warsztat aktorski.

Wiwisekcja dokonana na żywej tkance spektaklu przez Adamika i Holland, przykrawanie do pojemności małego ekranu, nie w pełni jednak zadowala. Struktura całości, będąca dziełem Swinarskiego, ulega okaleczeniu, straty są ewidentne. Gdzieś zagubiła się czytelność wspaniale rozegranej przez reżysera wielkiej dysputy Konrada z Maskami. Swinarski podłożył pod anonimowe Maski konkretne postaci polityków, artystów i myślicieli współczesnych Wyspiańskiemu. Wprawdzie i na ekranach telewizorów oglądaliśmy charakterystyczną sylwetkę starego cesarza Franciszka Józefa i rektorską togę hr. Tarnowskiego, ale zamierzenia reżyserskiego nie przekazano nam klarownie.

Pękła misterna budowla Swinarskiego, posypały się na nas z ekranu jej pokawałkowane cząsteczki, sugestywne w swych mikrostrukturach, lecz nie ekwiwalentne, nie dorównujące scenicznemu pierwowzorowi. Ale może zbyt wiele wymagam od telewizji?

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

MAGAZYN FIRMOWY

Audycja pod takim tytułem to oczywiście specjalność „Studia-8". W ostatnim jej wydaniu obejrzeliśmy felieton o psychologii gęsi, o hodowcach gołębi, wywiad z arcytenisistą Stanem Smithem oraz migawki z wystawy sztuki erotycznej. W muzycznym tle nieco Toma Jonesa, Elvisa Presleya i kogoś tam jeszcze. Wyliczenie to wystarczy na definicję pojęcia „magazyn firmowy".

Tego rodzaju magazyny uatrakcyjniają większość naszych tygodników, które potocznie nazywane bywają delikatesowymi („Czy ma pani jakieś delikatesowe gazety?"). Relaksowy charakter owych magazynów zasadza się na prostej formule: barwny akt, byle niezbyt wyzywający, „humor i satyra", parę ciekawostek z życia wyższych sfer, zarówno tych herbowych, jak i tych spod znaku lekkiej muzy i ciężkich pugilaresów, niekiedy test „jak zakładasz nogę na nogę", oraz praktyczne rady: jakie paski do zegarków nosi się w Paryżu, jak podawać homary itp.

Przed napisaniem kolejnego akapitu postanowiłem zaglądnąć do horoskopu. Oto jaką mam perspektywę: zaplątany w trudną sytuację znajdziesz właściwe rozwiązanie, ale nie uda się, niestety, załatwić wszystkiego w rękawiczkach". Zdeterminowany tą przepowiednią, nie będę poszukiwał żadnych eufemizmów.

W przeważającej części jest nasza telewizja wielkim magazynem firmowym nastawionym na przekaz lekki, relaksowy, bezrefleksyjny. Homogenizujące ten przekaz tak zwane „bloki programowe" (Studio-Bis, Spotkajmy się jeszcze raz, Zawsze w niedzielę, Studio-8 nawet Studio-2) ową firmowość TVP uwydatniają i intensyfikują. Intencja jest nieskomplikowana i dlatego, jak się zdaje, nie do końca słuszna: telewidz zgoniony tygodniem pracy i życia, w sobotnie popołudnia i niedziele myśli niewiele albo wcale. Niechaj zatem obejrzy rzecz o tym jak palą się kaskaderzy, jak pan Nowak imituje szarżującą konnicę, kilka par nagich piersi, „kawałek" o sylwetkach pawików, strasserów i srebrniaków, animowany komiks „Wspaniała czwórka". No i clou sobotniego programu (19. I.), cesarsko-królewski long play o dramacie arcyksięcia Rudolfa „Mayerling". Nie pomogły wnętrza Schönbrunnu, ani strausowskie wariacje Francisa Lai. Nawet najbardziej zagorzali miłośnicy tego rodzaju fabuł ze wzruszeniem ramion musieli przyjąć tę odgrzewaną w operetkowym sosie tragedię. Omar Shariff uwikłany w narodowościowe poczynania Węgrów, w dynastyczne powinności oraz w toalety Catherine Deneuve mógł co najwyżej pobudzić wspomnienia tych, którzy w pożółkłych albumach przechowują zdjęcia cesarskiej rodziny. Czy dla tych niewielu (jest rok 1980) trzeba było nudzić aż tak wielu?

Azylem dla nich mógłby być program drugi. Tu zadziałał prosty mechanizm programowy. Mamy rocznicę i kilka godzin emisji. Dajemy zatem dziesięć programów o Warszawie. Jeden nazywał się impresją, drugi filmem dokumentalnym, trzeci gawędą etc. etc. No i „Maleńki znak" — piosenka w wykonaniu Ireny Santor. Czy szuka się azylu w miejscu, z którego się ucieka? Wszystko bowiem co sobotni program drugi przedstawił było powtórzeniem. Aby nas całkowicie utwierdzić w tym, iż nie warto manipulować przełącznikiem kanałów, w niedzielę programiści w dwójce proponowali „blok filmowy" (jakżeż by inaczej) „Warszawa wczoraj i dziś" i znów „impresja filmowa", „film dokumentalny" oraz „szkic do portretu". Ze większość z tych propozycji to powtórki (poszóstki raczej) nie muszę dodawać.

Wieczorny film w jedynce nazywa się „Dziesięciu małych Hindusów". Dopiero go obejrzę i przyznam się nie bez zaciekawienia: dlaczego Hindusów? Agatha Christie pisała bodaj o Murzynkach, kina dawały obraz o dziesięciu Indianach, a tu Hindusi?! Na zakończenie niedzieli śpiewać będzie Raffaella Carra. I tak dobiegnie końca kolejny magazyn firmowy.

Gorzej, że jego, jak się rzekło, relaksowo-bezproblemowa formuła monopolizuje i inne programy, te spoza bloków. Ma ona za zadanie tworzyć kontekst bardziej atrakcyjny, bardziej „telewizyjny". Jeśli np. warto przypomnieć historię polskiego lotnictwa podczas II wojny światowej, to organizuje się teleturniej „Kto z nim wygra" z pułkownikiem Wacławem Królem, w której to grze zatraca się sens takiego przypomnienia. Ponieważ sprawy rodziny znajdują się w centrum zainteresowania społecznego w naszym kraju, telewizja czuje się w obowiązku podjąć ten temat. I tak, dzień w dzień, od przeszło pół roku możemy oglądać magazyn „Dzień dobry w kręgu rodziny", który znów w lekkiej formie z towarzyszeniem piosenki, proponuje tematy trzeciorzędne w całokształcie ważkich i niełatwych zagadnień współczesnej rodziny w Polsce.

Nie postuluję wcale, aby zaniechać np. emisji programu Naczelnej Redakcji Publicystyki Kulturalnej pt. „Jak", kolejnego przykładu publicystycznej pozoracji, w której uczestnicy zdeterminowani serwowanymi przez Macieja Wierzyńskiego wyimkami z filmów (najczęściej przypadkowymi i nie na temat) usiłują powiedzieć coś do rzeczy na zadany problem. Postuluję, aby o godności, odpowiedzialności, bohaterstwie mówić w sposób, w jaki o tym mówić trzeba. A nie zbywać wszystkiego „telewizyjnym" pomysłem. Dziennik TVP, którego twórcy co wieczór udowadniają, iż nie przestali myśleć, nie jest w stanie zastąpić wszystkich innych audycji. Do czego to mogłoby doprowadzić ilustruje przypadek Marcina Willmana. Gdyby nie szklanka wody nie doczytałby wieczornych wiadomości „Studia-8".

GRZEGORZ GAZDA

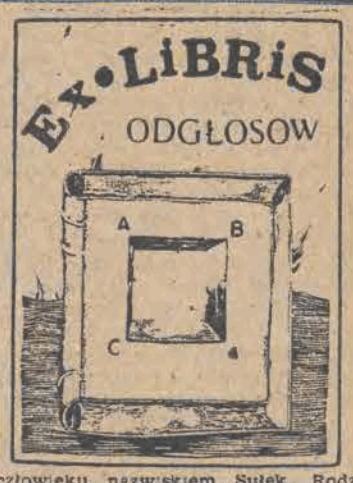

KOCHAM PANA, PANIE SUŁKU

Postacie pani Elizy i pana Sułka doskonale są znane słuchaczom radia. W każdy piątek wieczorem, lub jak ktoś wolał — w niedzielę rano, można ich było usłyszeć w III programie w ilustrowanym Magazynie Autorów. Niniejsza książka jest literacką wersją tych minisłuchowisk. A oto, jak sam autor tłumaczy pojawienie się na radiowej antenie tej sympatycznej pary. Otóż — pani Eliza Wymęga Zarawiejska, niemłoda już kobieta, zakochała się pierwszą niewinną miłością w młodym człowieku nazwiskiem Sułek. Rodzina Wymęgów nie ukrywała niezadowolenia z tego, jej zdaniem niefortunnego, wyboru pani Elizy. Z tego też powodu robiono jej wiele nieprzyjemności, szykanowano ją i dokuczano na każdym kroku. Miłość jednak była silniejsza i pani Eliza postanowiła opuścić dom rodzinny, żeby zamieszkać z panem Sułkiem. Na szczęście, w tym samym czasie gajowy Marucha zdecydował się sprzedać swój walący się chlew. Para zakochanych uznała to za wspaniałe zrządzenie losu i z wielką ochotą zamieszkała w nim. I tak się to wszystko zaczęło..

Odtąd każdy dzień był dla pani Elizy jednym pasmem szczęśliwych wydarzeń, pana Sułka trochę to chwilami męczyło, ale w sumie wiodło im się niezgorzej. Pani Eliza pełna miłości, z ogromną cierpliwością znosiła wszelkie zachcianki swego ukochanego.

Wszystkie miniaturki zawarte w książce są urocze. Pełne subtelnej ironii, odrobiny filozofii, zadumy nad życiem, humoru dowcipu, lekkości.

Jacek Janczarski, „Kocham pana, panie Sułku", Wyd. Radia i Telewizji, W-wa 1979, str 192, cena 35 zł.

NOCNY PTAK GUACHARO

Zdzisław Umiński w swojej najnowszej książce przenosi nas w świat nieco dla czytelników polskich egzotyczny, do Gwatemali. Opowiada o wydarzeniach związanych z toczącymi się w tym kraju walkami partyzanckimi. Dowódca jednego z oddziałów ucieka z rządowego więzienia w San Pedro i próbuje dostać się do swojej narzeczonej, która mieszka w odległym miasteczku. Na kanwie tych wydarzeń Umiński rysuje nam niezwykle bogatą galerię typów ludzkich. Zastanawia się nad wartością bohaterstwa przyjaźni, miłości.

Żadna z postaci występujących w powieści nie jest bez zarzutu. Wszyscy mają na sumieniu jakieś drobne przestępstwa nie zawsze przeciwko kodeksowi karnemu, ale częściej przeciwko nie pisanemu — moralnemu. Nie zawsze są lojalni wobec siebie (Maria zdradziła Juana, żeby ratować siebie; Miguel wydał policjantom dowódcę, żeby łatwiej mógł zdobyć Marię), ale w momencie najważniejszym, w obliczu śmierci towarzysza, stać ich na heroizm i poświęcenie.

„Nocny ptak Guacharo" to powieść napisana w konwencji balladowej, stąd pewne uproszczenia w fabule, schematyzm, ale nie ma tu, co jest zaletą książki, jednoznacznego podziału na bohaterów dobrych i złych, sprawiedliwych i niesprawiedliwych. W sumie całość niezbyt skomplikowana, ale dobrze się czytająca i nie pozbawiona pewnej zadumy nad ludzkim życiem i jego wartością.

Zdzisław Umiński, „Nocny ptak Guacharo", KAW, W-wa 1979, str 106, cena zł 16.—

OCALONA

Wydawnictwo Poznańskie, które ostatnio zaczyna być coraz bardziej widoczne na rynku księgarskim, podjęło się niezwykle trudnego zadania; ma ambicje przybliżenia polskiemu czytelnikowi najnowszej literatury Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Kolekcja Literatury Niemieckiej Republiki Demokratycznej — bo tak nazywa się seria — wydawana jest niezwykle starannie. Do tej pory pojawiło się już kilka tomów tej niewątpliwie interesującej serii. Zainteresowanie Wydawnictwa Poznańskiego literaturą niemiecką datuje się już od dosyć dawna. Kilka lat temu, na przykład, wydało Antologię Współczesnych Opowiadań i Nowel Niemieckich. Obecna seria będzie jak się wydaje z pobieżnego przeglądu tytułów i autorów, całościową i kompleksową prezentacją najnowszego dorobku literackiego naszych zachodnich sąsiadów.

Powieść Kurta Davida „Ocalona" sięga do problemów związanych z II wojną światową. Autor próbuje w niej odtworzyć przebieg jednej akcji partyzanckiej przeprowadzonej na terenie Polski. W akcji tej brało udział dwóch niemieckich antyfaszystów. W książce swojej David próbuje spojrzeć z pewnym dystansem na własne doświadczenia życiodwe. „Ocalona" uderza świeżością spojrzenia na problemy wielokrotnie już w literaturze poruszane, pozbawiona jest schematyczności i sloganowości. Stara się odpowiedzieć na pytania, które niewątpliwie muszą nurtować wielu Niemców.

Kurt David „Ocalona", przekład: Zofia Rybicka, Wyd. Poznańskie, Poznań 1979, str 138, cena 26 zł.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

UCZESTNICTWO W KULTURZE

Nigdy nie miałem specjalnego nabożeństwa do wszelkiego rodzaju badań socjologicznych. Bezużyteczne wydaje mi się ankietowanie setek osób w kwestii np. programu telewizyjnego, bowiem bez specjalnego zachodu, straty czasu i papieru można z całą pewnością stwierdzić, że większą widownię będzie miała komedia sensacyjna (choćby najgłupsza) niż program ekonomiczny (choćby najmądrzejszy). Natomiast procentowe określenie owych proporcji nie ma — moim zdaniem — większego znaczenia, a tylko do tego sprowadzają się wyniki badań. Tak więc ogólne tendencje znane są z góry i nie stanowią dla nikogo zaskoczenia — badania określają tylko stosunek procentowy owych tendencji.

Niemniej jednak z zainteresowaniem przestudiowałem opracowanie Ośrodka Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych na temat uczestnictwa w kulturze. Oczywiście nie brak i tu „rewelacji" tego typu, że życie towarzyskie bogatsze jest u trzydziestolatków, niż u sześćdziesięciolatków, ale w sumie jest to opracowanie ciekawe i wielce wymowne.

Jeśli nawet czytelnicy zawołają „znamy to, znamy!" — odpowiem, jak Fredrowski pan Jowialski — „no to posłuchajcie".

Badania OBOP na temat uczestnictwa w kulturze trwały 10 miesięcy i dotyczyły tzw reprezentacji ogółu ludności Polski powyżej 15 roku życia. Co miesiąc (z przerwą w okresie letnim) powtarzano te same pytania w stałej grupie respondentów.

Tak więc w okresie 10 miesięcy średnia częstotliwość bywania w instytucjach kulturalnych i uczestnictwa w różnych typach rozrywek wygląda następująco: na pierwszym miejscu (ponad 6 razy) znajduje się czytelnia i biblioteka i zaraz po niej (też ponad 6 razy, tylko o parę dziesiątych procentu mniej) występuje taka „instytucja kulturalna", jak... kawiarnia.

Autorzy opracowania nie komentują tych faktów, ale zważywszy, że współczesna kawiarnia z całą pewnością nie pełni już roli — przepraszam za neologizm — kulturogennej — można mieć wątpliwości, czy bywanie w kawiarni jest uczestnictwem w kulturze. Podobnie wygląda sprawa z takim typem „rozrywki kulturalnej", jak „przyjęcie towarzyskie w większym gronie" (prawie 5 razy w ciągu 10 miesięcy) oraz „restauracja w celach towarzyskich" (prawie 5 razy w ciągu 10 miesięcy). Nieletnie dziecko wie przecież, że zarówno „towarzyskie posiedzenie" w restauracji, jak i „towarzyskie przyjęcie" w domu nie ma na ogół charakteru intelektualnej zabawy. Co najwyżej biesiadnicy wymienią poglądy na temat elegancji (?) ubioru pani Loski z telewizji. W czasie takich spotkań nikt nie mówi o kulturze i sztuce, tylko plotkuje o znajomych i pije wódkę.

Skreślam zatem zarówno kawiarnie, jak i owe towarzyskie spotkania, bo są to sprawy naciągane, nie mające wiele (lub nic zgoła) wspólnego z prawdziwym uczestnictwem w kulturze.

Cóż zatem zostaje? Zostaje sześciokrotny w ciągu 10 miesięcy pobyt w bibliotece, zostaje pięciokrotny pobyt w domu kultury, cztery wizyty w kinie i jedna w cyrku. Oto plon dziewięciomiesięcznego uczestnictwa w kulturze wybranej, socjologicznej reprezentacji ogółu ludności Polski, powyżej lat piętnastu. Niewesoło.

Na samym końcu znalazły się takie autentyczne instytucje kulturalne, jak — teatr, muzeum galeria, wystawa... Statystyczny respondent bywał tam w ciągu 10 miesięcy... pół raza, czyli połowa ogółu badanych była tam raz. Statystycznie rzecz prosta, bo w rzeczywistości takie wskaźniki oznaczają, że do teatru i muzeum chodzi bardzo niewielka ilość osób i to bardzo rzadko. Uczestnictwo w takich imprezach artystycznych, jak teatr, czy wystawa plastyczna ma w naszym społeczeństwie ciągle charakter elitarny. Decydującym czynnikiem jest poziom wykształcenia. Granicą, po przekroczeniu której można w ogóle mówić o bywaniu w teatrze, czy muzeum lub na wystawie — jest ukończenie szkoły średniej. Ale nie tylko. Najwyższą średnią bywania w teatrze i muzeum notuje się w grupie wiekowej 16—24 lata. W starszych grupach następuje gwałtowny spadek. Dlaczego? Po prostu — wyprawy do teatru i muzeum organizowane są przez szkoły i uczelnie — grupa wiekowa 16—24 lata, to osoby w większości uczące się i studiujące. Nie kwestionując oczywiście owego „uczestnictwa w kulturze" mam jednak świadomość swego rodzaju „łagodnego przymusu" takiego uczestnictwa.

I tak to mniej więcej wygląda. Rzecz prosta nie relacjonuję całości opracowania. W znacznej części udowadnia ono zjawiska oczywiste, jak choćby to, że mieszkaniec odległej wsi bywa w teatrze rzadziej niż mieszkaniec wojewódzkiego miasta, albo, że częściej do kina chodzi dwudziestolatek niż osoba po sześćdziesiątce...

Niemniej jednak warto zadumać się nad opracowaniem OBOP na temat uczestnictwa w kulturze. Uczestnictwo w kulturze. A może przy tym tytule należy postawić znak zapytania?

WIDOK

Z GALERKI

FELIKS PARNELL

Pan pracowicie
Przetańczył życie.

Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PROPOZYCJE

SKALA

Koniec roku skłania do pewnych porównań, do podsumowań. Zwykle z końcem roku robi się różne plebiscyty, oceny, wyłania się najlepszych. Przez łamy gazet przewalają się konkursy na najlepszych sportowców, piłkarzy, kolarzy i tak dalej. Każdy chce mieć swoich najlepszych. Ta niby-zabawa, ale i na poły sprawa ambicjonalna, rodzi jednak pewne refleksje.

Plebiscyty na najlepszych sportowców istniały od dawna. Na ogół zajmowano się tym w skali centralnej, ale z czasem narodziły się również dążenia do robienia ocen lokalnych. Teraz mamy 49 województw i każde chce mieć swojego najlepszego sportowca. Zbigniew Boniek z różnych powodów nie zmieścił się w skali ocen generalnych, ale okazał się najlepszym w Łodzi. Czy to w jakimś stopniu zmienia wartość talentu i piłkarskich umiejętności tego zawodnika? W żadnym. Ale może rodzić pewne frustracje.

Ze Zbigniewem Bońkiem sprawa jednak prosta. Wiadomo, jaką wartość przedstawia i wartość tę potwierdza na boisku. Nie jest to wartość fałszywa. Gorzej jest z innymi. W skali kraju wybiera się dziesiątkę najlepszych, inni, którzy w tej dziesiątce nie zmieścili się, mają przynajmniej tę satysfakcję, że znaleźli się w drugiej lub trzeciej dziesiątce sportowców wytypowanych przez kibiców, a to miernik dość wysoki i w miarę obiektywny. Ale co zrobić z 490 innymi najlepszymi? Bo każde województwo ma swoich dziesięciu. 10 razy 49 daje 490. Jaką teraz przyjąć skalę wartości wśród tych 490? Czy porządkować to wszystko według alfabetu województw, czy dzielić je na stare i nowe, duże i małe? Pocieszam się tylko tym, że może nie wszyscy wpadli na ten obłędny pomysł i może mamy nie 490 najlepszych plus tych z puli centralnej, ale trochę mniej. No, góra 250. Ale to też sporo.

Pewnie, że przesadzam. Swiadomie przesadzam. A czynię tak dlatego, że ta niby-zabawa w wartościowanie zaczyna mnie nieco niepokoić. Nie mam nic przeciw regionalizmom, przeciw budzeniu i umacnianiu lokalnego patriotyzmu. Boję się jednak, że niewłaściwie rozumiany może narobić więcej szkody niż przynieść pożytku. Coś takiego zresztą sygnalizuje w ostatnich „Szpilkach" Jerzy Urban w felietonie „Mikutowicz". Jest to felieton poświęcony kształtowaniu się fałszywej skali wartości. Przeczytajcie ten felieton i zastanówcie się, czy nie spotykamy się tu i ówdzie z podobnymi objawami. Nie tylko w środowisku literackim, o którym przede wszystkim pisze Jerzy Urban.

Do niedawna mówiło się, że trzeba myśleć w kategoriach obejmujących cały kraj, że trzeba widzieć związki lokalnego z ogólnym. To, co lokalne nie może istnieć bez ogólnego, a to, co ogólne ujawnia się często poprzez lokalne. Czy dziś taki nakaz myślenia w skali kraju, a nie tylko województwa czy regionu, przestał być aktualny? Nie przypuszczam. Więcej uważam, że nie. Że, gdyby tak było, to stałoby się bardzo źle. A przecież spotykamy się tu i ówdzie z dążeniami ograniczenia skali wartości tylko do wymiarów lokalnych. Oni sobie niech tam w tej Warszawie wymyślają różne dziwności, a my tu będziemy skromnie, uparcie, robili swoje, postępując małymi kroczkami, byle do przodu, byle coś się działo. I tak powoli zaczyna się utrwalać atomizacja życia społecznego, kulturalnego, a kto wie, czy i nie gospodarczego.

Oto na przykład często spotykam się z określeniem „łódzka kultura". Wiem, że jest to zwrot „techniczny", że jest to określenie umowne, żargonowe. Ale powoli zaczyna ono nabierać pewnych treści, zaczyna stawać się określeniem znamionującym pewne odrębności nie z treści przecież wynikające, ale z geografii. Czy może istnieć kultura sandomierska, radomska, krakowska, poznańska, suwalska, białostocka? Jest tylko jedna kultura — polska — i jest ona tworzona w różnych regionach kraju. Wspólnym wysiłkiem. Skąd więc się bierze „kultura łódzka"? Z fałszywej skali wartości.

No, bo skoro nas nie uznają na rynku ogólnopolskim, to my będziemy tworzyli swoje własne skale wartości i mamy ich w nosie. Tak może pomyśleć każdy i proces atomizacji umacnia się, źle pojęty regionalizm zaczyna przybierać na sile. A przecież, jeśli tworzymy istotne wartości, to znajdują one uznanie na rynku ogólnopolskim. Tak było, tak jest i tak będzie. I nie ma innych mierników. Trzeba się bić o takie uznanie, przebijać się przez „warszawskie układy" nie ma na to rady. I ma to znaczenie nie tylko w kulturze.

Od sportu zacząłem nie przypadkiem. W sporcie bowiem najłatwiej jest tworzyć fałszywe skale ocen.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

NIC Z NICZEGO NIE WYNIKA

Nie czytuję studenckiego (przynajmniej tak stoi w podtytule) pisma „Politechnik", bo nie mogę przecież czytać wszystkiego. Ale oto, znęcony nietypowym, obiecującym formatem książki, kupiłem sobie zbiór felietonów „Bez dubbingu" Macieja Parowskiego; o autorze tym nic nie wiem i o proweniencji tych felietonów również nic bym nie wiedział, bo książka jak najdyskretniej sprawę tę przemilcza, gdyby nie ukryta gdzieś głęboko w barokowym tekście wzmianeczka, z której wynika, że Maciej Parowski jest właśnie felietonistką „Politechnika"; nie wyjaśniono tylko, dlaczego Młodzieżowa Agencja Wydawnicza uznała za konieczne wydać rzeczony zbiór i to aż w dziesięciu tysiącach egzemplarzy.

„Człowiek nie krowa — poglądy zmienia" — napisał kiedyś przekornie Antoni Słonimski, pokpiwając z ludzi zbyt kurczowo trzymających się dogmatu „konsekwencji". Zarzut ten nie mógłby na pewno paść pod adresem młodego felietonisty (zresztą M. Parowski pisze o sobie: „mam swoje lata, mogę już oglądać się wstecz" — str. 13 — więc może nie jest wcale „młodym felietonistą"? W pismach kobiecych piszą przecież mężczyźni, w sportowych inwalidzi, w młodzieżowych — bo ja wiem, kto?). Felietony są niefrasobliwe, ich zbiór — pełen sądów wzajemnie sobie przeczących, a także takich, które budzą nieco zdziwienia i sprzeciwu. A może to są właśnie reprezentatywne sądy młodej inteligencji technicznej?

Na przykład taki sąd: „Ci z moich dawnych znajomych, którzy w szkole pochłaniali książki, chodzą teraz jak skołowani, nie znajdują sobie miejsca w życiu i patrzą wkoło sfrustrowanym wzrokiem. Ci, którzy w tym samym czasie zajmowali się czymś pożytecznym, to znaczy uczyli się ludzi, świata i życia — robią doktoraty i jeżdżą na zagraniczne wycieczki. Czasem (czasem!) czytają".

Autor nie podaje, jak należy uczyć się ludzi, świata i życia, w każdym razie nie przez pochłanianie książek, bo od tego się kołowacieje. No pewnie: jedna wizyta w lokalu „Smakosz" czy „Przekąska" ileż nam powie o życiu — zwłaszcza nocnym! Od razu można siąść i zacząć pisać doktorat, najwyżej z błędami ortograficznymi, bo ortografii trzeba by się uczyć z książek. A po doktoracie — fiuut! — za granicę...!

Oczywiście, felietonista z „Politechnika" zarzuci mi tu zaraz, że niedokładnie czytam „Bez dubbingu". Przecież trzy strony dalej pisze na odwyrtkę tak: „Wydaje się, że w gorliwości, z jaką wiek dwudziesty manifestuje swą miłość do faktów i niechęć do fikcji, tkwi coś chorobliwego i podejrzanego zarazem". No właśnie. Dopiero co doradzał zajmowanie się czymś pożytecznym czyli uczenie się życia, a teraz twierdzi że fakty to paskudna, chorobliwa rzecz, a należy się zająć fikcją, czyli literaturą. Sacrebleu, nie nadążymy za tak intelektualnym wywodem...

Mamy też rozbrajający przykład konfliktu pokoleń, czyli po prostu i bez ogródek podaną ocenę załganych „staruszków" — wszystkich pod rząd: „Nie wiem, czy rzeczywiście wielu z młodego pokolenia zaczytuje się w pamiętnikach staruszków, w każdym razie nawet na oko widać, że jest to gatunek, w którym można koloryzować najwięcej. W którym koloryzować i kręcić trzeba, zbyt wiele bowiem spraw nie do naprawienia uciekło z życiem — jedyna rada prostować je teraz na papierze. W przypadku pamiętników łże się w poczuciu bezkarności...

Jest w tej ocenie godna zazdrości pewność siebie i poczucie nieskończonej wyższości nad całym ludzkim rodzajem. Maciej Parowski posiadł prawdę, a raczej pewność, że prawdy żadnej nigdy nie było i że nie warto się za nią uganiać. „Z faktów wynika coraz mniej (str. 18), a mówiąc ściśle, może wynikać wszystko, czyli nic. Nie ma ich po prostu — w związku z tym fakty nie mają żadnego znaczenia..."

Coś mi się majaczy. Aha, to przecież Dawid Hume, już ćwierć tysiąca lat temu, stwierdził, że nic nie istnieje... To przecież Georg Berkeley w tym samym mniej więcej czasie powtórzył, że materia to tylko wiązka spostrzeżeń, chwiejnych i niejednoznacznych... Ale Hume i Berkeley to były fakty, a fakty nie istnieją i nic z nich nie wynika. Wobec czego po stronie dwudziestej zamknąłem zbiór felietonów „Bez dubinngu" i poszedłem poznawać życie.

ĆWIEK

SPORT

POLITYKA NA STADIONIE

W starożytności, kiedy zbliżała się olimpiada, ogłaszano „ekechejria" — zawieszenie broni na okres 1 do 3 miesięcy, powstrzymanie się od sporów wszelkich, aby zawodnicy śpieszący na igrzyska mogli swobodnie i bezpiecznie dostać się na miejsce zawodów. Ale to było w starożytności. Kiedy w czerwcu 1894 roku baron Pierre de Coubertin doprowadził do wskrzeszenia olimpiad ery nowożytnej, nie miał złudzeń, że kiedy zbliżać się będą igrzyska, ucichną strzały. Dziś już wiemy, że to olimpiady nie mogły się odbyć, gdy trwały wielkie, światowe wojny. Od 1894 roku wiele się na świecie zmieniło, ale idea igrzysk olimpijskich, jednających świat, przyczyniająca się do wzajemnego zrozumienia i współpracy, idea pokojowej rywalizacji w różnych dyscyplinach sportu, nadal odgrywa wielką rolę.

Nie ulega wątpliwości, że telewizja uświadomiła światu wielkość idei olimpijskiej, wspaniałość sportowej rywalizacji, której jednocześnie na całym niemal globie mogą przyglądać się ludzie, podziwiając piękno sportowej walki. Coś przecież pozostało z tej wielkiej pokojowej idei, kiedy widzimy na stadionie sportowym stojące obok siebie delegacje z całego niemal świata, który jest podzielony i rozdarty wewnętrznymi sprzecznościami. Ale na czas olimpiady stawiają się zgodnie na stadion, aby rywalizować w sportowej walce. Chociaż i olimpiady były wykorzystywane dla „załatwiania swoich politycznych celów", że wspomnę tylko o niesławnej pamięci wydarzeniach z olimpiady w Monachium w 1972 roku. Bo, co by się przecież mówiło, to trudno oddzielić sport od polityki. Sport jest przejawem życia społecznego i jak całe życie społeczne podlega wpływom polityki.

Od dawna zauważono już, że sukcesy sportowe, szczególnie teraz, kiedy są natychmiast popularyzowane na całym świecie przez telewizję, dają społeczeństwu satysfakcję, przyczyniają się do dobrego samopoczucia ludzi. Stąd w polityce społecznej wiele rządów przywiązuje ogromną wagę do sportu, stwarzając dla jego rozwoju odpowiednie warunki. A sportowe niepowodzenia wielekroć traktuje się jak narodowe klęski. Gdy w 1960 roku ekipa francuska nie zdobyła na olimpiadzie w Rzymie ani jednego złotego medalu, generał de Gaulle nazwał to na posiedzeniu Rady Ministrów „hańbą narodową". Myśmy zresztą też bardzo silnie przeżywali niepowodzenia naszych sportowców, a szczególnie piłkarzy, którzy raz już pokazali, na co ich stać, a później nie potrafili ugruntować tego sukcesu.

Tu mogę wspomnieć, że politycy zachodni w walce wyborczej odwołują się częstokroć do kibiców sportowych, szukając wśród nich sojuszników, pokazując się im nie tylko jako politycy, ale też jako... sportowcy. Czasem jako byli sportowcy, a czasem jako czynni. Valery Giscard d'Estaing w czasie walki wyborczej wystąpił jako narciarz i piłkarz. Ale to też było dawno. Inni robią to teraz, przypominając swoją sportową przeszłość, albo biegając w dresie po ulicach.

Obecnie, w ciągle komplikującej się sytuacji międzynarodowej, niektóre koła polityczne na Zachodzie usiłują wciągnąć sport do walki politycznej. Mówi się i pisze na Zachodzie, że należałoby zbojkotować olimpiadę w Moskwie, że świat zachodni powinien odbyć swoją własną olimpiadę, wymienia się nawet, że powinna się ona odbyć albo w Monachium, albo w Mexico, albo w Montrealu. Ten obłędny pomysł na szczęście nie wszyscy aprobują i wielu zarówno polityków, jak i działaczy olimpijskich stoi twardo na stanowisku, że olimpiada w Moskwie powinna się odbyć i że nie ma żadnych istotnych powodów do tego, aby było inaczej.

Byłoby niewątpliwie ogromną szkodą dla sportu na świecie, gdyby stało się inaczej. Byłaby to niepowetowana strata, która mogłaby rozbić sport na długie lata, wpłynąć niekorzystnie na jego dalszy rozwój. Sportowcom potrzebne są nieustanne konfrontacje, a rozbicie sportu takie konfrontacje uniemożliwiłoby. Miejmy jednak nadzieję, że zwycięży zdrowy rozsądek i idea sportowej rywalizacji wszystkich sportowców na tych samych prawach oparta.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11 kod poczt. 90 438. Telefony 652-44 sekretariat i red. naczelny 680 99 677-70 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł. kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graf. RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 126. G-12.

Załącznik nr. 59/.../80

HASŁO NUMERU: Myślenie ma (niestety) przyszłość.

Paratelefonem...

Archeolodzy egipscy natrafili ponoć w Aleksandrii na ruiny zespołu pałacowego, prawdopodobnie siedziby Kleopatry w okresie jej panowania nad Egiptem, czyli od 51 roku p.n.e. „Orzeczenie to poparte zostało — pisze z kamienną powagą „Dziennik Popularny" — przeprowadzeniem specjalnych testów przy zastosowaniu technik parapsychologii, które wykazały duże prawdopodobieństwo, iż tu właśnie zamieszkiwała Kleopatra wraz z poślubionym na przełomie lat 37/36 Markiem Antoniuszem".

Czytelnicy zapytają zapewne jakież to techniki parapsychologiczne zastosowali egipscy parapsycholodzy? Porozumieliśmy się w tej sprawie, przy pomocy paratelefonu z parapsychologami egipskimi i uzyskaliśmy autorytatywne informacje. Parapsychologowie egipscy połączyli się poprostu parapsychologicznie z Kleopatrą i Markiem Antoniuszem, którzy potwierdzili mniemanie o tym, że zespół pałacowy był ich własnością.

P.Arapsycholog

„Antek" w Nowym Jorku

Prasa doniosła o tragicznym wydarzeniu jakie miało miejsce w Nowym Jorku. 25-letnia matka półtorarocznego chłopca, który „miał wysoką gorączkę i zachowywał się jak opętany", włożyła synka do rozpalonego piekarnika, aby „ogniem wypędzić diabła". Egorcyzmy zakończyły się śmiercią dziecka, u którego stwierdzono poparzenia na 95 proc. powierzchni ciała.

Informacja ta nie nadawałaby się do „Załącznika", gdyby nie fakt, że w noweli „Antek", podobną historię opowiadał Bolesław Prus. Tyle, że u Prusa rzecz dotyczyła XIX wieku i świadczyła o zacofaniu zapadłej polskiej wsi.

K.

Zawinił ZSC

„Co dwie godziny Zakład Sieci Cieplnej otrzymuje z Lublinka dane dotyczące temperatury powietrza. Na ich podstawie opracowuje się temperaturę średnią tygodniową i miesięczną" — pisze (m) w „Dzienniku Popularnym".

Wiemy już kogo winić za anomalie pogody i skoki temperatury. To Zakład Sieci Cieplnej tak rozrabia przygotowując odpowiednie średnie, z których zapewne korzysta Bozia, sypiąc zgodnie z wymaganiami ZSC śnieg, lejąc z góry wodę i huśtając temperaturą.

M.Eteorolog

Nie zdążyli?

W „Głosie Robotniczym" znaleźliśmy wiadomość o uroczystościach pogrzebowych na cmentarzu Radogoszcz, w których wzięło udział 21 karetek pogotowia ratunkowego.

Polskie porzekadło mówi — lepiej późno niż wcale. Widać przejęli się nim pracownicy pogotowia.

K.

Eskalacja entuzjazmu

We wtorek, 15 stycznia, „Dziennik Popularny" donosi, że sześcioraczki włoskie (urodzone w piątek, 11 stycznia) — „karmione są sztucznie, a opiekujące się nimi pielęgniarki stwierdziły, że piją mleko z butelki z entuzjazmem".

Jak na cztery dni życia — całkiem nieźle. Jaki szybki rozwój życia uczuciowego. Cóż za entuzjaści z nich wyrosną, gdy całkiem dojrzeją!

P.Sycholog

TO i TAMTO

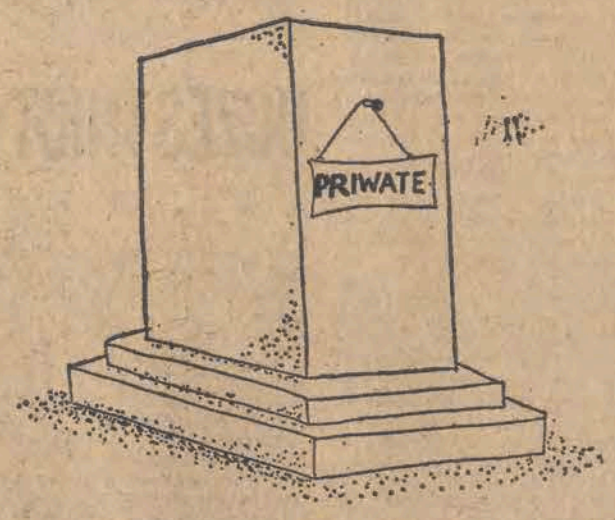

Rys. Walerian Domański

Rys. Edward Bogdański

EXPRESS Z ZADYSZKĄ

Co wtorek oczekujemy z niecierpliwością na list ekspresowy wysyłany z Warszawy w soboty. W ubiegłym tygodniu oczekiwaliśmy go od wtorku do czwartku, aż tymczasem stał się kompletnie nieaktualny. Kiedy już nadszedł, postanowiliśmy przynajmniej sprawdzić, co się z nim przez ten czas działo.

Oto fakty, które wyczytaliśmy z nalepek, stempli i dopisków.

1. Wysłany był z Warszawy 12 bm (sobota) o godz. 14 (napisy na nalepce: OO 111 „R" 005434 — Warszawa 120).
2. Trafił do OUTM w Łodzi 14 bm. (poniedziałek).
3. Tegoż dnia dotarł ponoć do redakcji o godz. 20 — o czym ma świadczyć dopisek (Nie zostawiono w redakcji powiadomienia, ani innego śladu).
4. 15 bm. (wtorek), zamiast do redakcji trafił do Urzędu Pocztowego Łódź—1.
5. 17 bm. został doręczony listonoszowi który przyniósł go do redakcji. Na kopercie jest dopisek „Rej. 48".

Niestety, fakty te kompletnie już nas zdezorientowały. Bo — co się działo między nimi? Radzi bylibyśmy uzyskać odpowiedź, niekoniecznie od Ministra Łączności.

S.Limak

Tadeusz Gicgier

NAUKA

Uczcie się, o przyjaciele!
Jest nauczycieli wiele:
kret uczy, jak podkopywać,
wilk, jak prowianty zdobywać,
lis, jak wyprowadzić w pole,
małpa, jak grać inną rolę,
jak zdobyć poklask — papuga,
pies, jak szczekać, kot, jak mrugać;
ryś uczy wysokich chodów,
niedźwiedź — jak trafić do miodu,
glista, jak się wśliznąć w łaski,
flądra, jak kształt przybrać płaski,
zając, jak nie spuszczać powiek,
choć z tym czasem ma ambaras,
a tej całej wiedzy na raz
uczy swe potomstwo — człowiek.
Bo to stwór genialny taki,
co przeszedł wszystkie zwierzaki.

Rafał Orlewski

FRASZKI

BEZ ZMIAN

W epoce komputerów
zero też się równa zeru.

DYKCJA

Niektórzy JAKOŚĆ
odczytują: JAK-KOŚĆ

OGŁOSZENIA DROBNE

Futereczko

„Sprzedam futro karakuł czarny, kołnierz norka, rozmiar średni" — obiecuje ktoś w „Głosie Robotniczym".

Jeśli z jednego karakuła, to kołnierzyk chyba z noreczki rozmiar nie średni, lecz maleńki a w ogóle to nie futro, lecz futerko, a może nawet futereczko.

Biedny, ale uczciwy

Tamże ogłoszenie: „Posiadam niewielką gotówkę — przystąpię do współpracy".

Przynajmniej nie nabiera na ciężką mamonę. Biedny, ale uczciwy.

Nareszcie się zdecydował

Tamże z innej beczki: „Cenne meble zdecydowanie sprzedam".

Wreszcie.

D.Łubacz

Poczta „Załącznika"

Z KWIATAMI NIE MOŻNA

Dyrekcja Teatru Wielkiego w Łodzi zabroniła podawać kwiaty artystom na scenę. A przecież kwiaty są wyrazem uznania dla artysty za jego trud i talent, za to, że sprawił nam przyjemność. Bileterki otrzymały zakaz wpuszczania na widownię widzów z kwiatami. Widać dlatego, że skoro nie można kwiatów podawać, to może ktoś mógłby je zechcieć rzucić artyście w podzięce za udany występ.

Czyj to pomysł? Czyżby dyrekcji Teatru Wielkiego? Czy może tylko bileterek, którym nie chce się biegać na scenę z kwiatami? W każdym przypadku nie jest to domysł mądry.

Juliusz K.
(adres znany redakcji)

PO ŚNIEG?

Jak doniósł „Głos Robotniczy", nasi dwuboiści udają się do CSRS, gdzie dołączą do skoczków, którzy już trenują w Szczyrbskim Jeziorze na dobrze przygotowanych skoczniach i trasach. W związku z tym „GR" gromi organizatorów sportów zimowych w Zakopanem, którzy, choć mają więcej śniegu niż jest go w CSRS, nie zdołali przygotować tras i skoczni.

Ależ, drogi „Głosie". Śniegu to może jest w Czechosłowacji mniej, ale za to koron więcej... I nie o śnieg chodzi.

S. Koczek

STARSZY OD HAMILTONA

„...jak pamiętam, Sieradz już w wieku XV był siedzibą województwa, ziemi i starostwa grodowego" — zwierzył się Konrad Frejdlich (w „Odgłosach") przy okazji przeprowadzania wywiadu z Janem Michalewiczem.

Do tej pory byliśmy przekonani, że najstarszym polskim dziennikarzem jest niejaki Hamilton z „Kultury". Nie podejrzewaliśmy Frejdlicha, że zdystansuje (pod tym względem) Hamiltona.

L. ICZNIK

ŁZA SIĘ KRĘCI...

Łza się kręci w oku oczywiście. A dlaczego ona tam się kręci? Bo oko dowiedziało się z „Życia Warszawy", że LOT „wznawia komunikację lotniczą ze Słupskiem". Mieszkańcy Słupska będą teraz mogli szybko dostawać się do Warszawy, po drodze zabierając pasażerów z Bydgoszczy. Z Warszawy będą mogli szybko wracać do Słupska, po drodze wysadzając pasażerów w Bydgoszczy. Będą mogli przez Warszawę latać sobie do Katowic, Krakowa, Wrocławia a nawet do Rzeszowa. I chwała za to LOT-owi.

Skąd więc łza?

Nie z zawiści. O, nie. Ze smutku. Bo my w Łodzi od dawna upominamy się o przywrócenie nam komunikacji lotniczej. Argumenty mamy. Postanowienia były. Potrzeby również. Nawet teren pod lotnisko znalazłby się.

Zresztą nawet nie o lotnisko chodzi, ale o szybką komunikację z lotniskiem warszawskim. Może by tak LOT pomyślał o uruchomieniu komunikacji helikopterowej, albo choćby o bezpośrednim autobusie na warszawskie lotnisko. Sporo ludzi z Łodzi lata bowiem samolotami LOT i sporo latałoby jeszcze, gdyby do tych samolotów można byłoby się łatwiej dostać.

Mój przyjaciel niedawno latał sobie samolotem LOT i to daleko. W tej dalekiej podróży kupił sobie zapalniczkę w kształcie colta za 48 dolarów. Na lotnisku oddał colta, aby nie wzięli go za porywacza. Dostał pokwitowanie i miał otrzymać zapalniczkę-colta na lotnisku Okęcie. Było to w maju 1979 roku. Nie otrzymał. Kilka dni temu dostał pismo, że otrzyma odszkodowanie w wysokości 600,20 zł bo w dolarach zapłacić nie można. I łza mu się w oku kręci, bo jakoś się w podróż nie wybiera i drugiej takiej zapalniczki-colta sobie nie kupi.

A innemu memu znajomemu łza się kręci w oku z innego powodu. LOT go nie poinformował, że jak będzie wracał z Nowego Jorku w weekend, to musi dopłacić do wykupionego w Polsce biletu 15 dolarów. Diety mu się skończyły. Miał tyle, co na podróż. Musiał więc pożyczyć, aby móc wrócić w pierwotnie ustalonym terminie.

Ale mimo wszystko byłoby dobrze, gdyby z Łodzi można było szybko dostać się na warszawskie lotnisko.

ZYG.

ZŁOŚLIWOŚĆ

W Lake Placid — jak donosi prasa — nie ma śniegu. Dopiero kilka dni temu spadł tam pierwszy śnieg, ale w niewielkiej ilości.

I to jest właśnie złośliwość przyrody. W Lake Placid bowiem mają odbyć się Zimowe Igrzyska Olimpijskie. I to już za niecały miesiąc. Można sobie spokojnie założyć, że śnieg spadnie w Lake Placid zaraz po zamknięciu Igrzysk.

S. L. IZGACZ

Rys. Edward Bogdański

Andrzej Jędrzejewski

BALLADA O ROZTRZĄSANIU OBORNIKA

Zbrodnia to niesłychana:
pani zabiła pana.

Gdy nawóz wieźli na pole,
pan rzekł do pani: — Pergolesiego po wiek wieków wolę
i w słusznej mam go estymie.
— Oj, nie zaczynaj ty przy mnie
(pani na to do pana),
choć znawcy i melomana
darzą cię wokół opinią.

Zbrodnia to niesłychana:
pani zabiła pana.

— Tak między prawdą a bogiem,
stwierdzam niniejszym że Boccherini wychodzi mi bokiem
więc już go słuchać nie będę.
— Zamknąłbyś wreszcie swą gębę,
przestał pleść znów od rzeczy,
Weź się do pracy człowiecze,
bo ci przyłożę trójzębem.

Zbrodnia to niesłychana:
pani zabiła pana.

Próżno o gnój prosi niwa,
pan na Scarlattim na Vivaldim zaczął sobie używać,
stojąc wsparty przy widłach.
Pani się nagle zjeżyła
i krzyknęła do pana:
— Czas kończyć, dość roztrząsania.
Lecz co myślała — zrobiła.

Wyrośnie żytko wysoko,
tak jak pan leży głęboko,
który miast obór uroków,
ukochał mistrzów baroku.

MAGAZYN KULTURALNY